REDAGUJE
PROFESOR
JAN ŻARYN

wSIECI

Nr 6 (73)
CZERWIEC 2019
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE,
HISTORII I KULTURZE

WYDARZYŁO SIĘ 11 CZERWCA 1999 r.

PAPIEŻ W SEJMIE

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803
06
9 772300 680909

eprasa.pl 1a0018e33b

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem

koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

~~463,80 zł~~

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

40% TANIEJ

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70

POKOLENIE JP II

Cała redakcja naszego miesięcznika „wSieci Historii" – Małgorzata Żaryn, Michał Karpowicz, Krzysztof Kotowski i ja, należy do pokolenia papieża Jana Pawła II. Jego pontyfikat wpłynął zasadniczo na nasze życie; papież był dla nas najwyższym autorytetem. Zapewne również kształtował wyobraźnię, wrażliwość i całe życie autorów tekstów przypominających o dokonaniach papieża Polaka, a także znacznej części naszych Czytelników. Każdy z nas ma też, obok doświadczenia zbiorowego, indywidualne wspomnienie obejmujące postać Ojca Świętego i Jego słowa. W naszym domu od zawsze nasze dzieci mogły się wpatrywać, dorastając już we własnym, innym świecie, na zdjęcie swoje i nasze z papieżem, w Castel Gandolfo z połowy lat 90. Miały wtedy kilka, kilkanaście lat. Chcielibyśmy bowiem, aby to pokolenie trwało i trwało. By kolejne roczniki Polaków mogły – choć pozostając już wobec Niego w innej perspektywie – pozostawać z Janem Pawłem II w łączności. Tak jak dla nas wyzwaniem i zobowiązaniem stały się Jego słowa nadziei i ufności wypowiedziane na placu Zwycięstwa 2 czerwca 1979 r., tak i obecnie wydaje się, że Jego nauczanie może nam pomóc w zdefiniowaniu kolejnych wyzwań i potrzeb: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!".

Polska od lat jest członkiem Unii Europejskiej i NATO. Dziś jako Polacy mamy ambicję, by nie tylko stać w ogonku do kasy zarządzanej przez Komisję Europejską, lecz także by kształtować oblicze „tej ziemi", Europy i cywilizacji człowieka stworzonego na wzór i podobieństwo samego Boga. 20 lat temu Jan Paweł II przywołał po raz kolejny Ducha Świętego. Uczynił to w miejscu znamiennym, dla mnie osobiście dziś ważnym i zobowiązującym. 11 czerwca 1999 r. w polskim parlamencie oddając szacunek polskim robotnikom, polskiej „Solidarności", „która wybrała drogę pokojowej walki o prawa człowieka i narodu", przypomniał ówczesnym parlamentarzystom, że w centrum wysiłków ustawodawczych jest zawsze czynienie dobra, zgodnie z klasyczną formułą: „Hominum causa omne ius constitutum est" („Każde prawo zostało ustanowione dla człowieka"). Trwając przy tej wykładni prawa stanowionego, warto zatem wsłuchać się w słowa papieskie wypowiedziane do nas 20 lat temu, a dziś stanowiące jakże czytelny drogowskaz: „Nową jedność Europy, jeżeli chcemy, by była ona trwała, winniśmy budować na tych duchowych wartościach, które ją kiedyś ukształtowały, z uwzględnieniem bogactwa i różnorodności kultur i tradycji poszczególnych narodów. Ma to być bowiem wielka europejska Wspólnota Ducha". Jak to zrobić?

Przypominając w niniejszym numerze naszego miesięcznika wydarzenia czerwcowe, sprzed 40, 30 i 20 lat, odczuwamy dumę, że jesteśmy Polakami, że potrafiliśmy, nie gubiąc swej chrześcijańskiej tożsamości, odnaleźć drogę do niepodległości i nowoczesności. Odnaleźliśmy drogę własną i niepowtarzalną; chcemy z tym dorobkiem być pełnoprawnym uczestnikiem wszystkich ponadnarodowych projektów, łączących Polskę i Polaków z dziedzictwem cywilizacji basenu Morza Śródziemnego, któremu niezaprzeczalny powiew świeżości nadał Kościół powszechny wyrosły na krzyżu, na którym zawisł św. Piotr Apostoł. Jesteśmy dumni, a jednocześnie świadomi, że odnowa polskiej ziemi jest warunkiem sine qua non właściwego uczestnictwa w odnowie ziemi europejskiej; wtedy dopiero będzie to naszym zadaniem skutecznie realizowanym, wyznacznikiem naszego współczesnego patriotyzmu. Współczesny polski patriotyzm jest zatem w tym sensie ekspansywny, ma bowiem w sobie dynamikę pretensji i ambicji, by w Unii Europejskiej czuć się bezpiecznie jak we własnym domu.

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Autopromojca

eprasa.pl 1a0018e33b

HISTORII

26 HISTORYCZNA WIZYTA PAPIEŻA W SEJMIE 11 CZERWCA 1999 r. MIAŁA WYMIAR SYMBOLU. JAN PAWEŁ II, KTÓRY POPROWADZIŁ POLAKÓW DO WOLNOŚCI, PRZYPIECZĘTOWAŁ NASZ WIELKI SUKCES NA OCZACH CAŁEGO ŚWIATA – OCENIA GRZEGORZ POLAK

29 W ROKU 1989 DLA POLSKI I INNYCH PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ ROZPOCZĘŁA SIĘ PO ERZE KOMUNIZMU DROGA DO DEMOKRACJI. INNA RZECZ, ŻE NASZ KRAJ SZYBKO Z LIDERA PRZEMIAN STAŁ SIĘ OUTSIDEREM – ZAUWAŻA GRZEGORZ MAJCHRZAK

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

9 POLSCY PROFESJONALIŚCI NAD SEKWANĄ. POLSKIE STANY ZJEDNOCZONE EUROPY
PROF. PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 KARDYNAŁ STANISŁAW DZIWISZ: DZIEDZICTWO ZOBOWIĄZUJE
MARCIN PRZECISZEWSKI, KAI

14 PRZEKROCZYĆ PRÓG OJCZYZNY
MONIKA JABŁOŃSKA-CHODAKIEWICZ

17 „IV PIELGRZYMKA DO WOLNEJ JUŻ POLSKI"
PAWEŁ SKIBIŃSKI

20 WALKA O PAMIĘĆ
BARBARA KŁAPUT

23 PIELGRZYMKA POD SZCZEGÓLNĄ „OPIEKĄ"
BARTOSZ KAPUŚCIAK

26 „ALE NAM SIĘ WYDARZYŁO"
GRZEGORZ POLAK

29 CIEKAWY ROK 1989
GRZEGORZ MAJCHRZAK

34 KILKA SŁÓW O MOIM ROKU 1989
ŁUKASZ MICHALSKI

WEHIKUŁ CZASU

36 CZERWIEC
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

40 TRAKTATY MIĘDZYPAŃSTWOWE
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

42 KULTOWE PRZEDWOJENNE KURORTY
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

POLSCY WYNALAZCY

44 CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (5)
BOLESŁAW ORŁOWSKI

DUSZA KONTUSZA

48 ZAPOZNANY SZLACHECKI LIDER EPOKI UNII LUBELSKIEJ – DOBROGOST POTWOROWSKI
HENRYK LITWIN

FELIETONY

51 RZECZPOSPOLITA FAMILIJNA
GRZEGORZ GÓRNY

69 1942 – PRZEŁOMOWY ROK DLA POPKULTURY
PAWEŁ SKIBIŃSKI

73 WALKA Z KOŚCIOŁEM WCZORAJ I DZIŚ
WACŁAW LESZCZYŃSKI

80 JAK UCHRONIĆ PAMIĘĆ
PAWEŁ KOWAL

80 I KOMU TO PRZESZKADZAŁO?
RYSZARD CZARNECKI

88 MOBUTU ZNACZY WSZECHMOCNY
ELŻBIETA BRZOZOWSKA

88 GDYŃSKIE OPOWIEŚCI
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

97 GENERAŁ I TRYBUN
ANTONI DUDEK

97 ZNIKOMOŚĆ
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

98 SKARB ZIEMI SOCHACZEWSKIEJ
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

BITWA MIESIĄCA

52 BITWA NAD CHIENTI (21-23 CZERWCA 1944)
MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

DAWNO TEMU

56 PRZYPADKOWY MONARCHA
ZBIGNIEW HUNDERT

59 POLAK UCIEKNIE NAWET Z PIEKŁA
ANDRZEJ FEDOROWICZ

eprasa.pl 1a0018e33b

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

56 ZASIADAŁ NA TRONIE KRÓTKO I WŁADAŁ DALEKO PONIŻEJ WYZWAŃ, JAKIE STAWIAŁY PRZED NIM REALIA POLITYCZNE I USTROJOWE RZECZYPOSPOLITEJ. JAK DO TEGO DOSZŁO, ŻE 350 LAT TEMU SZLACHTA WYBRAŁA MICHAŁA KORYBUTA WIŚNIOWIECKIEGO NA KRÓLA POLSKI? – ANALIZUJE ZBIGNIEW HUNDERT

ZDARZYŁO SIĘ

62 NIKLAS FRANK: MÓJ OJCIEC BYŁ DIABŁEM
WOJCIECH OSIŃSKI

66 STATEK „WOLNA POLSKA" – OAZA NIEPODLEGŁOŚCI W CZASACH ZIMNEJ WOJNY
MONIKA MAZANEK-WILCZYŃSKA

ZIEMIAŃSTWO

70 CZYN NIEPODLEGŁOŚCIOWY POLSKIEGO ZIEMIAŃSTWA
MARCIN SCHIRMER

PRASPORT

74 WYŚCIG (NIE) POKOJU 1969
GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

77 ROZMOWY POLSKO-UKRAIŃSKIE NA EMIGRACJI
KRZYSZTOF TARKA

WŁADCZYNIE

81 ELŻBIETA ŁOKIETKÓWNA, KRÓLOWA WĘGIER
MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

82 KAZIMIERA IŁŁKOWICZÓWNA – OSTATNIA Z RODU ZANÓW
MAREK KLECEL

86 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

89 WOJNA NA EKRANIE
KAROL MAZUR

DIABEŁ NIE MÓGŁ

90 PANNA ANNA I GENERAŁ
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

92 SŁODYCZ Z PLASTIKU
KRZYSZTOF ŻARYN

NAC PREZENTUJE

94 WARSZAWSKI WODOWSKAZ
ŁUKASZ KAROLEWSKI

CZYM STRZELAĆ

95 KARABIN GEWEHR 41
KACPER GROCHOCKI

ZE ZBIORÓW MPW

96 STOLIKI-SKRYTKI PŁK. RZEPECKIEGO
KATARZYNA UTRACKA

OPOWIEŚCI IPN

99 KRYPTONIM „LATO-79"
RADOSŁAW MORAWSKI

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Maciej Majtczak, Lidia Słowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja:
Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7⁰⁰–18⁰⁰.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: fot. Kancelaria Sejmu

eprasa.pl 1a0018e33b

Obchody święta 3 Maja

Tegoroczne obchody Narodowego Święta 3 Maja z udziałem najważniejszych dostojników państwowych rozpoczęły się od mszy św. w Bazylice archikatedralnej pw. św. Jana Chrzciciela na stołecznym Starym Mieście, którą celebrował metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz. Następnie prezydent RP Andrzej Duda wręczył odznaczenia osobom szczególnie zasłużonym. Najwyższe – Order Orła Białego – otrzymali: Władysław Siemaszko ps. Wir – kombatant walk o wolność Polski, oficer 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, więzień NKWD, działacz środowisk kresowych, jeden z najwybitniejszych dokumentalistów ludobójstwa ludności polskiej dokonanej przez ukraińskich szowinistów; dr Czesław Bielecki – architekt, publicysta, działacz opozycji antykomunistycznej, więzień polityczny PRL; prof. Wincenty Kućma – rzeźbiarz, medalier, rysownik, grafik, autor twórczości sakralnej, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Kolejnym elementem uroczystości było wystąpienie głowy państwa na pl. Zamkowym. Prezydent RP Andrzej Duda mówił m.in.: „W historii każdego narodu są takie momenty, które stanowią punkty fundamentalne, o których można powiedzieć, że ukształtowały dany naród, jego tożsamość, jego kulturę, jego sposób patrzenia na świat, najważniejsze dla niego wartości, jego sposób rządzenia się i jego mentalność. Są jednak też i takie narody, dla których te właśnie punkty stanowiły nie tylko ich osobiste, własne momenty historyczne, ale są też takie, których wydarzenia wpłynęły również na bieg historii świata, na kształtowanie się ustrojów w przestrzeni europejskiej, czyli znacznie szerszej, poza domeną danego państwa czy danego narodu. Z wielką radością i dumą mogę powiedzieć, że takim narodem jesteśmy właśnie my, Polacy. Narodem, który nie tylko tworzył własną historię i zbudował własne mentalność, tożsamość i kulturę, ale który wpłynął także w swojej historii na dzieje Europy i świata i ukształtował w jakimś sensie ten świat, który dzisiaj widzimy”.

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

Po południu na Wisłostradzie odbyła się uroczysta defilada wojskowa „Silni w sojuszach”, w której zaprezentowało się ponad 20 tys. żołnierzy i funkcjonariuszy formacji polskich oraz reprezentanci naszych sojuszników z Paktu Północnoatlantyckiego.

Gala przeglądu filmowego „Echa Katynia”

15 kwietnia w Teatrze Polskim w Warszawie miała miejsce gala finałowa 10. przeglądu filmowego Instytutu Pamięci Narodowej „Echa Katynia”. W jej trakcie nagrodzono filmy przyczyniające się do popularyzacji wiedzy o historii zbrodni katyńskiej. Tym razem uhonorowano trzy dzieła: „Katyń – ostatni świadek” Piotra Szkopiaka, „Ofiara pionków” Asena Władimirowa oraz „Czaszka z Katynia” Anny Elisabeth Jessen. Gala zwieńczyła pięciodniowy przegląd. Pokazy nagrodzonych filmów odbyły się w kilkudziesięciu miejscach w Polsce.

III Europejski Festiwal Schumana

12 maja w świątyni Opatrzności Bożej w warszawskim Wilanowie miał miejsce III Europejski Festiwal Schumana. W jego trakcie odbyło się sześć paneli tematycznych poświęconych myśli Roberta Schumana i jego związkom z dziedzictwem chrześcijańskim, a także wizji zjednoczonej Europy. W programie znalazły się: msza św. i modlitwa o powrót Europy do chrześcijańskich korzeni, a także koncert charytatywny „Wspólnota serca”. Organizatorem wydarzenia był Instytut Myśli Schumana kierowany przez prof. Zbigniewa Krysiaka. Honorowym patronatem objął je marszałek Senatu RP Stanisław Karczewski.

Uroczystości z okazji 2 maja

2 maja przypadają Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej oraz Dzień Polonii i Polaków za Granicą. Z tej okazji na pl. Zamkowym w Warszawie odbyła się uroczystość podniesienia flagi państwowej RP na wieży zegarowej Zamku Królewskiego. Następnie prezydent RP Andrzej Duda wręczył w Pałacu Prezydenckim czterem oficerom Wojska Polskiego nominacje generalskie. Kolejnym elementem programu obchodów była uroczystość w Belwederze, w trakcie której głowa państwa uhonorowała odznaczeniami państwowymi zasłużonych działaczy środowisk polonijnych z różnych części świata. W grupie tej znaleźli się: Jan Cytowski, Jolanta Tatara, Urszula Kosińska, Oksana Bondarczuk, Anna Czerwińska, Maria Osidacz i ks. Adam Prorok.

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

eprasa.pl 1a0018e33b

Austria: Obchody 74. rocznicy wyzwolenia obozu Mauthausen-Gusen

Uroczystości 72. rocznicy wyzwolenia obozów, maj 2017 r.

FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

W dniach 4–5 maja odbywały się uroczystości upamiętniające 74. rocznicę wyzwolenia niemieckich obozów koncentracyjnych Mauthausen i Gusen, znajdujących się na terenie Austrii. W zespole obozów zginęło ok. 30 tys. Polaków, w ogromnej mierze inteligencja. W tegorocznych obchodach uczestniczyli ostatni ocaleni więźniowie (m.in. Stanisław Zalewski i Ryszard Sempka) oraz polska delegacja na czele z wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotrem Glińskim. W swoim wystąpieniu nazwał on Mauthausen-Gusen „niemieckim Katyniem" (z uwagi na eksterminację osób należących do narodowej elity) oraz podkreślił potrzebę godnego upamiętnienia piekła na ziemi, jakie w tym miejscu stworzyli niemieccy zbrodniarze. Wyraził stanowczą deklarację, że Polska oczekuje konkretnych działań w tym zakresie od władz Republiki Austrii, którą przekazał obecnemu na miejscu kanclerzowi Sebastianowi Kurzowi. „Pamięć jest ważna także dla przyszłych pokoleń, bo pamięć mówi nam o wyborach, tych złych i tych dobrych, mówi, co jest dobre, a co złe, a tego potrzebujemy także współcześnie i w przyszłości, tego potrzebują kolejne pokolenia" – podkreślał wicepremier.

Kanada: Wystawa w hołdzie mjr. Radwankowi

12 kwietnia w Konsulacie Generalnym RP w Montrealu odbył się wernisaż wystawy poświęconej mjr. Jerzemu Radwankowi, pilotowi-nawigatorowi, więźniowi obozu Auschwitz, uhonorowanemu tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Ekspozycja powstała z inicjatywy Polish-Canadian Business and Professional Association of Windsor. Przygotowała ją córka majora Anna Malczewska. Organizatorzy stworzyli także poświęconą bohaterowi broszurę w językach polskim i angielskim. Wystawa ma być pokazywana w kolejnych miejscach, w tym w Warszawie.

Wokół tematu wojny kulturowej w Europie

8 maja w warszawskim Domu Pielgrzyma Amicus miało miejsce spotkanie ze słowackim politykiem, b. ministrem spraw wewnętrznych tego kraju prof. Vladimirem Palką zatytułowane „Wojna kulturowa w Europie", połączone z premierą jego książki „Lwy nadchodzą". Dyskusja została poświęcona laicyzacji Zachodu, dominacji środowisk LGBT w debacie publicznej oraz obronie chrześcijańskiego charakteru Europy. Organizatorem spotkania był Żoliborsko-Bielański Klub „Gazety Polskiej".

W hołdzie gen. Józefowi Hallerowi

FOT. NAC

28 kwietnia na warszawskiej Pradze miała miejsce uroczystość związana z upamiętnieniem 100. rocznicy nadania tytułu honorowego obywatela Warszawy gen. Józefowi Hallerowi. Rozpoczęła się ona mszą św. w kościele Matki Bożej Loretańskiej, po której zakończeniu odbyły się obchody przy tablicy pamiątkowej na pl. Hallera. „W szczególnym czasie narodowych obchodów setnej rocznicy odzyskania niepodległości Rzeczpospolitej Polskiej, dla uczczenia poświęcenia żołnierzy Błękitnej Armii w walkach na froncie zachodnim w czasie I wojny światowej oraz o utrwalenie granic odrodzonej Rzeczpospolitej Polskiej, dla upamiętnienia zasług i dokonań generała Józefa Hallera, wielkiego patrioty, wybitnego organizatora i dowódcy Wojska Polskiego, jednej z najważniejszych postaci w dziejach najnowszych Polski, z wyrazami uznania dla organizatora Społecznego Komitetu Organizacyjnego Obchodów Patriotycznych oraz wszystkich instytucji i osób współorganizujących uroczystość za stanie na straży pamięci o generale Józefie Hallerze z życzeniami sukcesów w dalszym promowaniu postaw obywatelskich i patriotycznych" – napisał w liście do zebranych prezydent RP Andrzej Duda. „Przybycie armii Generała Hallera było wydarzeniem ogromnej wagi w historii naszego wybijania się na niepodległość. Dlatego też niezmiennie się cieszę, że nie zapominacie Państwo o czynie zbrojnym Błękitnej Armii oraz upamiętniacie przyjazd do Warszawy Jej dowódcy wraz z pierwszym rzutem oddziałów" – podkreślił z kolei w swoim liście prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński. W obchodach wzięli udział m.in. posłowie Paweł Lisiecki i Andrzej Melak, eurodeputowany Ryszard Czarnecki oraz duszpasterz środowisk niepodległościowych ks. Józef R. Maj. Organizatorem wydarzenia był Komitet Społeczny złożony z wielu środowisk patriotycznych.

eprasa.pl 1a0018e33b

Warszawa: 9. edycja Marszu Rotmistrza Pileckiego

25 maja ulicami stolicy przejdzie, już po raz dziewiąty, Warszawski Marsz Rotmistrza Witolda Pileckiego. Rozpocznie się on ok. godz. 15 pod pomnikiem Mikołaja Kopernika na Krakowskim Przedmieściu. Marsz przejdzie Traktem Królewskim, a następnie kolejnymi ulicami, aby dotrzeć do miejsca śmierci ochotnika do Auschwitz – byłego więzienia przy ul. Rakowieckiej, w którym dokładnie 71 lat wcześniej, w wyniku stalinowskiego mordu sądowego, wykonano wyrok śmierci na jednym z najodważniejszych bohaterów w dziejach świata. Następnie uczestnicy zgromadzenia wezmą udział we mszy św., a także apelu pamięci na terenie obecnego Muzeum „Żołnierzy Wyklętych" i Więźniów Politycznych PRL. Więcej szczegółów będzie można znaleźć na stronie internetowej głównego organizatora marszu Fundacji Służba Niepodległej – www.sluzbaniepodleglej.pl.

Konferencja „Między ugodą a carobójstwem"

24 maja na Uniwersytecie Warszawskim odbędzie się międzynarodowa konferencja zorganizowana przez Wydział Artes Liberales UW oraz Centrum Dialogu i Porozumienia Polsko-Rosyjskiego „Między ugodą a carobójstwem. Granice polsko-rosyjskiego kompromisu politycznego w epoce Królestwa Polskiego 1815–1830 (W rocznicę ostatniej koronacji 1829 r.)". Miejscem debat będzie sala Kolegium Artes Liberales UW przy ul. Dobrej 72. Historycy i badacze literatury z Polski i Rosji będą dyskutować nad przyczynami klęski eksperymentu polsko-rosyjskiej ugody w epoce Królestwa Kongresowego, próbami jej podtrzymywania, sprzecznością interesów polskich i rosyjskich w XIX w. oraz zderzeniem odmiennie ukształtowanych przez historię i kulturę tradycji politycznych – imperium Romanowów i republikańskiego dziedzictwa I Rzeczypospolitej.

Mazowiecki Rajd Śladami „Roja"

Fundacja im. Janusza Kurtyki zaprasza do udziału w Mazowieckim Rajdzie Śladami st. sierż. „Roja", który odbędzie się 1–2 czerwca br. Stanowi on część III Edycji projektu Rajd Śladami Żołnierzy Wyklętych. Odbędzie się na terenie północnego Mazowsza ku pamięci st. sierż. Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja" – legendarnego dowódcy oddziału partyzanckiego. W trakcie rajdu przewidziano m.in. spotkania ze świadkami tamtych wydarzeń oraz rodzinami partyzantów. Kulminacyjnym momentem będzie wizyta w Szyszkach, miejscu śmierci „Roja". Zgłoszenia do udziału przyjmowane są do 20 maja pod adresem e-mail: rajd@fundacjakurtyki.pl. Więcej informacji na stronie www.fundacjakurtyki.pl

Rajd odbywa się pod patronatem prezydenta RP Andrzeja Dudy. Współorganizatorem jest Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Partnerem Głównym jest PKN ORLEN.

IX Kongres „Polska Wielki Projekt"

7–9 czerwca w Arkadach Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie będzie miała miejsce 9. edycja Kongresu „Polska Wielki Projekt", jednego z najważniejszych forów debaty o fundamentalnych sprawach związanych z funkcjonowaniem państwa i społeczeństwa. Rozpocznie się on 7 czerwca o godz. 10 od przemówienia premiera RP Mateusza Morawieckiego. Następnie odbędą się panele dyskusyjne poświęcone rozwojowi polskiego rolnictwa, potencjałowi polskiej gospodarki oraz miejscu Europy na duchowej mapie świata. Pierwszy dzień zakończy uroczystość wręczenia medalu „Odwaga i Wiarygodność" dedykowanego osobom promującym Polskę za granicą. Drugiego dnia będą miały miejsce debaty na temat trendów demograficznych, współczesnych wojen ideologicznych, nowych mediów, zadań polskiej polityki zagranicznej w „nowym rozdaniu" w ramach UE. Kongres zamkną panele poświęcone młodej polskiej emigracji oraz przyszłości polskiej kultury, a także uroczystość wręczenia Nagrody im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego wybitnym ludziom kultury. Organizatorem przedsięwzięcia jest Fundacja „Polska Wielki Projekt". Honorowym patronatem objął je prezydent RP Andrzej Duda.

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

25 maja, sobota, godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

28 maja, wtorek, godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05.

eprasa.pl 1a0018e33b

Polscy profesjonaliści nad Sekwaną

W pierwszej połowie 1919 r. w Paryżu obradowała wielka konferencja pokojowa, która miała określić stabilny i sprawiedliwy kształt świata po I wojnie światowej. Mimo że brali w niej udział przedstawiciele wielu państw z Europy, obu Ameryk i Azji, decydującą rolę odgrywały delegacje francuska i brytyjska z premierami Georges'em Clemenceau i Lloydem George'em oraz Stanów Zjednoczonych z prezydentem Woodrowem Wilsonem na czele. Jednym z najważniejszych zadań stojących przed konferencją było wyznaczenie powojennych zobowiązań i granic państwa niemieckiego. W tej sytuacji siłą rzeczy pierwszoplanowym tematem obrad stał się również kształt odrodzonej Rzeczypospolitej, a polska delegacja musiała się zmierzyć z prawdziwą burzą sprzecznych interesów. Londyn walczył o równowagę na kontynencie, wspierając pokonanych Niemców i zwalczając polskie postulaty terytorialne. Paryż popierał je, dążąc do maksymalnego osłabienia Niemiec. Amerykanie skupili się na forsowaniu pomysłu Ligi Narodów i realizacji hasła prawa narodów do samostanowienia, ustępując niekiedy Francuzom, lecz zasadniczo popierając Anglosasów. A warto jeszcze wspomnieć, że polskie żądania dotyczące granicy wschodniej znalazły się pod ostrzałem rosyjskiej i ukraińskiej emigracji nad Sekwaną.

W takim stanie rzeczy delegacja Rzeczypospolitej nie mogła mieć żadnych słabych stron. I nie miała. Była to chyba najtrafniej zbudowana, najbardziej profesjonalna reprezentacja, jaką kiedykolwiek wystawiła Warszawa do walki o polskie interesy na arenie międzynarodowej. W obliczu porozumienia zawartego przez Naczelnika Państwa Piłsudskiego i Dmowskiego, kierującego w latach wojny Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu, stanowiła polityczny monolit, choć składała się ze współpracowników obu mężów stanu. Na jej czele stali wielki strateg polityczny Roman Dmowski oraz cieszący się szacunkiem międzynarodowej opinii publicznej i wielkich tego świata Ignacy Paderewski, pełniący wówczas dodatkowo urząd polskiego premiera i ministra spraw zagranicznych. Weszli oni w rolę politycznych asów, którymi zagrała strona polska. Jednak obok nich w delegacji znaleźli się znakomici fachowcy, specjalizujący się w zagadnieniach, które wypełniły agendę obrad w kwestiach polskich – ekonomiści, finansiści, specjaliści w zakresie spraw narodowościowych, geografowie, kartografowie i demografowie. Dysponowali oni wyczerpującą dokumentacją przewiezioną nad Sekwanę. Mieszanka politycznego doświadczenia Dmowskiego, charyzmy Paderewskiego i wiedzy profesjonalistów miała się stać gwarancją sukcesu.

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Polskie Stany Zjednoczone Europy

W pierwszych latach niepodległości pytanie, jaka ma być Polska, dotyczyło nie tylko politycznego ustroju Rzeczypospolitej, mającego w niej zapanować ładu społeczno-gospodarczego czy też jej granic, ale zasadniczej koncepcji struktury państwa związanej z jego pozycją w Europie i – szerzej – na arenie międzynarodowej. Krzyżowały się bowiem wówczas ze sobą dwie idee: Romana Dmowskiego – Polski narodowej, ograniczonej terytorialnie do ziem etnicznie polskich i Kresów Wschodnich, na których żywioł polski dominował politycznie, gospodarczo i kulturalnie, oraz koncepcja Józefa Piłsudskiego – Rzeczypospolitej jako federacji czterech narodów i państw, zbudowanej z Polski, Litwy, Ukrainy i Białorusi, powiązanych politycznie, ekonomicznie i wojskowo oraz wspólną polityką zagraniczną. Idea polsko-litewsko-ukraińsko-białoruskiej federacji była ambitnym, historycznym nawiązaniem do wielonarodowej i przede wszystkim mocarstwowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Równocześnie wychodziła naprzeciw święcącemu triumfy w Europie hasłu prawa narodów do samostanowienia. Wobec słabości rodzących się dopiero narodów – Litwinów, Ukraińców i Białorusinów – alternatywą dla federacji dającej im szanse własnej państwowości, był w praktyce podział ich ziem (wcześniej czy później) pomiędzy Polskę i nową, sowiecką, lecz nadal imperialną Rosję. Wreszcie – jak pokazała przyszłość – dla samej Polski federacja stanowiła rękojmię przetrwania, a z czasem stabilizacji i odegrania mocarstwowej roli jako gwaranta bezpieczeństwa państw, położonych pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem. To bowiem na federację Polski, Litwy, Ukrainy i Białorusi spadłaby odpowiedzialność za poskromienie terytorialnych apetytów bolszewickiego, „czerwonego" imperium i skuteczne zahamowanie rewizjonistycznych ambicji Niemiec, dążących od zakończenia I wojny światowej do przekreślenia postanowień „dyktatu wersalskiego" z 1919 r. i powrotu do granic sprzed 1914 r.

Państwo, które byłoby rezultatem zrealizowania federacyjnej koncepcji Piłsudskiego, niektórzy spośród jego współczesnych określali – a obecnie część historyków wraca do tej nazwy – mianem Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej. Nie ma w tym krzty przesady, powstałoby bowiem na Starym Kontynencie u progu międzywojnia potężne, demokratyczne mocarstwo, odgrywające w Europie Wschodniej rolę, jaka w skali światowej przypadła obecnie Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej.

eprasa.pl 1a0018e33b

O PIERWSZEJ PIELGRZYMCE ŚW. JANA PAWŁA II DO POLSKI, JEJ KOLOSALNYM ZNACZENIU NIE TYLKO DLA POLAKÓW, O RELACJACH MIĘDZY PAŃSTWEM A KOŚCIOŁEM, DOBRYM POJMOWANIU WOLNOŚCI I PROROCKIM NAUCZANIU PAPIEŻA Z KARD. STANISŁAWEM DZIWISZEM ROZMAWIA PREZES KATOLICKIEJ AGENCJI INFORMACYJNEJ MARCIN PRZECISZEWSKI

Kardynał Stanisław Dziwisz: Jan Paweł II był głosem tych, którym prawo do głosu zostało odebrane

DZIEDZICTWO ZOBOWIĄZUJE

Zbliża się 40. rocznica pamiętnej wizyty w Polsce św. Jana Pawła II w czerwcu 1979 r. Czy możliwość rozbicia komunizmu wydawała się wówczas realna, czy też papież kierował się wąskim realizmem podpowiadającym, że system jałtański jest nienaruszalny? Kilkanaście lat temu w wywiadzie dla KAI powiedział ksiądz kardynał, że spośród ponad 100 zagranicznych wizyt św. Jana Pawła II najważniejsza była ta do Polski, z 1979 r.

Kardynał Stanisław Dziwisz: Podtrzymuję to zdanie. Czas pokazał, że pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny była pod wieloma względami przełomowa. Otworzyła drogę ku wolności, i to nie tylko w Polsce.

Co spowodowało, że przewodnim tematem pielgrzymki stało się Zesłanie

eprasa.pl 1a0018e33b

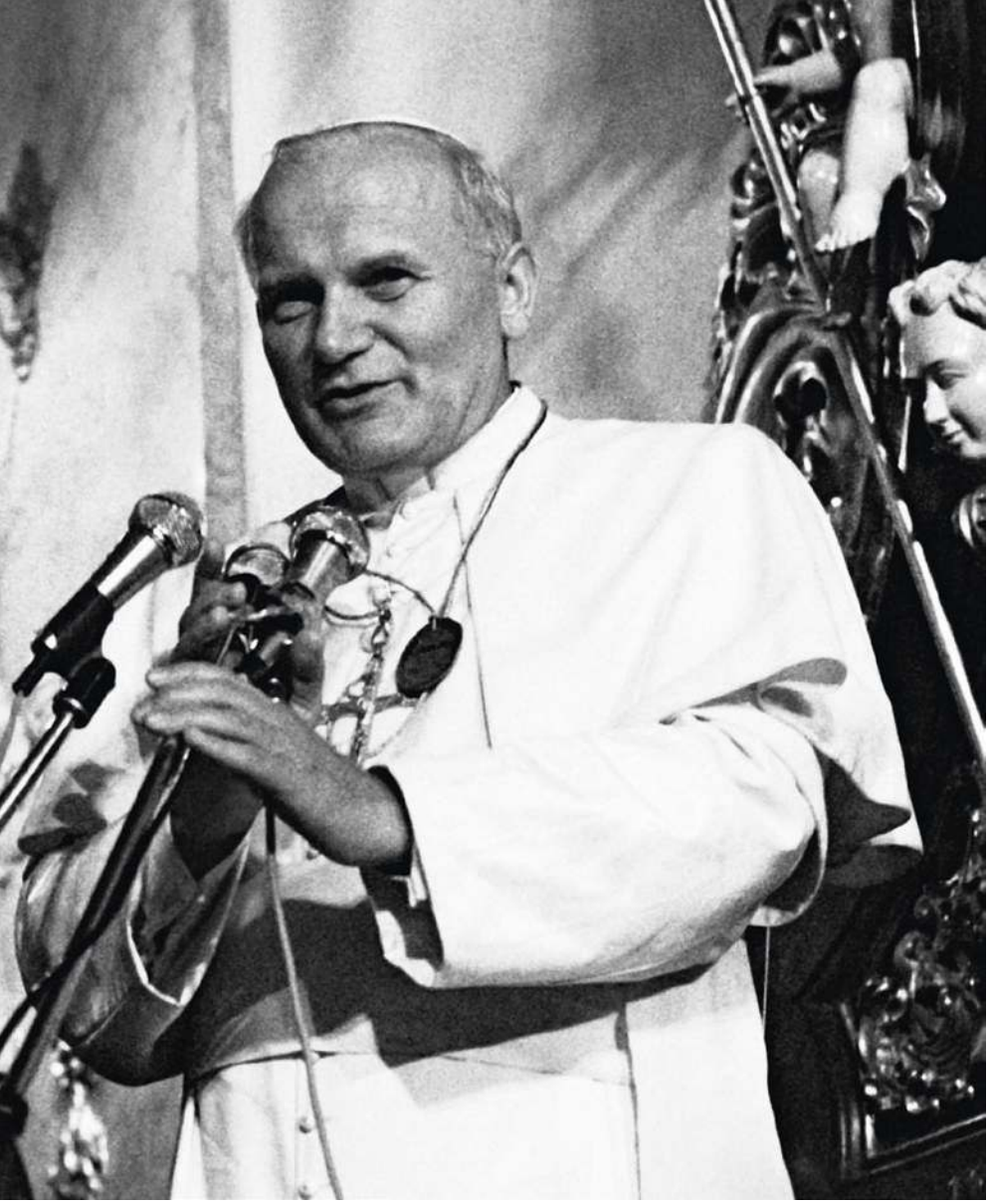

FOT. WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Ducha Świętego? Do tego wątku papież nawiązywał niemal wszędzie, zarówno w Warszawie, w Gnieźnie, jak i w Krakowie...

Jan Paweł II był wizjonerem, podobnie jak wielu artystów. Wiedział, co trzeba powiedzieć i na co naród czeka. Wiedział, jak te kwestie naświetlić w duchu wiary i nauczania Kościoła. A poza tym czas pielgrzymki zbiegał się z Zielonymi Świętami.

Jakie konkretnie znaczenie miała wizyta św. Jana Pawła II dla „narodów pobratymczych" oraz zmiany „polityki wschodniej" Stolicy Apostolskiej? Jakie znaczenie miało jego przemówienie w Gnieźnie?

Jeśli pyta pan o przemówienie papieża w Gnieźnie, w drugim dniu pielgrzymki do Polski, to powiem krótko. Gniezno – i słowa, jakie tam padły – były początkiem likwidowania żelaznej kurtyny dzielącej ówczesną Europę. Nie mur berliński, tylko Gniezno.

Jan Paweł II był głosem tych, którym prawo do głosu zostało odebrane. Był rzecznikiem uciśnionych, zniewolonych narodów, nie tylko w krajach bloku wschodniego, choć ze względu na to, że był synem polskiej ziemi, ich losy były mu szczególnie bliskie.

Papież nigdy się nie pogodził z koncepcją „historycznego kompromisu", który sprowadzał się do tego, że cały Zachód, a w tym wielu ludzi Kościoła, widziało marksizm jako niepodważalny element rozwoju historii. W przeciwieństwie do tego głosił koncepcję praw osoby ludzkiej i nienaruszalnej świętości życia człowieka. Według niego przyszłość nie należy ani do marksizmu, ani do walki klas. W ten sposób spowodował zdecydowany zwrot w polityce watykańskiej. Zmiana perspektywy spowodowała refleksję w wielu kręgach, czy rzeczywiście marksizm jest aż tak silny.

Pierwsza pielgrzymka do Ojczyzny obudziła nadzieje na zmiany i zmobilizowała polski naród do obrony godności i walki o wolność. Ludzie zrozumieli, że nie są sami, że mają potężnego sojusznika, który się o nich upomina. Polacy ufali papieżowi i sile jego ducha. To było źródło ich siły. Nasi przyjaciele pozostający wraz z Polską za żelazną kurtyną z nadzieją patrzyli na to, co się działo podczas spotkań papieża z rodakami. Ojciec Święty zresztą podkreślał często swoją bliskość z innymi ciemiężonymi przez reżim komunistyczny narodami. Wystarczy wspomnieć jego braterskie relacje z arcybiskupem Pragi kardynałem Františkiem Tomáškiem czy ukraińskim hierarchą kard. Josyfem Slipym.

Na ile Jan Paweł II inspirował stanowisko i strategię Kościoła w Polsce w okresie nocy stanu wojennego i w latach kolejnych? Na ile ta strategia była uzgadniana z papieżem?

Ojciec Święty nie pogodził się ze stanem wojennym. W dopowiedzeniu do przemówienia wygłoszonego po kanonizacji św. Maksymiliana podczas audiencji dla Polaków mówił: „Społeczeństwo polskie, mój Naród, zasługuje nie na to, ażeby go pobudzać do łez rozpaczy i przygnębienia, ale na to, żeby tworzyć lepszą jego przyszłość".

Jan Paweł II stawiał sprawy jasno i zdecydowanie. Z uwagą śledził to, co się dzieje w Polsce. Przez cały okres trwania stanu wojennego publicznie modlił się za naród polski do Matki Bożej Częstochowskiej. To była modlitwa, która inspirowała Polaków. Dzięki niej wiedzieli, że papież jest ze swoimi rodakami, że ich nie opuszcza, że nie akceptuje sytuacji, w jakiej znalazła się jego umiłowana ojczyzna.

A czy w Watykanie brana była pod uwagę możliwość wkroczenia wojsk sowieckich do Polski? Czy Jan Paweł II uwzględniał taką możliwość?

O żadnej sowieckiej inwazji nie było mowy. Nikt rozsądny nie mógł przewidywać inwazji na Polskę, skoro Rosjanie prowadzili wojnę w Afganistanie. Wiedzieliśmy, że w ZSRS nie ma wewnętrznej atmosfery umożliwiającej inwazję. Mieliśmy precyzyjne wiadomości, bezpośrednio z Białego Domu. Otrzymywaliśmy je od prof. Zbigniewa Brzezińskiego, »

eprasa.pl 1a0018e33b

Kardynał Stanisław Dziwisz był w latach 2005–2016 arcybiskupem metropolitą krakowskim

FOT. SHUTTERSTOCK

» a nawet od prezydenta Ronalda Reagana, który osobiście telefonował do papieża. Śledziliśmy ruchy wojsk sowieckich poza naszą wschodnią granicą. Jednak o żadnej inwazji nikt nie wspominał.

W tym roku przypada także 30-lecie odzyskania suwerenności przez Polskę. Jak papież odnosił się do rozmów okrągłego stołu w Polsce, które otwarły drogę do dalszych przemian?

Z wielkimi nadziejami. Janowi Pawłowi II zależało przede wszystkim na tym, by przemiany w jego ojczyźnie dokonały się na drodze pokojowej. To miała być rewolucja ducha, rewolucja sumień, a nie krwawy przewrót. Nie chciał, by jego rodacy padli ofiarą przemocy zbrojnej.

To fakt, że pokojowy, bezkrwawy upadek komunizmu był w dużej mierze właśnie dziełem Jana Pawła II. Jak to przekonanie można uzasadnić, odwołując się do ówczesnych realiów polityki międzynarodowej?

Pamiętamy jego przemówienie do korpusu dyplomatycznego w styczniu 1990 r., kiedy to powiedział: „Przemożne pragnienie wolności doprowadziło do zburzenia murów i otwarcia bram". Papież mówił wtedy, że wielkie stolice naszego regionu stały się etapami długiej pielgrzymki do wolności możliwej dzięki temu, że ludzie pokonali strach przed reżimem. Václav Havel nazwał ten proces przemian „cudem", który dokonał się dzięki postawie papieża z Polski, niezłomnie i konsekwentnie broniącego praw człowieka w zniewolonych krajach za żelazną kurtyną.

Rok 1989 to także odnowienie normalnych relacji dyplomatycznych między Polską a Stolicą Apostolską, wyrażające się w mianowaniu nuncjusza ze strony Stolicy Apostolskiej oraz uruchomienie przygotowań do konkordatu. Jaką wagę przywiązywał Jan Paweł II do tych spraw?

Były to kwestie istotne, bo świadczyły o tym, że Polacy rzeczywiście odzyskali wolność i mogą cieszyć się swobodą wyznawania wiary, że Kościół znajduje należne miejsce w przestrzeni publicznej, a jego głos liczy się w społeczeństwie. To były formalne konsekwencje odzyskania wolności, które miały doprowadzić do normalizacji relacji ze Stolicą Apostolską. Świadczyły też o tym, że Polska odzyskuje głos na arenie międzynarodowej.

eprasa.pl 1a0018e33b

FOT. NAC

Spotkanie papieża Jana Pawła II z wiernymi w Gębarzewie pod Gnieznem podczas I pielgrzymki do Polski. Sekretarz papieża ks. Stanisław Dziwisz przekazuje Janowi Pawłowi II tekst przemówienia

Jak ksiądz kardynał ocenia znaczenie konkordatu między Rzecząpospolitą Polską a Stolicą Apostolską i wprowadzony przezeń model relacji z państwem jak również obecności Kościoła w przestrzeni publicznej? Czy można powiedzieć, że dokument ten jest jednym z fundamentów dzisiejszej polskiej demokracji?

Umowy międzynarodowe są podejmowane w celu utrwalenia pokojowego współżycia między zawierającymi je stronami. Równocześnie są gwarancją poszanowania podstawowych praw narodów i osób. Taki był cel zawarcia konkordatu. Nie chodziło o zabezpieczenie przywilejów dla Kościoła, ale o zapewnienie przestrzeni i warunków, w jakich Kościół mógł realizować swoje posłannictwo. Zawarcie konkordatu było wydarzeniem, które świadczyło o tym, że w Polsce panuje wolność i demokracja.

W 1991 r. Jan Paweł II przyjechał do Polski z ważnym programem dotyczącym polskiej wolności opartej na Dekalogu. Szczególnie ważne były jego historyczne słowa na lotnisku pod Kielcami o Matce-Ojczyźnie; czy to jest – patrząc dziś w 2019 r. na pielgrzymki Jana Pawła II do Polski – najbardziej przejmująca i może najważniejsza pielgrzymka, a słowa nadal aktualne, bośmy ich do dziś nie zrozumieli?

Ta pielgrzymka odbywała się w szczególnym klimacie. Polacy zachłysnęli się dopiero co odzyskaną wolnością, tymczasem Ojciec Święty przybył do nich z trudnym orędziem o wolności, która może prowadzić do zniewolenia. Mówił o wolności, która jest zadaniem, a nie przywilejem; o wolności, która domaga się odpowiedzialnego podejścia, bo nie jest tylko sprawą jednostek, ale przestrzenią, w której ma się rozwijać i dojrzewać wspólnota. Mówił o wolności, która kosztuje. To wolność, która stawia wymagania. Ojciec Święty bolał nad tym, że nie został zrozumiany przez niektórych rodaków, ale miał świadomość, że Polacy, po wielu latach zniewolenia, muszą dojrzeć do tego, by z wolności korzystać w sposób ewangeliczny, to znaczy z miłością do drugiego człowieka i w poczuciu odpowiedzialności za jego dobro.

Rok 1991 to także pamiętne słowa Jana Pawła II o Europie, która „winna oddychać swymi dwoma płucami: Zachodu i Wschodu", jakie padły podczas ŚDM w Częstochowie. Czy mógłby nam ksiądz kardynał przypomnieć wizję Europy Jana Pawła II, która była jednym z istotnych wątków jego nauczania? Czy można zaliczyć Jana Pawła II do „ojców założycieli" zjednoczonej Europy?

Jan Paweł II pragnął Europy, która jest wierna swoim chrześcijańskim korzeniom i buduje swoją przyszłość na fundamencie Ewangelii. Pragnął Europy, która jest propozycją ukształtowaną na wartościach uniwersalnych i nieprzemijających, bo z nich wyrosła nasza kultura i cywilizacja. Bronił Europy, która stoi na straży tych wartości, na straży praw człowieka i praw narodów. W tym sensie uzasadnione są opinie, że św. Jan Paweł II należy do grona wielkich patronów Europy.

Możemy mówić o „modelu Kościoła" Jana Pawła II, który wciąż jest aktualny i wymaga konsekwentnej realizacji. Jak by ksiądz kardynał scharakteryzował tę wizję i co z niej wymaga pilnej realizacji dziś na ziemi polskiej?

Jan Paweł II był człowiekiem Soboru Watykańskiego II. Sobór ukształtował jego myślenie o Kościele i świecie współczesnym, i taki model Kościoła realizował jako papież. To Kościół, który odważnie wychodzi do świata i wsłuchuje się w wyzwania współczesności, szukając odpowiedzi w Ewangelii. To Kościół, w którym jest miejsce dla każdego i który nikogo nie wyklucza. To Kościół, który z miłością głosi zbawcze orędzie Chrystusa i nie pozostaje bierny wobec bolączek trapiących ludzkość. To Kościół, który ofiarowuje nadzieję, stając w obronie uciśnionych i słabych, i niosąc zranionemu grzechem człowiekowi Dobrą Nowinę o miłosiernej miłości Boga.

Jestem głęboko przekonany, że Kościół w naszej ojczyźnie powinien szukać inspiracji w dalekosiężnym, prorockim nauczaniu św. Jana Pawła II, który był przecież nieodrodnym synem polskiej ziemi. Pogłębianie jego duchowego testamentu i dziedzictwa, jakie pozostawił, to nasz przywilej, ale i obowiązek.

Dziękuję za rozmowę.

Całość rozmowy można przeczytać na stronach Katolickiej Agencji Informacyjnej – ekai.pl

eprasa.pl 1a0018e33b

Msza św. celebrowana przez Jana Pawła II na pl. Zwycięstwa w Warszawie, 2 czerwca 1979 r.

PRZEKROCZYĆ PRÓG OJCZYZNY

MONIKA JABŁOŃSKA-CHODAKIEWICZ

NIECH ZSTĄPI DUCH TWÓJ! NIECH ZSTĄPI DUCH TWÓJ I ODNOWI OBLICZE ZIEMI. TEJ ZIEMI!

O pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski dowiadywałam się z opowiadań rodziców, książek, filmów dokumentalnych i z relacji zaprzyjaźnionych osób. Choć w czerwcu 1979 r. nie było mnie jeszcze na świecie, dziś trudno mi ukryć wzruszenie na myśl o tym ważnym wydarzeniu dla Polaków, Polski i polskiego Kościoła.

W 1979 r. naród polski od ponad trzech dekad zmagał się z reżimem komunistycznym. Komunizm, podobnie do innych totalitaryzmów – jak napisał papież – był ideologią, u której podstaw leżało odrzucenie Boga jako Stwórcy, a przez to jako źródła stanowienia o tym, co dobre, a co złe. „Odrzucono to, co najgłębiej stanowiło o człowieczeństwie, czyli pojęcie »natury ludzkiej« jako rzeczywistości, zastępując ją »wytworem myślenia« dowolnie kształtowanym i dowolnie zmienianym według okoliczności". Był zatem ideologią trudną do pogodzenia z doktryną Kościoła.

Gdy naród szukał przewodnika

Przyjazd Karola Wojtyły po wyborze na tron papieski do ojczyzny był nieunikniony. Władze komunistyczne, jak długo mogły, sprzeciwiały się podróży Ojca Świętego do ojczyzny. A mimo to 2 czerwca 1979 r., o godz. 10.07, odrzutowiec włoskich linii lotniczych Alitalia „Città di Bergamo" z gościem z Watykanu wylądował na polskiej ziemi. Kardynał Stanisław Dziwisz opisał ten moment następującymi słowami: „Jan Paweł II widział przez okienko, jak Ojczyzna się

eprasa.pl 1a0018e33b

przybliża. Był skupiony, wzruszony. Mówił tak cicho, że z trudem słyszałem jego głos. Mówił o podróży jak o obowiązku: »Musiałem odwiedzić Polskę! Muszę wesprzeć Polaków«".

Jan Paweł II przybył z dziewięciodniową wizytą (2–10 czerwca 1979 r.) jako pierwszy papież, „który przekraczał próg komunistycznego kraju wtedy, kiedy serce Europy wciąż jeszcze przecięte było żelazną kurtyną, a cały świat był ideologicznie przepołowiony". W przemówieniu powitalnym na lotnisku Okęcie w Warszawie pozdrowił swój naród słowami: „Przybywam do was jako syn tej ziemi, tego narodu, a zarazem, z niezbadanych wyroków Opatrzności, jako następca św. Piotra: na tej właśnie rzymskiej stolicy. [...] Pragnę, ażeby mój pobyt w Polsce przysłużył się również tej niestrudzonej woli życia moich rodaków na ziemi, która jest naszą wspólną Matką i Ojczyzną. Oby służył dobru wszystkich Polaków, wszystkich polskich rodzin, narodu i państwa. Oby – powiem to jeszcze raz – pobyt ten mógł przysłużyć się wielkim sprawom pokoju, przyjaznego współżycia pomiędzy narodami i sprawiedliwości społecznej".

Tysiące pielgrzymów – ze wszystkich stron Polski i świata – przybyło zobaczyć swego rodaka. W oknach wizerunki z podobizną Jana Pawła II, w tłumie powiewające chorągwie i morze kwiatów, a do tego śpiew i radosne okrzyki pielgrzymów, którym nie było końca. Polska jakby na nowo odżyła. Jak później skomentował George Weigel w swojej książce „Świadek nadziei": „Żaden polski bohater narodowy – ani Jan III Sobieski, ani Tadeusz Kościuszko, ani Józef Piłsudski – nie wkroczył do Warszawy tak tryumfalnie, jak to uczynił Jan Paweł II".

Jednym z trudnych, ale jakże istotnych momentów pielgrzymki Ojca Świętego do Polski było spotkanie z władzami komunistycznymi. Podczas tego wydarzenia Jan Paweł II powiedział: „Pozwólcie, Szanowni Panowie, że będę to dobro nadal uważał za moje dobro, że będę tak samo głęboko odczuwał mój udział w nim, jakbym nadal mieszkał na tej ziemi i był obywatelem tego państwa. I z taką samą też – a może nawet jeszcze powiększoną przez oddalenie – siłą będę odczuwał nadal wszystko to, co mogłoby Polsce zagrażać, szkodzić, przynosić jej ujmę, co mogłoby oznaczać zastój czy załamanie. Pozwólcie, że nadal będę tak odczuwał, tak myślał, tak życzył, o to się modlił. Przemawia do was syn tej samej Ojczyzny". Słowa Jana Pawła II wywołały niemałe poruszenie wśród ówczesnych władz, wręcz strach przed zmianami, które dopiero miały nadejść.

Niech zstąpi Duch Twój

Jan Paweł II odprawił pierwszą mszę świętą w Warszawie 2 czerwca w sobotę wieczorem na placu Zwycięstw. Zebrały się tam dziesiątki tysięcy wiernych. Kolejne rzesze zasiadły przed telewizorami i przy odbiornikach radiowych. Jak pisał jeden z cenionych watykanistów, dziennikarz i pisarz włoski Gian Franco Svidercoschi: „Kardynał König określił to jako prawdziwe »trzęsienie ziemi«. Pozornie nienaruszalny system, który ponad 30 lat dzierżył władzę absolutną, narzucając swoje ateistyczne credo, stawał się niemym i bezsilnym świadkiem zachwiania swej ideologii, w pewnym sensie swego »uroku«". Msza święta na placu Zwycięstwa odbyła się w przededniu zesłania Ducha Świętego, dnia narodzin Kościoła. Jan Paweł II dał temu wyraz następującymi słowami: „Chrystusa nie można wyłączać z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu Ziemi". Największy entuzjazm wywołały jednak słowa Ojca Świętego, gdy ten powiedział: „Kościół przyniósł Polsce Chrystusa – to znaczy klucz do rozumienia tej wielkiej i podstawowej rzeczywistości, jaką jest człowiek. [...] Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski – przede wszystkim jako dziejów ludzi, którzy przeszli i przechodzą przez tę ziemię. Dzieje ludzi! Dzieje narodu są przede wszystkim dziejami ludzi. A dzieje każdego człowieka toczą się w Jezusie Chrystusie. W Nim stają się dziejami zbawienia". I wreszcie długo wyczekiwana modlitwa do Ducha Świętego, w której Jan Paweł II wołał: „I wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja: Jan Paweł II papież, wołam z całej głębi tego tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi! Amen".

Po uroczystościach w Warszawie papież udał się do Gniezna, kolebki chrześcijaństwa w Polsce. Właśnie tam Jan Paweł II zwrócił się do obywateli krajów Europy Środkowej, Południowej i Wschodniej: „Czyż Chrystus tego nie chce, czy Duch Święty tego nie rozrządza, ażeby ten papież Polak, papież Słowianin, właśnie teraz odsłonił duchową jedność chrześcijańskiej Europy, na którą składają się dwie wielkie tradycje: Zachodu i Wschodu? [...] chyba na to prowadził go Duch Święty, ażeby do wielkiej wspólnoty Kościoła wniósł szczególne zrozumienie tych wszystkich słów i języków, które wciąż jeszcze brzmią obco, daleko, dla ucha nawykłego do dźwięków romańskich, germańskich, anglosaskich, celtyckich [...] [Papież] przychodzi wszystkie te narody i ludy – wraz ze swoim własnym – przygarnąć do serca Kościoła: do serca Matki Kościoła, której ufa bezgranicznie".

Historii nie można zrozumieć bez Chrystusa i Matki Jego

Następnym etapem podróży Ojca Świętego była Częstochowa. Tam papież powiedział: „Jasna Góra jest wewnętrznym spoidłem życia narodu, jest siłą, która chwyta głęboko za serce i trzyma naród cały w pokornej a mocnej postawie wierności Bogu, Kościołowi i jego hierarchii. [...] Jasna Góra jest sanktuarium narodu. [...] Trzeba przykładać ucho do tego świętego miejsca, aby czuć, jak bije serce narodu w Sercu Matki. Bije zaś ono, jak wiemy, wszystkimi tonami dziejów, wszystkimi odgłosami życia. Ileż razy biło jękiem polskich cierpień dziejowych! Ale również okrzykami radości i zwycięstwa! Można na różne sposoby pisać dzieje Polski, zwłaszcza ostatnich stuleci, można je interpretować wedle wielorakiego klucza. Jeśli jednakże chcemy dowiedzieć się, jak płyną te dzieje w sercach Polaków, trzeba przyjść tutaj".

Wieczorem 6 czerwca Jan Paweł II odleciał do Krakowa. Witając się z wiernymi, Karol Wojtyła powiedział: „Pragnę od razu na wstępie wyrazić moją radość, że znajduję się w tym mieście, które niezbadanym wyrokiem Opatrzności wypadło mi opuścić i od dnia 16 października ubiegłego roku zamienić świętego Stanisława na świętego Piotra, sukcesję na krakowskiej stolicy na sukcesję na stolicy rzymskiej. [...] Jestem wam wdzięczny, jeżeli mnie jeszcze trochę uważacie za swojego. [...] Tu, na tej ziemi, się urodziłem. Tutaj, w Krakowie, spędziłem większość lat mojego życia, poczynając od wpisu na Uniwersytet Jagielloński w 1938 r. Tutaj też doznałem łaski powołania kapłańskiego. [...] Tutaj też w katedrze wawelskiej otrzymałem konsekrację biskupią – a od stycznia 1964 r. przejąłem wielkie dziedzictwo biskupów krakowskich. [...] Kraków od najmłodszych lat mojego życia, od lat dziecięcych jeszcze, był dla »

FOT. J. ANUSZ ROSIKON/FOTONOVA, MARCIN ŻURAWICZ

eprasa.pl 1a0018e33b

» mnie szczególną syntezą wszystkiego, co polskie i co chrześcijańskie. [...] Dzisiaj ten mój umiłowany Kraków witam jako pielgrzym".

Z Krakowa Jan Paweł II pojechał do Kalwarii Zebrzydowskiej, a potem do rodzinnych Wadowic. Następnym etapem podróży papieża był niemiecki obóz koncentracyjny w Auschwitz. „Oświęcim jest rozrachunkiem z sumieniem ludzkości poprzez te tablice, które świadczą o ofiarach, jakie poniosły narody. Oświęcim jest miejscem, którego nie można tylko zwiedzać. Trzeba przy odwiedzinach pomyśleć z lękiem o tym, gdzie leżą granice nienawiści. Oświęcim jest świadectwem wojny" – mówił Ojciec Święty. Auschwitz to nie tylko trudna lekcja historii dla ludzi i świata, to przede wszystkim wołanie o poszanowanie człowieka i jego godności oraz poszanowanie prawa narodów do istnienia, posiadania własnego języka, kultury i wolności. Auschwitz to doświadczenie, które nie może się powtórzyć: „Nigdy jeden naród nie może rozwijać się kosztem drugiego, nie może rozwijać się za cenę drugiego, za cenę jego uzależnienia, podboju, zniewolenia, za cenę jego eksploatacji, za cenę jego śmierci. [...] Tych zaś, którzy słuchają mnie z wiarą w Jezusa Chrystusa, proszę, ażeby skupili się w modlitwie o pokój i pojednanie. [...] »Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!... Od powietrza, głodu, ognia i wojny... wybaw nas, Panie!«" – mówił papież.

Musicie być mocni...

Ostatni dzień pielgrzymki Ojca Świętego rozpoczął się mszą świętą na krakowskich Błoniach, która zgromadziła ponad 2 mln ludzi. Było to jedno z największych zgromadzeń w historii. Jak wspominał kard. Dziwisz w swojej książce „Świadectwo": „Niezapomniane przeżycie! Odnosiłem wrażenie, że działo się coś, czego nie byliśmy w stanie objąć naszym rozumem. Od tej chwili ludzie, u boku Papieża, poczuli się wolni, wewnętrznie wolni. Nie byli już owładnięci strachem. Nie tylko w Polsce, ale również w innych krajach Trzeciego Świata zrozumiano, że Papież samą swoją obecnością dawał poczucie wolności. To była siła, nowość pontyfikatu Jana Pawła II, wyzwolenie ludzi z presji strachu!".

Dobiegającą końca pierwszą wizytę apostolską w ojczystym kraju Jan Paweł II zakończył wezwaniem: „Musicie być mocni, drodzy bracia i siostry! Musicie być mocni tą mocą, którą daje wiara! Musicie być mocni mocą wiary! Musicie być wierni! Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiejkolwiek epoce dziejów. Musicie być mocni mocą nadziei, która przynosi pełną radość życia i nie dozwala zasmucać Ducha Świętego! Musicie być mocni mocą miłości, która jest potężniejsza niż śmierć [...]. Gdy jesteśmy mocni Duchem Boga, jesteśmy także mocni wiarą w człowieka. [...] Więc nie trzeba się lękać. [...] I dlatego – zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię »Polska«, raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością – taką, jaką zaszczepia w nas Chrystus na chrzcie świętym, abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się, i nie zniechęcili, abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy. [...] Proszę was o to. Amen".

„ŻADEN POLSKI BOHATER NARODOWY – ANI JAN III SOBIESKI, ANI TADEUSZ KOŚCIUSZKO, ANI JÓZEF PIŁSUDSKI – NIE WKROCZYŁ DO WARSZAWY TAK TRYUMFALNIE, JAK TO UCZYNIŁ JAN PAWEŁ II"

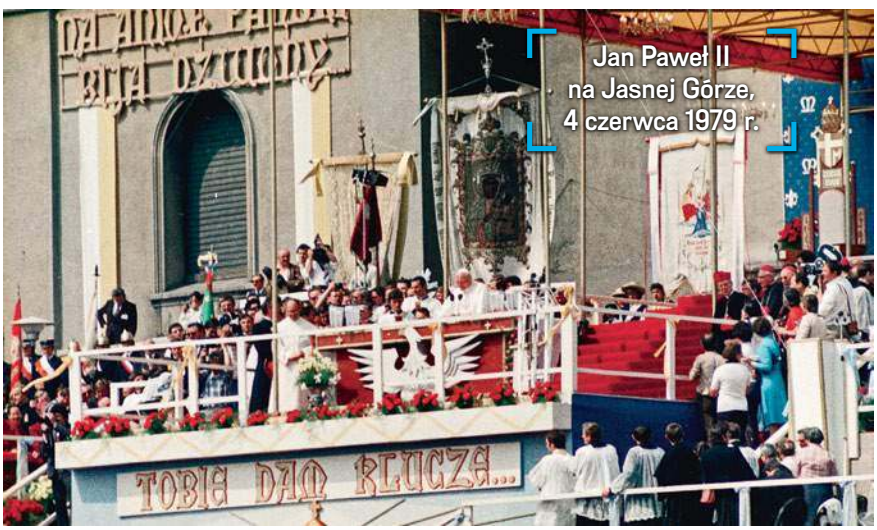

Jan Paweł II na Jasnej Górze, 4 czerwca 1979 r.

FOT. NAC

Wydarzenia, które nastąpiły w Polsce po pierwszej podróży apostolskiej Ojca Świętego do Ojczyzny – mówimy tutaj o powstaniu związku zawodowego „Solidarność" z Lechem Wałęsą na czele i dalszych działaniach, które doprowadziły w istocie do obalenia komunizmu – pokazały, jak wiele dla Polski i Polaków znaczyła ta pielgrzymka. „W czerwcu 1979 r. Jan Paweł II, rozpraszając kłamstwo, pomógł urzeczywistnić coś bezprecedensowego w powojennej Europie Środkowo-Wschodniej. Polska miała teraz prawdziwe społeczeństwo obywatelskie, zdolne budować niezależne instytucje, których samo istnienie wykaże pustkę systemu komunistycznego oraz jego trwanie jedynie dzięki przemocy".

Papieska wizyta odmieniła Polskę. Jak powiedział kard. Dziwisz: „Dało się zauważyć powszechne pragnienie odnowy moralnej i społecznej". Ojciec Święty nie krył swojego zadowolenia z przebiegu wizyty w ojczyźnie. Na koniec wypowiedział znaczące słowa, które mimo upływu czasu nie tracą na sile i wartości: „Trzeba czasem odważyć się pójść także w tym kierunku, w którym dotąd jeszcze nikt nie poszedł. [...] Czasy nasze domagają się od nas, aby nie zamykać się w żadnych sztywnych granicach, gdy chodzi o dobro człowieka". ■

Monika Jabłońska-Chodakiewicz jest również autorką rozprawy: „Wind from Heaven. John Paul II - The Poet who became Pope", Angelico Press, 2017

eprasa.pl 1a0018e33b

„IV PIELGRZYMKA JUŻ DO WOLNEJ POLSKI"

PIELGRZYMKA W 1991 r. PEŁNA BYŁA GORZKICH KOMENTARZY NA TEMAT STANU POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA. JEJ PRZEKAZ OPIERAŁ SIĘ NA ROZWAŻANIACH NAD DEKALOGIEM, KTÓRE BYŁY DLA PAPIEŻA OKAZJĄ DO POSTAWIENIA POLAKOM SERII TRUDNYCH PYTAŃ

PAWEŁ SKIBIŃSKI

Ten napis witał papieża Polaka w Warszawie podczas jego trzeciej pielgrzymki do Ojczyzny w 1987 r. Jak się miało okazać, napis ten był proroczy – w 1991 r. czwarta pielgrzymka odbywała się rzeczywiście do wolnej już Polski.

Ta czwarta podróż św. Jana Pawła II do Ojczyzny miała miejsce w dniach 1–9 czerwca 1991 r. pod hasłem: „Bogu dziękujcie, ducha nie gaście", co wiązało się z podziękowaniem Bogu za odzyskanie wolności i upadek komunizmu w naszym kraju oraz z przesłaniem o konieczności podtrzymywania wiary w nowej rzeczywistości. Papież odwiedził wówczas Koszalin, Rzeszów, Przemyśl, Lubaczów, Kielce, Radom, Łomżę, Białystok, Olsztyn, Włocławek, Płock i Warszawę. Dokonał także trzech beatyfikacji: w Rzeszowie bp. Józefa Pelczara, wybitnego teologa, biskupa przemyskiego i założyciela Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszego Serca Jezusowego, w Białymstoku – m. Bolesławy Lament, założycielki Zgromadzenia Sióstr Misjonarek św. Rodziny, działającego na rzecz jedności chrześcijan i umacniania katolików w wierze, oraz w Warszawie – o. Rafała Chylińskiego, XVIII-wiecznego franciszkanina, opiekuna chorych i ubogich.

W tym samym roku w Polsce odbywały się na Jasnej Górze Światowe Dni Młodzieży i przy tej okazji w dniach 13–16 sierpnia papież ponownie odwiedził nasz kraj. Poza Częstochową Jan Paweł II był wówczas także w Krakowie i Wadowicach. Beatyfikował wtedy Anielę Salawę, krakowską służącą, która »

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

eprasa.pl 1a0018e33b

8 czerwca 1991 r. na Zamku Królewskim w Warszawie doszło do spotkania Jana Pawła II m.in. z Jarosławem Kaczyńskim, ówczesnym szefem Kancelarii Prezydenta, oraz Lechem Kaczyńskim, ministrem w Kancelarii Prezydenta

» została tercjarką franciszkańską i heroicznie pomagała chorym i ubogim. W częstochowskich Światowych Dniach Młodzieży wzięło udział ponad milion młodych ludzi z całego świata, w tym ok. 100 tys. przyjechało z terenu rozpadającego się właśnie ZSRS.

Po upadku komunizmu

W Lubaczowie zajął się w swej homilii niebezpieczeństwem konsumpcjonizmu, mówiąc: „Ważniejszym jest to, kim się jest, niż to, ile się posiada... Nigdy nie trzeba w taki sposób dążyć do dóbr materialnych ani w taki sposób ich używać, jak gdyby były celem samym w sobie. Toteż reformie gospodarczej [...] powinien towarzyszyć wzrost namysłu społecznego, troska o dobro wspólne, zauważanie ludzi najbiedniejszych i najbardziej potrzebujących...".

Kreśląc zarys moralnych podstaw ładu państwowego, polemizował z agresywnym laicyzmem i mówił: „Postulat neutralności światopoglądowej jest słuszny głównie w tym zakresie, że państwo powinno chronić wolność sumienia i wyznania wszystkich swoich obywateli, niezależnie od tego, jaką religię lub światopogląd wyznają. Ale postulat, ażeby do życia społecznego i państwowego w żaden sposób nie dopuszczać wymiaru świętości, jest postulatem ateizowania państwa i życia społecznego, i niewiele ma wspólnego ze światopoglądową neutralnością... Przez ostatnich kilkadziesiąt lat doświadczyliśmy tego wielkiego katolickiego getta, getta na miarę narodu. Zarazem więc my, katolicy, prosimy o wzięcie pod uwagę naszego punktu widzenia...".

To jest moja Matka!

W Kielcach skierował najbardziej przejmujące wezwanie do rodaków, przestrzegając przed fałszywym, nihilistycznym rozumieniem wolności. W homilii poświęconej rodzinie Papież mówił: „Zło pierworodne, które drzemie w duszy każdego człowieka [...], szczególnie łatwo daje o sobie znać poprzez naruszenie ładu moralnego małżeństwa i rodziny. [...] Ten kryzys nie ominął [...] niestety, polskiej rodziny! [...] Rozwody... Trwałe skłócenie i konflikty w wielu rodzinach... [...] Trzeba zmienić stosunek do dziecka poczętego [...], nigdy nie jest [ono] intruzem ani agresorem... Nie można tutaj mówić o wolności człowieka, bo to jest wolność, która zniewala. [...] Z tego trzeba zrobić rachunek sumienia u progu III Rzeczypospolitej!". Kończył zaś dramatycznym okrzykiem: „To jest moja matka, ta Ojczyzna!... [...] Zbyt długo niszczono! Trzeba intensywnie odbudowywać!... Niech się odrodzi w Bogu ludzkie ojcostwo i polska rodzina, i ludzkie macierzyństwo, niech się odrodzi rodzina, szczególne miejsce przymierza Boga z ludźmi". W Radomiu dodawał: „Do tego wielkiego cmentarzyska ofiar ludzkiego okrucieństwa w naszym stuleciu dołącza się inny wielki cmentarz: cmentarz nienarodzonych... [...] Czy jest taki parlament, który ma prawo zalegalizować zabójstwo niewinnej ludzkiej istoty?".

W Łomży wzywał: „Oby całe nasze społeczeństwo uwolniło się od tego złudzenia wolności, wolnej miłości, którą usiłuje się przesłonić rzeczywistość cudzołóstwa i rozwiązłości". „Przezwyciężając następstwa ustroju, który okazał się ekonomicznie niewydolny, a etycznie szkodliwy, [...] jeśli każdy będzie się liczył nie tylko z interesem własnym, ale również z interesem społecznym; jeśli w działaniach gospodarczych nie zabraknie troski o najuboższych i najbardziej potrzebujących – wówczas Pan Bóg z pewnością pobłogosławi wysiłkom" – napominał w Białymstoku.

W Płocku wypowiadał się na temat komunikacji społecznej: „Niewiele daje wolność mówienia, jeśli słowo wypowiadane nie jest wolne. Jeśli spętane jest egocentryzmem, kłamstwem, podstępem, może nawet nienawiścią lub pogardą dla innych... [...] Człowiek [...] nie jest naprawdę wolny, jeżeli nie mówi prawdy". Wreszcie zaznaczył: „Osoba ludzka jest ważniejsza niż rzeczy, a dusza jest ważniejsza niż ciało, toteż nigdy i nikomu nie wolno dążyć do dóbr materialnych z pogwałceniem prawa moralnego, z pogwałceniem praw drugiego człowieka". Mówił także: „Wolność jest trudna, trzeba się jej uczyć [...], trzeba się uczyć być wolnym tak, ażeby nasza wolność nie stawała się naszą własną niewolą, zniewoleniem wewnętrznym, ani też nie stawała się przyczyną zniewolenia innych [...]". Starał się też Jan Paweł II uświadomić władzom wolnej Polski spoczywającą na nich odpowiedzialność: „Wolność jest zawsze wyzwaniem. A władza jest wyzwaniem wolności. Nie można jej sprawować inaczej, jak tylko służąc".

W ten sposób papież przyrównał współczesną cywilizację konsumpcyjną do systemu totalitarnego, jako skazaną na niepowodzenie próbę zbudowania życia społecznego bez Boga. Zarysował jako zasadniczy spór współczesności pytanie, czym jest wolność: czy dowolnością wyboru (jak sugeruje jej liberalna koncepcja), czy też jest (jak chce Kościół) wolnością ku czynieniu dobra – i kto jest w związku z tym jej głównym wrogiem: Bóg czy też sam człowiek ulegający wpływom szatana i świata.

Fundament europejskości

W Warszawie przypominał, co jest prawdziwym fundamentem europejskości: „Zarzewie wolności przyniósł Europie święty Paweł, ten, który głosił wyzwolenie przez Chrystusa... Z biegiem czasu, zwłaszcza w tzw. czasach nowożytnych, Chrystus jako sprawca ducha europejskiego, jako sprawca tej wolności, która w Nim ma swój zbawczy korzeń, został wzięty w nawias i zaczęła się tworzyć inna mentalność europejska, mentalność, którą krótko można wyrazić w takim zdaniu: »Myślmy tak, żyjmy tak,

FOT. WOJTEK LASK/EAST NEWS

eprasa.pl 1a0018e33b

jakby Bóg nie istniał«. [...] Jeżeli chcemy stanąć na płaszczyźnie humanizmu... pamiętajmy, że ten humanizm ma w Chrystusie swoje najpełniejsze objawienie. [...] To jest prawda o człowieku, to jest prawda o człowieku europejskim. I my, Polacy, tej prawdy o człowieku nie możemy zdradzić".

We Włocławku dodawał: „Nie dać się uwikłać całej tej cywilizacji pożądania i użycia, która panoszy się wśród nas i nadaje sobie nazwę europejskości [...], korzystając z różnych środków przekazu i uwodzenia. Czy to jest cywilizacja, czy raczej antycywilizacja? Kultura – czy raczej antykultura? [...] Przecież kulturą jest to, co czyni człowieka bardziej człowiekiem. Nie to, co tylko »zużywa« jego człowieczeństwo".

Podkreślając wartość jedności Europy, przestrzegał zarazem przed bezkrytycznym sięganiem po wzorce zachodnie. We Włocławku przypomniał, że Polska jest częścią Europy: „Zawsze byliśmy i jesteśmy w Europie. Nie musimy do niej wchodzić, ponieważ ją tworzyliśmy, i tworzyliśmy ją z większym trudem, aniżeli ci, którym się przypisuje albo którzy sobie przypisują patent na europejskość. [...] Europa potrzebuje odkupienia!".

W przemówieniu do episkopatu Polski Jan Paweł II stawiał niełatwe zadania przed polskim Kościołem: „W poprzednim układzie Kościół bronił człowieka przed systemem. [...] Kościół stwarzał jakby przestrzeń, w której człowiek i naród mógł bronić swych praw. [...] W tej chwili człowiek musi znaleźć w Kościele przestrzeń do obrony poniekąd przed samym sobą. Przed złym użyciem swej wolności, przed zmarnowaniem historycznej szansy dla narodu. O ile sytuacja dawniejsza zyskiwała Kościołowi ogólne uznanie – nawet ze strony środowisk »laickich« – to w sytuacji obecnej na takie uznanie [...] nie można liczyć... Ten sprzeciw jest dla Kościoła także potwierdzeniem [...] bycia w prawdzie".

W sierpniu w Częstochowie Ojciec Święty mówił m.in.: „Nowożytna cywilizacja [...] stara się bytować tak, jakby Boga nie było. Jeżeli jednak Boga nie ma, czy ty, człowieku, naprawdę jesteś?". W końcowym akcie Światowego Dnia Młodzieży papież zawierzył zgromadzonych na Jasnej Górze młodych ludzi z całego świata Matce Bożej. W tekście tego aktu czytamy m.in.: „Matko Mądrości, naucz nas tworzenia takiej kultury i cywilizacji, która opierając się na prawach Bożych, służyłaby człowiekowi. Naucz nas ducha pojednania i przebaczenia. Spraw, byśmy nie uciekali przed nowymi zadaniami. Cała współczesna rzeczywistość czeka na swoją pełną ewangelizację".

Podczas czwartej pielgrzymki po raz pierwszy nauczanie papieskie spotkało się z otwartym odrzuceniem ze strony środowisk liberalnych oraz tzw. katolików otwartych. Krytycy wykazali się także wyjątkową małodusznością, wypominając papieżowi plany kilkudniowego wypoczynku w Polsce.

W 1991 r. PO RAZ PIERWSZY NAUCZANIE PAPIESKIE SPOTKAŁO SIĘ Z OTWARTYM ODRZUCENIEM ZE STRONY ŚRODOWISK LIBERALNYCH ORAZ TZW. KATOLIKÓW OTWARTYCH

Pojałtański bilans

W swej wydanej ostatnio książce „Testament Prometeusza" (Warszawa 2018) Paweł Kowal zwraca naszą uwagę na jeszcze jeden aspekt czwartej pielgrzymki z 1991 r. To kwestia nowego określenia przez papieża miejsca Polski na mapie Europy Wschodniej. Podczas pobytu w Przemyślu papież spotkał się z wiernymi obrządku unickiego, dając wyraźny sygnał do pojednania pomiędzy narodami polskim i ukraińskim oraz pomiędzy obrządkami. Ustanowił też katedrę greckokatolicką – rozwiązując w ten sposób spór o kościół św. Teresy w Przemyślu. Wyraził nadzieję na wizytę we Lwowie, ale dojdzie do tego dopiero 10 lat później.

Sprawy wschodnie powracały w trakcie tej pielgrzymki jeszcze kilkakrotnie. W Łomży Jan Paweł II odbył spotkanie z Litwinami. Do nich skierował specjalne przesłanie, szczególnie odwołując się do św. Kazimierza Królewicza, wspólnie czczonego przez Litwinów i Polaków. W Białymstoku papież wziął udział w ekumenicznym nabożeństwie w prawosławnej cerkwi św. Mikołaja.

W trakcie tej pielgrzymki Jan Paweł II dokonał też ostatecznego rozgraniczenia polskich diecezji wschodnich – Lubaczowa, Drohiczyna, Białegostoku – które od II wojny światowej trwały w formie tymczasowych administratur apostolskich. W ten sposób zamknął symbolicznie kwestię dziedzictwa II RP na Wschodzie i wskazywał na konieczność budowy przez Polaków porozumienia ze wschodnimi sąsiadami na bazie pamięci o wspólnym doświadczeniu komunizmu i wspólnego dziedzictwa chrześcijańskiego.

Dodajmy od siebie, że ten aspekt papieskiego programu również czeka na realizację – ale jest wezwaniem nie tylko do nas, ale także do narodów zamieszkujących ziemie na wschód od Polski, które wcale konsekwentnie się nie schrystianizowały, a także nie zawsze są w stanie dążyć do pojednania w prawdzie, co było warunkiem koegzystencji w wizji papieża.

Zamiast zakończenia

Pytania, które w 1991 r. postawił nam św. Jan Paweł II, do dziś pozostają trudne, choć na koniec swej katechezy papież nie szczędził nam wówczas słów pokrzepienia: „Jestem dobrej myśli. Polacy już nieraz umieli być wolnymi. Umieli swoje umiłowanie wolności przekształcić w twórczość, przymierze, solidarność. Umieli także swoje umiłowanie wolności przekształcać także w ofiarę. [...] Tę cenę płaciły pokolenia...".

W warszawskiej katedrze św. Jana z okazji 200-lecia Konstytucji 3 maja proponował następującą modlitwę: „Dziękujemy Ci, Boże, za to, że jesteśmy Polakami. Świadomi jednak grzechów i wad naszych, prosimy Cię: daj nam uprzątnąć dom ojczysty. Wyzwól nas od zniewoleń ducha. I tak, jak cudownie przeprowadziłeś nas suchą nogą przez »Morze Czerwone«, naucz nas być wolnymi". Modlitwa ta pozostaje aktualna.

eprasa.pl 1a0018e33b

„Szukałem Was" – strefa poświęcona młodzieży

WALKA O PAMIĘĆ

CHOĆ WCIĄŻ NA USTACH MAMY IMIĘ PAPIEŻA POLAKA, A JEGO OBRAZ JEST CZĘSTO STAŁYM ELEMENTEM WYSTROJU NASZYCH MIESZKAŃ, TO NIE IDZIE ZA TYM UZNANIE TREŚCI JEGO PRZESŁANIA

BARBARA KŁAPUT

Piąta rocznica kanonizacji Jana Pawła II na nowo rozbudziła dyskusje na temat wierności dziedzictwu wielkiego Polaka. Dominują krytyczne głosy i oskarżenia o hipokryzję: Ojca Świętego traktujemy albo instrumentalnie, nadużywając jego autorytetu w politycznych potyczkach, albo topimy pamięć o nim w emocjach i rocznicowych wzruszeniach. Trudno się z tym nie zgodzić. W jakiś sposób zdradziliśmy go, okazując się konformistami, głuchymi na lekcje jedności, odpowiedzialności, wolności, nie dorastając do jego nauk, lekceważąc je przez lata, wybierając z nich tylko to, co w danej chwili wygodne.

Walka o pamięć jednak trwa. Wciąż są miejsca, które pokazują, że pamięć o Ojcu Świętym jest autentycznie żywa, pielęgnowanie jej może przynosić owoce. Jednym z takich miejsc jest muzeum w domu rodzinnym Jana Pawła II w Wadowicach. Muzeum, które niedawno obchodziło piątą rocznicę otwarcia, odwiedziło ponad 1,2 mln turystów z całego świata. Zważywszy na peryferyjne położenie placówki to wynik znakomity, którym nie może się poszczycić wiele stołecznych muzeów. Pamiętam, że kiedy je projektowaliśmy, z analiz CBOS wynikało, że rodzinne miasteczko papieża pragnie pokazać obcokrajowcom zaledwie co setny Polak. Dziś jest zupełnie inaczej.

Miłość jest ślepa?

Już wtedy zastanawiał nas dziwny rozdźwięk pomiędzy deklaracjami Polaków, którzy z jednej strony bez wahania wskazywali Jana Pawła II jako swój największy autorytet, byli z niego dumni, zdecydowanie deklarowali, iż zawdzięczają mu coś szczególnego, jego życie ich zmieniło (81 proc.), a tym, że oddziaływanie to niekoniecznie było tożsame ze zmianą postawy w życiu codziennym. Aż 48 proc. respondentów nie potrafiło w swoim otoczeniu wskazać nikogo, kto w swoich poglądach, stosunku do pracy, do innych ludzi starał się kierować wskazówkami Ojca Świętego. Jednocześnie na pytanie: „Czy uważa Pan (Pani), że świadectwo życia i nauczanie Jana Pawła II w jakimś stopniu przyczyniło się do przemiany Pana (Pani) życia?" 62 proc. badanych odpowiadało „zdecydowanie tak". W 2012 r. ciekawe dane opublikował ks. Krzysztof Pawlina. 40 proc. ankietowanych przez niego studentów na pytanie, czy czują się pokoleniem Jana Pawła II, stwierdzało, że wie zbyt mało o polskim papieżu, by móc uznać się za jego pokolenie; deklarowali jednak, że braki te nie przeszkadzają im wcale podziwiać i kochać Jana Pawła II.

eprasa.pl 1a0018e33b

Czy jednak można kochać kogoś, kogo się nie zna?

Miejsce spotkania

Wypełnienie tego niedoboru wiedzy o wielkim Polaku było jednym z priorytetowych zadań muzeum. Mieliśmy stworzyć przestrzeń, w której pamięć historyczna (fakty i dane: kim był, czego dokonał, jakie jest nauczanie papieskie, jego dorobek literacki, filozoficzny) mogła się spotkać z pamięcią noszoną przez wielu ludzi w sercach, pamięcią prywatną, opartą na osobistym przeżyciu, wspomnieniach, świadectwach.

Ekspozycja pomyślana została jako gotowa do odkrywania w co najmniej kilku płaszczyznach, w zależności od wrażliwości i wiedzy zwiedzającego: biograficznej (skupiającej się na życiu i sylwetce Ojca Świętego); edukacyjnej (o konkretnych aspektach jego nauki); wymiarze religijnym (wynikającym z obcowania ze świętym).

Braliśmy pod uwagę specyfikę umiejscowienia wystawy w domu, gdzie papież się urodził, mieszkał, nasiąkał wartościami. Czuliśmy tę wyjątkowość miejsca, która czyniła z muzeum miejsce tożsamościowe, jedyne na świecie. Zdawaliśmy sobie także sprawę z tego, że to nasze przekonanie podzielać będą również liczni pielgrzymi, którzy przyjadą tu nie tylko dla Ojca Świętego, lecz i – a może przede wszystkim – do niego.

Wystawa zakładała taką aranżację przestrzeni, która zapewni wszystkim ludziom możliwość prawdziwego skupienia, wewnętrznego wyciszenia się, autentycznej kontemplacji. Kluczem do czytania ekspozycji stała się droga, pielgrzymowanie. Najpierw w czasie (mała ojczyzna papieża, Uniwersytet Jagielloński, wydarzenia II wojny światowej, wreszcie czasy PRL i wyboru Wojtyły na Stolicę Piotrową), potem po świecie, towarzysząc papieżowi w jego rozlicznych pielgrzymkach, wreszcie wędrówka „do wewnątrz", w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, czym jest miłość, sens cierpienia, przebaczenie...

Wspólne dzieło

Chcieliśmy, by wystawa była autentycznym spotkaniem z Janem Pawłem II. I nie chodziło tu tylko o pokazanie bogactwa jego osoby (poety, wielbiciela gór, męża stanu, filozofa, mistyka etc.), lecz również o oddanie w muzeum specyficznej relacji. Tak jak podchodził do ludzi Ojciec Święty – nikogo nie ganiąc, nad każdym się pochylając, w każdym widząc wartość i godność – ekspozycja miała kierować swoją narrację do konkretnej osoby, czyniąc spotkanie z papieżem dla każdego innym, niepowtarzalnym. Wszystkich – bez względu na wiek, przekonania, wykształcenie, kulturę czy pochodzenie – miała łączyć, jednoczyć, wytwarzać poczucie solidarności i więzi. Tak jak potrafił gromadzić i łączyć ludzi sam święty.

Do współpracy przy budowie muzeum zaprosiliśmy więc różne nacje. Włosi pracowali nad kopią watykańskich Drzwi Świętych, Hiszpanie szyli stułę na wielki drewniany krzyż, prawosławny malarz, autor wielu pięknych ikonostasów, pisał inkrustowane złotem tablice z encyklikami papieskimi, Instytut Yad Vashem ofiarował kopię karteczki z modlitwą, którą Jan Paweł II zostawił w jerozolimskiej Ścianie Płaczu podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej w 2000 r., sanktuarium w Fatimie wykonało replikę kuli, którą w maju 1981 r. Ali Ağca próbował zabić papieża. Z całego świata w odpowiedzi na nasz apel nadsyłano ziemię z miejsc, po których podczas swoich pielgrzymek po świecie stąpał papież Polak.

Sala z szatami kardynałów uczestniczących w pogrzebie Jana Pawła II

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Dary od papieża emeryta Benedykta XVI

Muzeum otwarte na wszystkich

Dziś muzeum zawsze jest pełne ludzi. By wejść tu w sezonie, bilety trzeba zarezerwować dużo wcześniej. Największą grupę przyjezdnych, zaraz po Polakach, stanowią Włosi (ok. 25 proc. zagranicznych gości), później Amerykanie, Słowacy, Francuzi oraz grupy hiszpańskojęzyczne, m.in. z Meksyku, Brazylii, Peru, Chile.

Przyjeżdżają rzesze młodzieży i rodziny z małymi dziećmi, bo – i to cieszy szczególnie – nawet maluchy się tutaj nie nudzą. Wśród gości, co zrozumiałe, jest wielu dostojników Kościoła, m.in. kard. Pietro Parolin – sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, kard. Fernando Filoni – prefekt Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów, kard. Robert Sarah – prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, Guido Marini – Mistrz Papieskich Ceremonii Liturgicznych.

Zjawiają się nie tylko katolicy – na facebookowym profilu muzeum można znaleźć zdjęcia zwiedzających go rabinów czy tybetańskich mnichów. Także poglądy polityczne wydają się nie mieć tu znaczenia – wśród odwiedzających są przedstawiciele polskiej władzy: i tej aktualnej, i byłej; stuosobowa grupa włoskich urzędników na czele z ministrem spraw wewnętrznych, prezydent Panamy, ambasador Kuby. Przyjeżdżają dziennikarze, muzycy, reżyserzy, aktorzy, naukowcy, strażacy i pracownicy korporacji. Niektórzy odwiedzający mają własne emocjonalne związki z papieżem: Arturo Mari – fotograf Jana Pawła; Angelo Gugel – kamerdyner Ojca Świętego; George Weigel – autor jednej z najlepszych biografii Karola Wojtyły; Floribeth Mora Diaz z Kostaryki, której uzdrowienie z tętniaka mózgu zostało wybrane na cud do kanonizacji Jana Pawła II. »

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

FOT. MUZEUM DOM RODZINNY OJCA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II W WADOWICACH

eprasa.pl 1a0018e33b

Encykliki papieskie

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

tytuł Króla Małopolski Nieoczywistej, przyznany przez jeden z blogów podróżniczych. Bo czy można oczywistym nazwać muzeum, w którym dzieją się takie rzeczy?

Tu historia papieża brzmi, jak brzmieć powinna, we wszystkich swoich wymiarach. W istocie to zasługa opiekuna tego domu i bohatera tej historii. I właśnie być może najwłaściwsza recepta na postępujące zapominanie przesłania Jana Pawła II to dopuścić go do głosu, dać mu przemówić. Stworzyć przestrzeń, w której znów będziemy mogli go spotkać. Nie zapomnijmy o tym, kiedy minie kolejna rocznica. Za rok 100-lecie urodzin Karola Wojtyły. Nie pozwólmy, by tę wielką okazję do utrwalania pamięci o nim zaprzepaścić, a świętowanie ograniczyć do zorganizowanego naprędce koncertu. Nie wygramy walki o pamięć, nie stając do niej.

Pamięć żywa

Jednak to nie obecności znanych osobistości muzeum zawdzięcza tak wielką moc swego przekazu. Nie chodzi tu też o jakąś szczególną efektowność ekspozycji. Działa tu raczej sama opowieść – piękna historia wielkiego człowieka – a muzeum pozwala jej jedynie wybrzmieć.

O chłopcu z małego miasta, który – choć utracił najbliższych – potrafił swoją rodziną uczynić ludzi z całego świata; o poecie, który został charyzmatycznym przywódcą Kościoła; o prawdziwym przyjacielu młodzieży; o nauczycielu, który wymagał także od siebie, który nigdy nie krytykował, potrafił słuchać, był radosny i skromny, który był bliski nam wszystkim.

Kluczem do pamięci jest bowiem ta właśnie opowieść, bez niej biografię człowieka można zamknąć w suche daty i fakty, przydatne bardziej na cokół pomnika niż w życiu. A przecież w pamięci o Ojcu Świętym chodzi o to właśnie, by prawda o jego życiu inspirowała innych, pomagała stawać się lepszymi. Dlatego być może najbardziej poruszające dla nas, autorów muzeum, są historie świadczące o tym, że zwiedzający czują tę inspirację i poddają się jej. Opowiadają o nich przewodnicy muzeum. Oto w sali zbudowanej z tysięcy kartek z modlitwami pozostawianymi na grobie Jana Pawła II w Grotach Watykańskich upada na kolana turystka z Francji. Okazuje się, że znalazła podpisane podziękowanie swojej przyjaciółki, która po ciężkim wypadku samochodowym prosi papieża o modlitwę za sprawcę. Pewien Nigeryjczyk szczęśliwy ze swojej obecności w muzeum daje wyraz swojej wdzięczności i spontanicznie zaprasza wszystkich obecnych w sali do swojej ojczyzny (jak się okazuje, dotrzymuje słowa, przyjmując serdecznie wszystkich tych, którzy skorzystali z jego zaproszenia). Wzruszone wystawą zakonnice z Chin śpiewają w muzeum ulubioną przez Ojca Świętego pieśń „Barka". Niepełnosprawny chłopiec schodzi z wózka i na klęczkach postanawia przejść salę poświęconą cierpieniu. Pielgrzymi z Brazylii zaręczają się w muzeum, powierzając przyszłe małżeństwo świętemu. A stara Filipinka, nie zważając na protesty przewodnika, kładzie się w łóżku papieża i oświadcza, że chce w tym miejscu umrzeć. Czasem ludzie nie wytrzymują emocji, zaczynają płakać, zwierzać się z problemów swojego życia. Czasem dyskretnie powierzają swoje sprawy świętemu, zostawiając karteczki z modlitwą lub zdjęcia najbliższych wsunięte za obraz na ścianie albo pod obrusem...

Przestrzeń poświęcona przedwojennym Wadowicom

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Z wszystkich nagród, które muzeum otrzymało do tej pory, najbardziej lubię

Autorka jest projektantką, autorką scenariuszy muzealnych i kuratorką wystaw, wraz z mężem Jarosławem prowadzi pracownię wystawienniczą Kłaput Project, w której powstało kilka znaczących projektów poświęconych papieżowi. Jako pierwsi Polacy zaprojektowali wystawę w Watykanie – „Jan Paweł II. Hołd Benedykta XVI" – którą zobaczyło 2,5 mln zwiedzających, są autorami muzeum w domu rodzinnym Ojca Świętego w Wadowicach; w 2010 r. zaprojektowali wystawę stałą w Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Warszawie

eprasa.pl 1a0018e33b

Pożegnanie Jana Pawła II na krakowskim lotnisku Balice, 10 czerwca 1979 r.

DLA ZABEZPIECZENIA PIERWSZEJ PIELGRZYMKI PAPIEŻA JANA PAWŁA II DO OJCZYZNY PORUSZONE ZOSTAŁY WSZELKIE SŁUŻBY POLSKI LUDOWEJ

PIELGRZYMKA POD SZCZEGÓLNĄ „OPIEKĄ"

ZABEZPIECZENIE W 1979 r. WIZYTY JANA PAWŁA II PRZEZ ORGANA WOJSKOWEJ SŁUŻBY WEWNĘTRZNEJ

BARTOSZ KAPUŚCIAK

Także Wojskowa Służba Wewnętrzna (WSW), czyli kontrwywiad wojskowy, miała wykonać zadanie wzmożonego skontrolowania jednostek wojskowych na czas wizyty Ojca Świętego.

Działania WSW były dwutorowe. Po pierwsze, trzeba było zabezpieczyć wojsko – działania te traktowano jako długofalowe, a z drugiej strony, samą pielgrzymkę i papieża – oczywiście we współpracy z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Garnizony, w których rozwinięto pracę kontrwywiadowczą, czyli uaktywniono pracę agentury i wzmożono tajną obserwację, znajdowały się w Warszawie, Krakowie, Częstochowie, Gnieźnie, Wadowicach, Nowym Targu i Oświęcimiu, czyli w tych miastach, gdzie planowane były odwiedziny papieża. Głównym celem działań kontrwywiadu wojskowego było zapewnienie dopływu informacji z tych garnizonów dotyczących nastrojów żołnierzy oraz zapobieżenie negatywnym działaniom na terenie jednostek, aby nie zapanował tam „wpływ klerykalnego wstecznictwa". W tej sprawie zaangażowano w pierwszej kolejności Zarząd I Szefostwa WSW (ochraniał kontrwywiadowczo Sztab Generalny i instytucje centralne Ministerstwa Obrony Narodowej), wszystkie trzy zarządy terenowe WSW (warszawski, śląski i pomorski) oraz Oddział WSW Wojsk Lotniczych w Warszawie.

Na straży komunizmu

Szefostwo WSW nakazało przede wszystkim zorientować się co do nastrojów »

FOT. NAC

eprasa.pl 1a0018e33b

alumnów, którzy rutynowo od 1959 r. podlegali zasadniczej służbie wojskowej, oraz osób powiązanych ze „środowiskami antysocjalistycznymi" (m.in. członków KSS-KOR, ROPCiO i SKS). Oczywiście takie osoby wywodziły się głównie ze stanu zmiennego, czyli żołnierzy służby zasadniczej. Kontrwywiad wojskowy bowiem uważał, że oficerowie Sił Zbrojnych PRL stanowią „najbardziej zdrowy i oddany sprawie [ideologii komunistycznej – przyp. B.K.] trzon narodu polskiego", a ludowe Wojsko Polskie jest „orężem partii i socjalistycznego państwa". W obawie przed manifestacjami religijnymi, które mogły się przerodzić w zbrojną demonstrację, organa WSW zabezpieczyły też w garnizonach składy broni i amunicji.

Już w marcu, kiedy episkopat wysłał oficjalne zaproszenie do papieża, WSW zebrała krytyczne uwagi wojskowych dotyczące polityki komunistycznego rządu. Oficerowie Ludowego Wojska Polskiego obawiali się wzrostu znaczenia Kościoła w Polsce, a co za tym idzie – popierania przez niego ugrupowań wrogich ustrojowi komunistycznemu, żądania utworzenia trzech katolickich uczelni, wprowadzenia nauki religii w szkołach, budowy ok. 300 nowych kościołów oraz zwolnienia alumnów z odbywania służby wojskowej. Oficerowie uważali, że kurs polityki wyznaniowej powinien być wzmocniony, a rząd musi wszelkie żądania odrzucać. Co więcej, jak donosił Główny Zarząd Polityczny, kadra zawodowa uznała, że doszło do „przekroczenia konstytucyjnej zasady wolności sumienia i wyznania. Mimo poparcia przez wojsko zawodowe polityki rządu komunistycznego jednocześnie okazało się, że wielu żołnierzy zaczyna ujawniać „swoje oblicze", uprawiając nagle praktyki religijne.

Już w kwietniu Zarząd WSW Warszawskiego Okręgu Wojskowego informował szefostwo, że kadra oficerska nie wyklucza „celowego zniszczenia pomnika Lenina" w Nowej Hucie na rzecz budowy nowego posągu swojemu byłemu metropolicie krakowskiemu. Księża krakowscy mieli nawoływać do wynajmowania przez wiernych kwater dla cudzoziemców, a w „procederze" tym mieli brać udział również żołnierze. Prawdopodobnie kontrwywiad wojskowy obawiał się przypływu fali agentury służb zachodnich do Polski, a co za tym idzie – penetracji jednostek wojskowych. Jak donosiła WSW, po Krakowie wtedy miał krążyć kawał, że „na zasadzie uzgodnień władz polskich z Watykanem w trakcie wizyty papieża podzielono funkcję: papież ma celebrować mszę, Edward Gierek wygłosi kazanie, Piotr Jaroszewicz zbierze na tacę, a SB i MO ma przyjmować do spowiedzi". Podobne dowcipy rozpowszechniane były w innych garnizonach, m.in. Wrocław, Poznań, Gliwice, Gubin i Żagań, o czym z kolei informował Zarząd WSW Śląskiego Okręgu Wojskowego. Organa kontrwywiadu wojskowego wynotowały, że hasło „RWPG" miało oznaczać teraz: „Ratuj Wojtyła polską gospodarkę", a odzew „PZPR": „Przyjeżdżam zaraz przepędzić Rusków".

Jednak to nie rozpowszechnione kawały i humoreski były dla organów WSW najgroźniejsze, lecz tzw. wpływ kleru na stan osobowy wojska, czyli nic innego jak rozpoczęcie przez oficerów Ludowego Wojska Polskiego i jednocześnie członków PZPR praktyk religijnych spowodowanych przyjazdem papieża. Także posyłanie dzieci na religię, kontakt z księżmi czy głośna krytyka władz i prowadzonej przez nią polityki wyznaniowej spotykały się z reperkusjami w postaci służbowych nagan, sądów partyjnych czy ostatecznie wydaleniem z wojska. O tych incydentach nie tylko nagminnie informowała agentura, ale skarżyli się na swoich podwładnych ich przełożeni. Zresztą WSW w tym czasie nasiliła stosowanie perlustracji korespondencji. Najwięcej zgłoszeń dotyczyło tzw. łańcuszka św. Antoniego rozsyłanego do jednostek wojskowych i do mieszkań żołnierzy, który miał udowadniać tezę o „wzroście aktywności kleru". Z kolei Zarząd WSW Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Kraju donosił, że kadra jest zmartwiona zbyt dużą uwagą poświęconą wizycie papieża, co może wywołać „rozbudzenie u niektórych osób zastygłych w okresie dzieciństwa uczuć religijnych".

Spotkać papieża

Kraków był jednym z najbardziej obserwowanych miast w tym czasie przez organa WSW. Tym bardziej że stacjonowała tam 6 Dywizja Powietrznodesantowa, jednostka elitarna w Siłach Zbrojnych PRL, „chroniona" zresztą przez Wydział WSW 6 DPD. Alumni służący w wojsku, a wywodzący się z krakowskiej kurii, sprawiali najwięcej kłopotów. Stąd szczególną „opieką" w czasie planowanej pielgrzymki był otoczony 56 Szkolny Batalion Ratownictwa Terenowego (sbrt) w Brzegu. Alumni służący w nim pragnęli udać się do Częstochowy, by tam witać papieża. Jednak dowództwo batalionu na ten okres zaplanowało ćwiczenia obozowe na poligonie w Żaganiu lub w Drawsku. Z kolei alumni z 54 sbrt w Bartoszycach pragnęli udać się na spotkanie z papieżem w Gnieźnie. Oczywiście i dowództwo, i kontrwywiad wojskowy czuwały, by zapewnić im w tym czasie także ćwiczenia polowe. Ostatecznie jednak zezwolono alumnom na opuszczenie jednostek w ubraniach cywilnych. Także silnej obserwacji przez kontrwywiad wojskowy podlegali w tym czasie kapelani wojskowi.

Organa WSW zleciły swoim tajnym współpracownikom zbieranie informacji dotyczących rozpowszechniania tzw. wrogiej literatury i ulotek o treści religijnej oraz antypaństwowej, o faktach docierania księży do środowisk wojskowych (tzw. oddziaływanie dewocjonalne), udziale żołnierzy i pracowników wojska w przygotowaniach do uroczystości związanych z wizytą, w tym kto przede wszystkim chce się ubiegać o przepustkę z jednostki lub urlop, o próbach „wrogiego oddziaływania" alumnów na pozostałych żołnierzy w jednostce oraz „innych nieprawidłowościach godzących w stan moralno-polityczny i gotowość bojową jednostki".

W kwietniu 1979 r. nastąpiła zmiana na stanowisku szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej. Gen. Wojciech Jaruzelski jako minister obrony narodowej mógł wreszcie odwołać gen. Teodora Kufla i powołać na to stanowisko gen. Czesława Kiszczaka. Czy to przypadek, że właśnie Kiszczak po sześcioletniej służbie na stanowisku szefa Wywiadu Wojskowego wrócił do kontrwywiadu w tak niepewnej dla komunistów sytuacji, jaką była wizyta głowy Kościoła katolickiego? Podobna sytuacja nastąpi w lipcu 1981 r., kiedy planowano wprowadzenie stanu wojennego. Wtedy znów do wykonania zadania specjalnego zostanie powołany najbardziej zaufany człowiek gen. Jaruzelskiego – gen. Kiszczak, tym razem obejmując urząd ministra spraw wewnętrznych.

Ofensywa Kiszczaka

8 maja 1979 r. nowy szef WSW wydał rozkaz w sprawie „kontrwywiadowczo-prewencyjnego zabezpieczenia wojsk w związku z przyjazdem papieża do

eprasa.pl 1a0018e33b

Polski". Dla potrzeb zabezpieczenia wizyty Jana Pawła II powołano w miastach garnizonowych, gdzie planowany był pobyt papieża, grupy operacyjne. Na czele takiej grupy stał najczęściej terenowy szef wydziału/oddziału WSW lub jego zastępca. Grupy operacyjne powstały także w Szefostwie WSW na czele z zastępcą szefa płk. Marianem Łoskotem, doświadczonym oficerem kontrwywiadu, wywodzącym się jeszcze z Informacji Wojskowej oraz pracującym w zarządach WSW warszawskiego i śląskiego okręgu wojskowego i wojsk lotniczych. Co ciekawe, w teczce akt personalnych późniejszego gen. Mariana Łoskota brakuje opinii służbowej za okres 1976–1979. Z ułożonych i przenumerowanych dokumentów wynika, że opinia ta została po prostu wyjęta. Wiemy jednak, że w lipcu 1979 r. płk Łoskot dostał nagrodę pieniężną za „wykonanie zadań specjalnych", a w listopadzie 1979 r. został odznaczony Złotym Medalem za Zasługi w Ochronie Porządku Publicznego. Jego zasługi w walce z „klerykalizmem" w Siłach Zbrojnych PRL podczas wizyty papieża zostały więc wynagrodzone.

Zorganizowano w Szefostwie WSW dwa zespoły analityczno-sprawozdawcze, które analizowały opracowane meldunki przesyłane z zarządów WSW. Planowano także, że w zabezpieczeniu wizyty papieża weźmie udział 170 oficerów kontrwywiadu wojskowego, 130 oficerów tzw. aparatu tajnego (obserwacja i technika operacyjna), 680 tajnych współpracowników, 26 żołnierzy zawodowych grup specjalnych w ubraniach cywilnych do tzw. prewencyjnego rozpoznania, 436 umundurowanych żołnierzy prewencji (w tym tylko 87 zawodowych, reszta miała się wywodzić z służby zasadniczej), 20 pojazdów cywilnych służących do obserwacji, 40 pojazdów interwencyjnych służby porządkowej. Przewidziano także dodatkowe siły, które miały czekać w odwodzie. Już na 31 maja 1979 r. zaplanowano rozmieszczenie sił i środków po garnizonach. Głównie chodziło o rozlokowanie żołnierzy służby zasadniczej służących w WSW, którzy mieli patrolować poszczególne miasta. Większość żołnierzy wzięto z batalionów szkolnych Ośrodka Szkolenia WSW, a więc mało doświadczonych ludzi, niekiedy zaczynających dopiero przygodę z wojskiem. Nie inaczej postąpiono w 1968 r. podczas inwazji na Czechosłowację.

ORGANA KONTRWYWIADU WOJSKOWEGO ZWERBOWAŁY PRZED PIELGRZYMKĄ I W JEJ TRAKCIE DODATKOWO 227 TAJNYCH WSPÓŁPRACOWNIKÓW I 794 OSOBY ZAUFANE, MOCNO POSZERZAJĄC SWOJĄ SIEĆ AGENTURALNĄ

Co ciekawe, rozkaz Kiszczaka przewidywał zaangażowanie oficerów obserwacji i techniki operacyjnej do ustalania osób wojskowych w tłumie wiernych. Fotografowano oraz filmowano wiernych, by w późniejszym terminie móc za aktywny udział w mszy św. ukarać zidentyfikowanych żołnierzy. Jak bardzo bano się tłumu wiernych, którzy witali papieża, niech świadczy to, że na trasie przejazdowej w Gnieźnie, która rozplanowana była w pobliżu budynku Delegatury WSW, kazano w nim pozamykać wszystkie okna, a obserwacji tłumu dokonywać przez oficerów WSW z odległości jednego metra od okien wewnątrz budynku.

Przed samym przylotem papieża dokonano sprawdzeń w garnizonach, przeliczając stan osobowy, liczbę osobowych źródeł i wszelkie inne zabezpieczenia. W okresie wizyty Ojca Świętego w garnizonach miast, do których miał przybyć, skoszarowano od 1/3 do 2/3 stanu osobowego. W czasie wizyty papieskiej korzystano z garnizonowych podsłuchów telefonicznych dla lepszej orientacji w sytuacji w jednostkach i z 20 zakrytych punktów obserwacji na trasie przejazdu papieża, chociaż początkowo planowano utworzyć ich 13. Wszystkie działania dotyczące zabezpieczenia tras przejazdu Ojca Świętego i rozmieszczenia wiernych były skoordynowane z równoległymi działaniami SB (w ramach akcji pod kryptonimem „Lato 79") i MO.

Bilans donosicielstwa

W zachowanych meldunkach kierowanych do Zespołu MON w okresie pobytu Jana Pawła II w kraju dominują zagadnienia dotyczące sytuacji w poszczególnych garnizonach. WSW bacznie śledziła wypowiedzi kadry i pracowników cywilnych Ludowego Wojska Polskiego, dbając o ton ideowy. Donoszono przy tym do ministra, którzy żołnierze i ich rodziny brały czynny udział w uroczystościach i którzy krytykowali władzę za prowadzoną politykę względem Kościoła katolickiego. Okazało się, że najwięcej problemów sprawiali jednak niżsi rangą oficerowie i podoficerowie, którzy z reguły byli bezpartyjni, oraz żołnierze służby zasadniczej, którzy chcieli brać udział w uroczystościach, a którym wstrzymano urlopy i przepustki. Jak trafnie podsumował to jeden z szeregowych żołnierzy: „Władze po prostu boją się tej wizyty". W sprawozdaniu podsumowującym okres przygotowań i samej już wizyty papieskiej uznano, że po raz kolejny organa WSW odniosły sukces. Wystawiając 1417 patroli, WSW nie zanotowała żadnych incydentów naruszeń dyscypliny ani porządku publicznego przez żołnierzy. Organa kontrwywiadu wojskowego zwerbowały w tym czasie dodatkowo 227 tajnych współpracowników i 794 osoby zaufane, poszerzając mocno swoją sieć agenturalną. Ujawniono, że 887 osób wojskowych i ich rodzin było w różnorodny sposób podatnych na „religianckie oddziaływanie". W tym 217 osób chciało wziąć udział w uroczystościach, a 67 się to udało. Najważniejsze jednak było to, że w czasie pielgrzymki papieża do kraju nie zanotowano ani jednego przypadku, by umundurowany żołnierz znalazł się w miejscu celebrowania mszy. Próby takie się oczywiście zdarzały, ale organa WSW nie dopuściły do tego, by żołnierz Ludowego Wojska Polskiego – jakkolwiek tragicznie to brzmiało – w ten sposób zhańbił mundur.

Autor jest pracownikiem OBBH IPN Katowice

eprasa.pl 1a0018e33b

„ALE NAM SIĘ WYDARZYŁO!"

20. ROCZNICA WIZYTY JANA PAWŁA II W PARLAMENCIE RP

„SŁUŻBA NARODOWI MUSI BYĆ ZAWSZE UKIERUNKOWANA NA DOBRO WSPÓLNE, KTÓRE ZABEZPIECZA DOBRO KAŻDEGO OBYWATELA" – MÓWIŁ 11 CZERWCA 1999 r. JAN PAWEŁ II DO POŁĄCZONYCH IZB PARLAMENTU RP

GRZEGORZ POLAK

Nigdy przedtem żaden papież nie przemawiał w parlamencie. Historyczna wizyta Jana Pawła II w miejscu będącym najwyższym organem władzy państwowej była jednym z najważniejszych wydarzeń jego ósmej pielgrzymki do Polski.

Była to wizyta symboliczna – Jan Paweł II, który poprowadził Polaków do wolności, odwiedzając parlament Rzeczypospolitej, jakby przypieczętował, uświetnił swoją obecnością nasz wielki sukces na oczach całego świata, bo w te dni papieskiej pielgrzymki Polska wzbudzała powszechne zainteresowanie mediów, zwłaszcza zachodnich.

Na sali obrad Sejmu obok posłów i senatorów zgromadzili się przedstawiciele władzy sądowniczej, dyplomaci z nuncjuszem apostolskim na czele, reprezentanci Kościoła rzymskokatolickiego, siedmiu Kościołów Polskiej Rady Ekumenicznej oraz religii niechrześcijańskich. Obecny był prezydent RP Aleksander Kwaśniewski i przedstawiciele rządu z premierem Jerzym Buzkiem. W lożach zasiedli także Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent na uchodźstwie, oraz byli prezydenci Lech Wałęsa i Wojciech Jaruzelski.

eprasa.pl 1a0018e33b

FOT. KANCELARIA SEJMU RP (x2)

Wszystkim udzieliła się podniosła, uroczysta atmosfera. Oto na forum Uroczystego Zgromadzenia Posłów i Senatorów stanął niekwestionowany przywódca narodu, który doprowadził Polaków do wolności. Nie było jednak patosu, o co postarał się w dużej mierze sam Papież, tryskając dobrym humorem i raz po raz pointując swoje słowa dowcipami. Jana Pawła II fetowali wszyscy, jak się okaże, do czasu. Kiedy jednak wszedł do sali sejmowej, rozległy się rzęsiste oklaski ze wszystkich stron. Zebrani odśpiewali razem z Papieżem hymn „Boże, coś Polskę" i odmówili modlitwę „Ojcze nasz". Czy taka scena byłaby możliwa teraz w polskim parlamencie?

Dzięki złożone Panu historii

Słowa powitania wygłosił marszałek Sejmu Maciej Płażyński. Mówił o wpływie Jana Pawła II nie tylko na przemiany, jakie się dokonały w Polsce, ale także na postawy polityków. Przyznał, że choć w ostatnich latach sala sejmowa była widownią niejednego konfliktu, to w najważniejszych dla Ojczyzny sprawach posłowie potrafili się wznieść ponad polityczne podziały. Marszałek dostrzegł w tym zasługi Jana Pawła II. „To Twoje nauczanie, Ojcze Święty, na początku naszej drogi ku wolności, ukazywało nam obowiązek szukania tego, co łączy, a nie tego, co dzieli. Istotna była pamięć chwil, gdy byliśmy solidarnym zgromadzeniem wezwanym do budowy wolności nie przeciw czemuś lub komuś" – stwierdził marszałek Płażyński, nawiązując wyraźnie do przesłania Jana Pawła II z gdańskiej Zaspy z 1987 r., kiedy Papież wyjaśniał, że solidarność to „nigdy jedni przeciw drugim", ale pawłowe „noszenie brzemion".

Zaczynając przemówienie na forum Uroczystego Zgromadzenia Posłów i Senatorów, Jan Paweł II przywołał swoją modlitwę z pl. Zwycięstwa sprzed 20 lat: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!". Wyznał, że nikt nie mógł wtedy przewidzieć, jaki kształt przyjmą polskie przemiany. „Dzisiaj już wiemy, jak głęboko sięgnęło działanie Bożej mocy, która wyzwala, leczy i oczyszcza. Możemy być wdzięczni Opatrzności Bożej za to wszystko, co udało się nam osiągnąć dzięki szczeremu otwarciu serc na łaskę Ducha Pocieszyciela" – stwierdził Jan Paweł II, przyznając tym samym, że to, co dokonało się wkrótce potem w Polsce, było wynikiem włączenia się jego rodaków do modlitwy o odnowę „tej ziemi".

Papież wyraził wdzięczność „Panu historii za obecny kształt polskich przemian, za świadectwo godności i duchowej niezłomności tych wszystkich, których w tamtych trudnych dniach jednoczyła ta sama troska o prawa człowieka, ta sama świadomość, iż można życie w naszej Ojczyźnie uczynić lepszym, bardziej ludzkim".

Klaskała tylko prawa strona

– To wydarzenie – przypomniał Papież – poprzedziły ostatnie dwa stulecia „heroicznych świadectw polskiego dążenia ku własnemu suwerennemu państwu, które dla wielu pokoleń naszych Rodaków istniało jedynie w marzeniach, w przekazach rodzinnych, w modlitwie".

Jan Paweł II, który od początku popierał „Solidarność" i uważał ją za punkt odniesienia do kształtowania dalszych dziejów Polski, podkreślił, że to spotkanie w parlamencie nie byłoby możliwe „bez zdecydowanego sprzeciwu polskich robotników na Wybrzeżu w pamiętnym Sierpniu 1980 roku", „nie byłoby możliwe bez »Solidarności«, która wybrała drogę pokojowej walki o prawa człowieka i całego narodu". W tym momencie ujawnił się podział audytorium: parlamentarzystom lewicy zrzedły miny, a klaskała tylko prawica.

Ojciec Święty po raz kolejny przypomniał nie tylko Polakom, ale przede wszystkim światu, że wydarzenia roku 1989 zapoczątkowały zmiany polityczne i społeczne nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Każdy mógł sobie dopowiedzieć: cezurą tych zmian nie było obalenie muru berlińskiego, ale wydarzenia w Polsce w 1989 r., które zapoczątkowało powstanie kilka lat wcześniej „Solidarności". – Wydarzenia te – mówił Papież – przyniosły „nie tylko upragnioną wolność, ale w sposób decydujący przyczyniły się do upadku murów, które przez niemal półwiecze oddzielały od wolnego świata społeczeństwa i narody naszej części kontynentu". Kilka dni wcześniej Papież przypomniał to w homilii podczas mszy św. w Sopocie.

W przemówieniu, co mocno podkreślano w komentarzach, znalazł się niezwykle wówczas nośny problem miejsca Polski w Europie, a szczególnie naszej integracji z Unią Europejską. Papież wyraźnie poparł nasze aspiracje, podkreślając, że jest to w optyce Stolicy Apostolskiej. Te słowa z parlamentu RP, oraz późniejsze, z 19 maja 2003 r., kiedy podkreślił, że „wejście w struktury Unii Europejskiej na równych prawach z innymi państwami, jest dla naszego Narodu i bratnich Narodów słowiańskich wyrazem jakiejś dziejowej sprawiedliwości", miały duży wpływ na wybory katolików w referendum dotyczącym udziału Polski w Unii Europejskiej. »

eprasa.pl 1a0018e33b

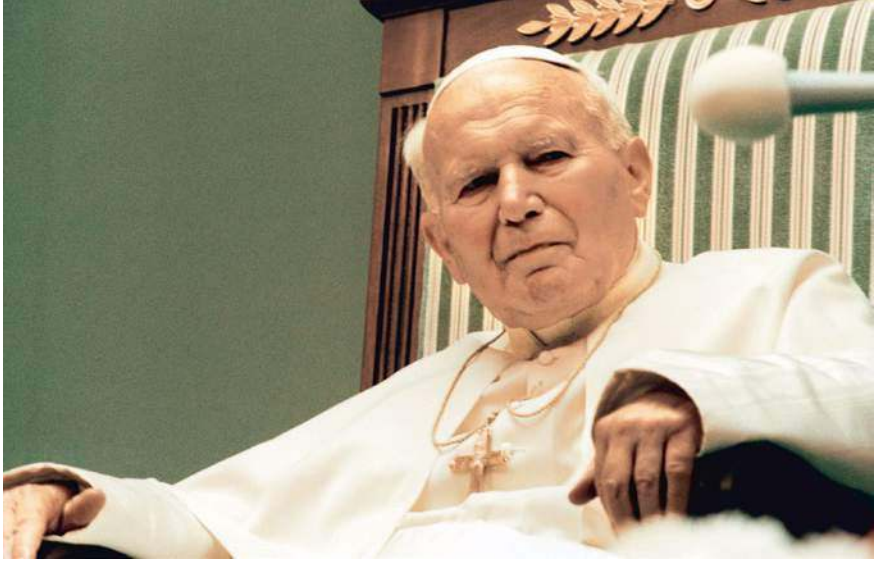

Miód i dziegieć

Kiedy Papież skończył przemówienie, sala zaintonowała „Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski", Papież zażartował: „Nikt nie przypuszczał, że w takim umundurowaniu". Gdy umilkły oklaski, dodał: „Ale nam się wydarzyło!". Ta pointa zrobi potem zawrotną karierę. Nie historyczna czy teologiczna analiza tego, co się w Polsce dokonało pod koniec lat 80. ubiegłego wieku, jakiej dokonał Papież, ale ten potoczny, dowcipny zwrot do dziś jest cytowany najczęściej jako jego najcelniejsze podsumowanie polskich przemian.

Był świadom, że miał przed sobą cały naród, obecny w przedstawicielach wszystkich stanów RP, dlatego swoje przemówienie zakończył okrzykiem z czasów Konstytucji 3 Maja: „Wiwat król, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!".

Papieskie bon moty dużo mówią o atmosferze wizyty, która odbywała się wszak w niezwykle poważnym miejscu i z udziałem najważniejszych osób w państwie. Podobny był klimat podczas spotkań Jana Pawła II z przedstawicielami najwyższych władz państwowych, marszałkami i prezydiami Sejmu i Senatu oraz z reprezentantami prezydiów klubów i kół parlamentarnych. Kiedy podczas prezentacji polityków przyszła kolej na byłą premier, Hannę Suchocką, a przedstawiający ich premier Jerzy Buzek wymienił inne nazwisko, Jan Paweł II natychmiast zaripostował: „Panią Hanię to ja bym rozpoznał na końcu świata".

Nie obyło się jednak bez zgrzytu. Podczas spotkania z Polską Radą Ekumeniczną i przedstawicielami innych religii, ówczesny rabin Polski, Pinchas Menachem Joskowicz domagał się usunięcia „krzyża papieskiego" z terenu dawnego obozu zagłady w Auschwitz. „Mam prośbę do pana papieża, aby dał wezwanie do swoich ludzi, by także ten ostatni krzyż również z tego obozu zdjąć" – mówił rabin, były więzień Auschwitz. Kiedy łamaną polszczyzną wyjaśniał: „Gdy ja przychodzę do Oświęcimu, miejsce, gdzie ja muszę zrobić rachunek sumienia, aby wiedzieć, co tutaj było, tu się robi tę ostatnią modlitwę przed śmiercią", Papież zareagował słowami: „Wiem, znam, to jest modlitwa, którą my codziennie odmawiamy w komplecie, w modlitwie dnia". Nawet katolicy, czołowi uczestnicy dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, uznali, że słowa rabina Joskowicza były nietaktem.

JAN PAWEŁ II: „MOŻEMY BYĆ WDZIĘCZNI OPATRZNOŚCI BOŻEJ ZA TO WSZYSTKO, CO UDAŁO SIĘ NAM OSIĄGNĄĆ"

Czym staje się demokracja bez wartości

W holu Sejmu RP na ścianie widnieje cytat z papieskiego przemówienia sprzed 20 lat: „Dziś w tym miejscu w jakiś sposób szczególny uświadamiamy sobie zasadniczą rolę, jaką w demokratycznym państwie spełnia sprawiedliwy porządek prawny, którego fundamentem zawsze i wszędzie winien być człowiek, jego niezbywalne prawa i prawa całej wspólnoty, której na imię Naród".

Można by zapytać, dlaczego akurat te słowa, które mogłyby być mottem partii obecnie rządzącej, a nie inne, jak choćby przypomnienie, że wykonywanie władzy politycznej „powinno być ofiarną służbą człowiekowi i społeczeństwu, nie zaś szukaniem własnych czy grupowych korzyści z pominięciem dobra wspólnego całego narodu". Wyjaśnił to poniekąd sam Papież, mówiąc do parlamentarzystów: „Chciałbym też życzyć Sejmowi i Senatowi, aby w centrum ich wysiłków ustawodawczych zawsze znajdował się człowiek i jego rzeczywiste dobro, zgodnie z klasyczną formułą: »Hominum causa omne ius constitutum est« (wszelkie prawo jest ustanowione dla ludzi)".

W przemówieniu papieskim, choć przebijała duma z osiągnięć Polaków, trudno było doszukać się tonu triumfalizmu. Nie było też „dobijania" przegranych, którzy utrudniali Polakom realizację wolnościowych aspiracji marzeń. Zamiast tego Jan Paweł II przestrzegał polityków przed zagrożeniami, na które są narażeni także w warunkach demokracji. Jednym z ważniejszych jest pokusa wykorzystania władzy politycznej do partykularnych interesów: „Kiedy natomiast prawa człowieka są lekceważone lub deptane i gdy wbrew zasadom sprawiedliwości interesy partykularne stawia się wyżej niż dobro wspólne, wówczas zasiane zostaje ziarno nieuchronnej destabilizacji, buntu i przemocy". Za poważne zagrożenie uznał też nierespektowanie systemu wartości, odcięcie się od obiektywnej prawdy, na której można pewnie budować struktury państwowe. Jeśli bowiem „nie istnieje żadna ostateczna prawda, będąca przewodnikiem dla działalności politycznej i nadająca jej kierunek, łatwo o instrumentalizację idei i przekonań dla celów, jakie stawia sobie władza. Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm" – przestrzegał Papież.

Kiedy dzisiaj, po 20 latach, czyta się to przemówienie Jana Pawła II w parlamencie RP, odnosi się wrażenie, że nic nie straciło ono na aktualności. Ludzie stanowiący prawo i rządzący nie przestają być bowiem odpowiedzialnymi za dobro wspólne i czynienie życia obywateli bardziej ludzkim i lepszym.

eprasa.pl 1a0018e33b

CIEKAWY ROK 1989

NIE ULEGA WĄTPLIWOŚCI, ŻE ROK 1989 BYŁ DLA POLSKI I INNYCH PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ CZASEM PRZEŁOMU. TO WŁAŚNIE WTEDY ROZPOCZĘŁY SIĘ UPADEK EUROPEJSKIEGO KOMUNIZMU I DROGA TYCH PAŃSTW DO DEMOKRACJI. INNA RZECZ, ŻE NASZ KRAJ SZYBKO Z LIDERA PRZEMIAN STAŁ SIĘ OUTSIDEREM

Jerzy Ciemniewski, Jarosław Kaczyński, Jan Olszewski, Adam Strzembosz, Janina Zakrzewska, Zbigniew Bujak, Zbigniew Romaszewski, Zofia Wasilkowska, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Taylor w sekretariacie strony solidarnościowo-opozycyjnej przed posiedzeniem podzespołu ds. reformy prawa i sądów, 11 lutego 1989 r.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

W Polsce zaczęło się od obrad Okrągłego Stołu, na które zdecydowała się – w związku z fatalnym stanem gospodarki – ekipa Wojciecha Jaruzelskiego. Negocjacje między przedstawicielami władz PRL a częścią opozycji skupionej wokół Lecha Wałęsy toczyły się od 6 lutego do 5 kwietnia w Pałacu Namiestnikowskim (dziś Pałac Prezydencki). Brali w nich również udział reprezentanci Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, którzy zresztą – próbując zaakcentować swe znaczenie – doprowadzili do niespodziewanego kryzysu na zakończenie obrad. A poszło im o wystąpienie szefa OPZZ Alfreda Miodowicza...

Legalni i odrzuceni

Efektem Okrągłego Stołu były m.in. częściowo wolne (w 35 proc.) wybory do Sejmu oraz całkowicie wolne do Senatu, a także zgoda na utworzenie urzędu Prezydenta z bardzo szerokimi uprawnieniami. Peerelowskie władze zgodziły się w zamian na legalizację „Solidarności", a także na jej obecność w mediach. W efekcie m.in. 8 maja ukazał się pierwszy numer „Gazety Wyborczej", ogólnopolskiego dziennika opozycyjnego, a 2 czerwca pierwszy numer reaktywowanego „Tygodnika Solidarność". Nieco wcześniej, bo jeszcze w maju, zainaugurowały swą działalność Studia Wyborcze „Solidarność" w Polskim Radiu i bastionie komunistycznych władz, czyli Telewizji Polskiej. Idei „dogadania się" »

ZDJĘCIA J. MACIEJ GOLISZEWSKI/AA/EPOKA

eprasa.pl 1a0018e33b

Pikieta przed Sejmem przeciw kandydaturze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL, 19 lipca 1989 r.

» z czerwonymi nie popierała bardziej radykalna część opozycji (np. Solidarność Walcząca). Przeciwnicy Okrągłego Stołu zorganizowali 25 lutego 1989 r. Kongres Opozycji Antyustrojowej, który zresztą zakończył się interwencją Służby Bezpieczeństwa i zatrzymaniem 120 osób. Swój sprzeciw wobec „paktów" z komunistami manifestowali oni również na ulicach polskich miast, np. 21 marca w Warszawie.

W wyniku ustaleń Okrągłego Stołu zostały zalegalizowane działające do tej pory nielegalnie, ale jawnie, NSZZ „Solidarność" (17 kwietnia 1989 r.) i NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych (trzy dni później). Nie wszystkie ugrupowania aktywne w 1981 r. mogły jednak liczyć na relegalizację. Tak było np. w przypadku Niezależnego Zrzeszenia Studentów. 23 maja 1989 r. jego wniosek o ponowną rejestrację został odrzucony. Doprowadziło to do zorganizowania przez studentów uczestniczących w rozprawie protestacyjnego pochodu, który w okolicach Uniwersytetu Warszawskiego został brutalnie zaatakowany przez ZOMO – wiele osób zostało pobitych, a kilkanaście aresztowanych. W tej sytuacji studenci rozpoczęli strajk okupacyjny na UW. Dzień później do protestu przystąpiły kolejne uczelnie. Ostatecznie NZS został zalegalizowany 22 września. Warto jeszcze na moment wrócić do relegalizacji „Solidarności". Otóż jej statut został uzupełniony o aneks. Zawieszono w nim te artykuły, które były sprzeczne z Ustawą o związkach zawodowych ze stanu wojennego (m.in. prawo do strajku). Takie rozwiązanie było ostro krytykowane przez bardziej radykalnych związkowców, a także przyczyniło się do utworzenia w lutym 1990 r. NSZZ Solidarność '80, odrzucającej te ograniczenia.

Zdjęcie z Wałęsą

Tymczasem w kraju rozpoczęła się kampania wyborcza. Kandydaci na posłów i senatorów Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" zostali wyłonieni w kwietniu 1989 r. Nie zawsze zresztą odbywało się to w sposób demokratyczny. Ich znakiem firmowym stało się zdjęcie z Wałęsą

Janusz Onyszkiewicz w pierwszym programie telewizyjnego wyborczego studia „Solidarność" wyjaśnia, jak rozpoznać kandydatów „Solidarności", 9 maja 1989 r.

eprasa.pl 1a0018e33b

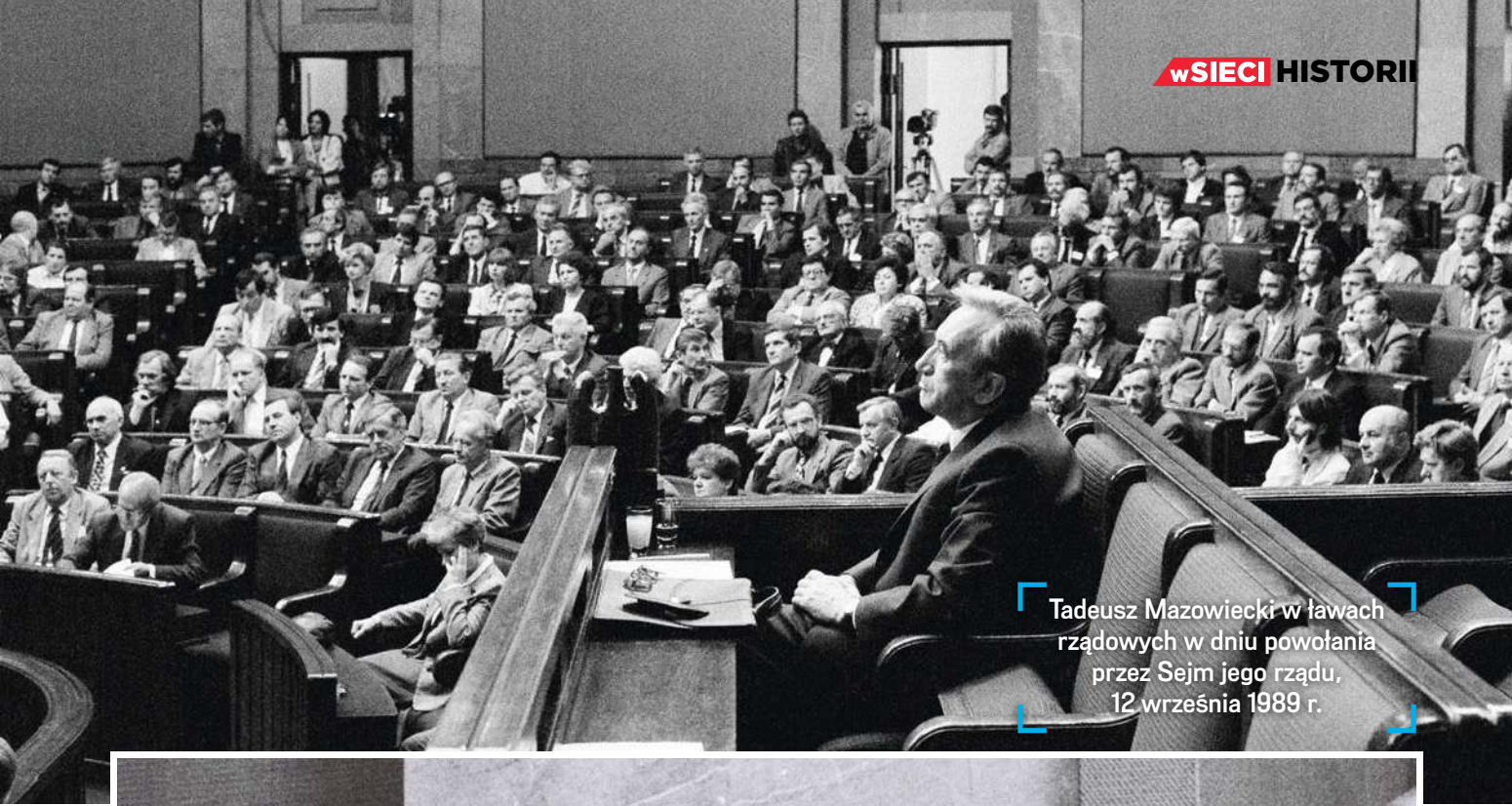

Tadeusz Mazowiecki w ławach rządowych w dniu powołania przez Sejm jego rządu, 12 września 1989 r.

Członkowie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (Krzysztof Kozłowski, Stefan Niesiołowski, Aleksander Paszyński, Lech Kaczyński, Zbigniew Romaszewski, Jacek Szymanderski, Jerzy Stępień, Jarosław Kaczyński, Michał Chałoński, Stanisław Obertaniec) podczas Zgromadzenia Narodowego, 19 sierpnia 1989 r.

– specjalne sesje zdjęciowe zorganizowano dwukrotnie, najpierw w Gdańsku, potem w Warszawie. Mimo 23 z nich nie dysponowało w kampanii takim plakatem. Jak się potem okazało, nie miało to zresztą większego znaczenia. Owszem, plakat taki zwiększał szanse wyborcze potencjalnego parlamentarzysty, ale nie był – wbrew powszechnej dzisiaj opinii – jego gwarantem. Ich kampania była możliwa dzięki dziesiątkom tysięcy wolontariuszy, którzy tworzyli Komitety Obywatelskie „Solidarność" od wiosek, po miasta wojewódzkie. Organizowały one spotkania kandydatów na posłów i senatorów (w wielu przypadkach zresztą przy wsparciu lokalnego Kościoła) oraz kampanię propagandową (plakatową). A także – co niepowtarzalne – 4 czerwca 1989 r. prowadziły przed lokalami wyborczymi punkty informacyjne KO „Solidarność".

„Drużyna Wałęsy" nie skupiała jednak wszystkich działaczy opozycji. Kilku z nich wystartowało przeciwko kandydatom KO „Solidarność", np. Władysław Siła-Nowicki konkurował w Warszawie z Jackiem Kuroniem i Jerzym Urbanem. Jak się później okazało, nie mieli najmniejszych szans. Z kolei część radykalnej opozycji wezwała do bojkotu wyborów w dniu 4 czerwca 1989 r., jako nie w pełni demokratycznych. Organizowała ona również manifestacje i demonstracje pod tym samym hasłem, np. 9 kwietnia w Gdańsku.

Wasz prezydent, nasz premier, a minister z SB

Wybory okazały się wielkim sukcesem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". »

eprasa.pl 1a0018e33b

» Jego kandydatom udało się zdobyć 161 mandatów poselskich, czyli wszystkie, o które mogli powalczyć, oraz 99 na 100 mandatów senatorskich. 23 czerwca 1989 r. utworzyli oni Obywatelski Klub Parlamentarny. Wicemarszałkiem Sejmu została Olga Krzyżanowska, a członkowie OKP obsadzili całe Prezydium Senatu (marszałek Andrzej Stelmachowski, wicemarszałkowie Zofia Kuratowska, Józef Ślisz i Andrzej Wielowieyski). Sukces mógł być jeszcze większy, gdyż w I turze przepadła niemal cała lista krajowa, ale kierownictwo strony solidarnościowej postanowiło – choć nie przewidywała tego ordynacja wyborcza – iż wakaty te będą mogli obsadzić kandydaci komunistycznych władz. To zresztą nie był jedyny taki przypadek. Kiedy 19 lipca 1989 r. Zgromadzenie Narodowe głosowało kandydaturę Jaruzelskiego na Prezydenta PRL, przeszła ona (jednym głosem) tylko dzięki ich postawie. „Za" głosował co prawda tylko jeden członek Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (Stanisław Bernatowicz), ale kolejnych siedmiu oddało głosy nieważne, a następnych siedmiu było nieobecnych lub odmówiło udziału w głosowaniu. Odbywało się to zresztą przy protestach części opozycji, która manifestowała pod hasłem „Jaruzelski musi odejść".

W zamian – w myśl hasła „Wasz prezydent, nasz premier" – Sejm PRL wybrał 24 sierpnia 1989 r. (zdecydowaną większością głosów) na prezesa Rady Ministrów Tadeusza Mazowieckiego. Był on pierwszym niekomunistycznym premierem po zakończeniu II wojny światowej. Niespełna trzy tygodnie później (12 września) został też powołany jego rząd. Znalazło się w nim 12 ministrów z „Solidarności", po czterech z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, trzech ze Stronnictwa Demokratycznego i jeden niezależny. Wiceprezesem Rady Ministrów i ministrem spraw wewnętrznych został Czesław Kiszczak, nadal nadzorującym Służbę Bezpieczeństwa zacierającą w kolejnych miesiącach ślady swej – często zbrodniczej – działalności. A – o czym trzeba w tym miejscu przypomnieć – to właśnie w 1989 r. z rąk „nieznanych sprawców" (bardzo prawdopodobne, że podwładnych Kiszczaka) zginęli trzej księża związani z opozycją (20 stycznia Stefan Niedzielak, 30 stycznia Stanisław Suchowolec i 11 lipca Sylwester Zych).

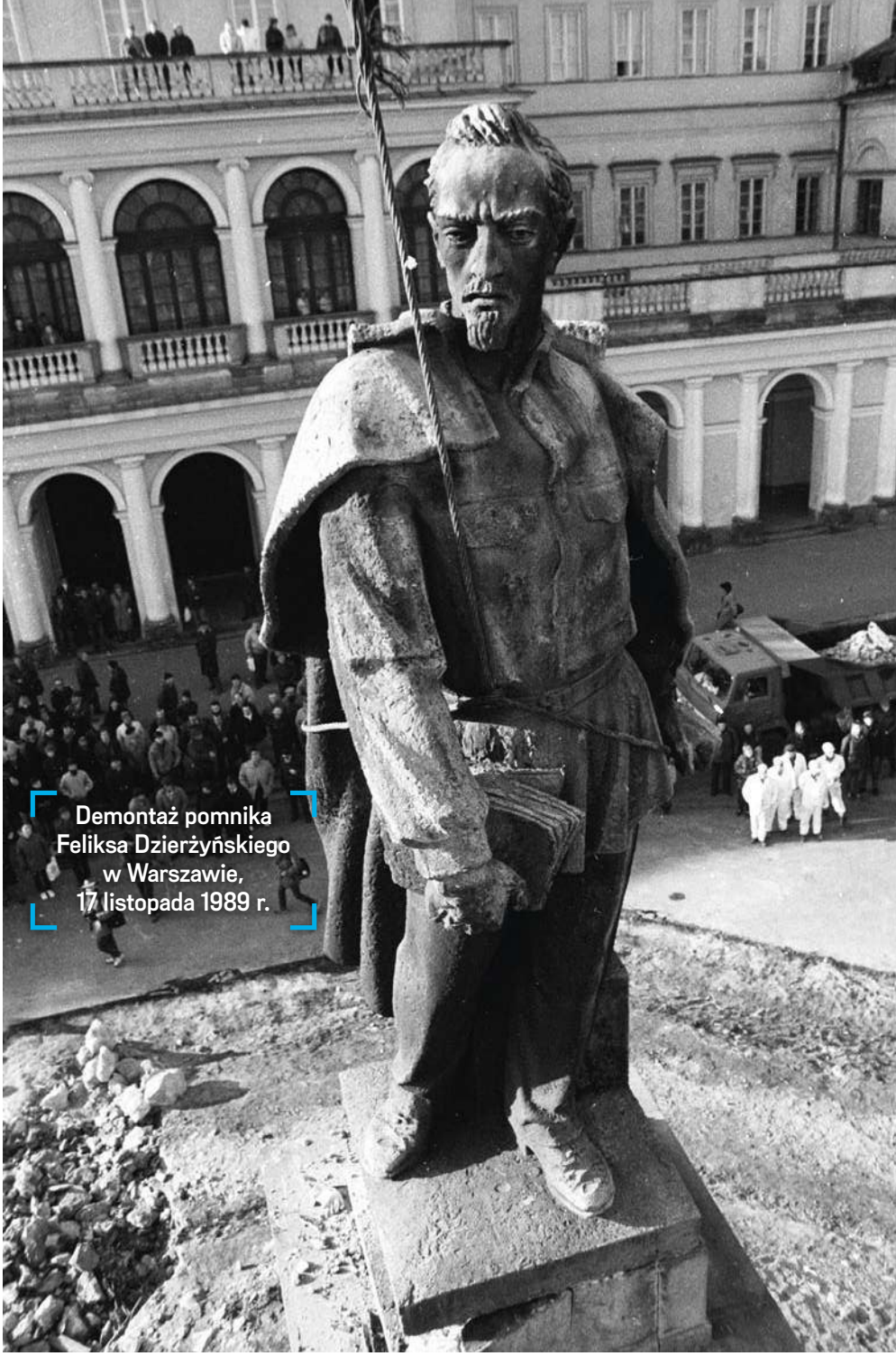

Demontaż pomnika Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie, 17 listopada 1989 r.

* * *

Tak na marginesie, to właśnie za kadencji Mazowieckiego polski rząd obchodził po raz ostatni (7 listopada) tak uroczyście rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej... Tymczasem w kraju trwała akcja usuwania symboli komunistycznych. Dosłownie 10 dni później przy aplauzie licznie zgromadzonych mieszkańców Warszawy został zdemontowany pomnik „krwawego Feliksa", czyli Feliksa Dzierżyńskiego – jednego z twórców i patronów komunistycznego aparatu terroru. Monument ten budził sprzeciw Polaków i był kilkukrotnie (m.in. w stanie wojennym) atakowany. W tym samym miesiącu placowi, na którym stał Dzierżyński i któremu nadano jego imię, przywrócono historyczną nazwę – plac Bankowy. Niestety rozliczenie innych aspektów komunizmu (szczególnie osób odpowiedzialnych za zbrodnie, przestępstwa i represje) nie szło już tak dobrze. I to mimo że 29 stycznia 1990 r. doszło do samorozwiązania odpowiedzialnej za nie PZPR...

35/0818/F

eprasa.pl 1a0018e33b

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl 1a0018e33b

KILKA SŁÓW O MOIM ROKU 1989

PAMIĘTNE I NIEWĄTPLIWIE PRZEŁOMOWE WYBORY 4 CZERWCA 1989 r. I POPRZEDZAJĄCE JE WYDARZENIA Z OKRĄGŁYM STOŁEM NA CZELE JA I – JAK SĄDZĘ – WIELU MOICH ÓWCZESNYCH KOLEGÓW ORAZ PRZYJACIÓŁ Z NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH ORGANIZACJI MŁODZIEŻOWYCH ODBIERALIŚMY – MÓWIĄC ŁAGODNIE – AMBIWALENTNIE. DLA MNIE BYŁO TO WRĘCZ W JAKIMŚ SENSIE DOŚWIADCZENIE SCHIZOFRENICZNE

ŁUKASZ MICHALSKI

Z jednej strony przede wszystkim byliśmy wówczas konsekwentnymi antykomunistami. Komunizm dla nas, wtedy radykalnych 17-, dwudziestokilkulatków, nie był potencjalnym partnerem do dialogu, lecz wrogiem i okupantem, jego przedstawiciele zaś byli zdrajcami służącymi sowieckiej dominacji. Ewentualne rozmowy byłyby z naszej perspektywy dopuszczalne jedynie po swoistej bezwarunkowej kapitulacji systemu, a więc z całkowicie odmiennej pozycji, niż to miało wówczas miejsce. Istotą problemu było tu nie tylko samo zwycięstwo nad komunizmem, lecz jego rozliczenie, które dla nas stanowiło wstępny warunek sine qua non jakichkolwiek kontaktów oficjalnych opozycji z komuną. Inaczej mówiąc, w odróżnieniu od tzw. konstruktywnej opozycji, czyli zdominowanej przez ugodowych, postkorowskich działaczy „Solidarności", nie walczyliśmy o żadną formę „stanu przejściowego", autonomię ani finlandyzację, a więc jakąś formę reformy realnego socjalizmu, lecz o pełną i bezwarunkową niepodległość oraz równie kompletne zniszczenie systemu.

Magdalenka swoje, wyborcy swoje

Z oczywistych względów dokładnie ta kwestia była absolutnie nie do przyjęcia dla samych komunistów. W konsekwencji od samego początku rozmów dokonano swoistej manipulacji społecznej poprzez dobór konkretnych opozycjonistów do rozmów – rzecz jasna, to komuniści wybierali sobie rozmówców i tym samym późniejszych sygnatariuszy paktu, a zarazem „reprezentantów" całego narodu. Niedopuszczenie do tej grupy choćby jednego przedstawiciela opozycji niepodległościowej, a w zasadzie nikogo spoza wąskiej grupy ugodowego kierownictwa i doradców Komisji Krajowej „Solidarności" (bo przecież radykalni działacze tejże – jak choćby Gwiazdowie czy Walentynowicz – także zostali wyłączeni z negocjacji z rządem komunistycznym) i zgoda na wstępne narzucone przez Kiszczaka i Jaruzelskiego warunki, było dla nas dodatkowym argumentem na rzecz zakwestionowania zarówno prawomocności negocjatorów ze strony tzw. solidarnościowej do reprezentowania całej opozycji, jak i odrzucenia zawartego porozumienia. W pewnym sensie i same wybory czerwcowe, i następujące po nich działania posłów oraz doradców Komitetu Obywatelskiego (KO) przy Lechu Wałęsie raczej umocniły nas w tych przekonaniach, niż rozwiały wątpliwości i opory. Doprawdy trudno do dziś zapomnieć przerażoną i smutną twarz Geremka w telewizji po odrzuceniu przez naród tzw. listy krajowej i jego żenujące pouczenia o konieczności zachowywania umów czy też późniejszy wybór zbrodniarza Jaruzelskiego na pierwszego prezydenta „niby-nowej" Rzeczypospolitej głosami posłów tegoż KO.

Trudno, świetnie

Ten czas miał jednak też drugi, zupełnie inny wymiar. Był nim ogromny i bezdyskusyjny entuzjazm tysięcy zwykłych ludzi, dla których wydarzenia roku 1989 jawiły się przede wszystkim jako wielka szansa. Nadzieja na odzyskanie podmiotowości, wolności i wyzwolenie z powszechnej beznadziei oraz szarości dnia codziennego. Wreszcie nadzieja na lepsze życie, także w sensie materialnym, bytowym. Sam moment, kiedy w państwowej telewizji zaczęli się nagle pojawiać ludzie jeszcze niedawno więzieni lub prześladowani, a przede wszystkim mówiący normalną polszczyzną o sprawach naprawdę ważnych dla słuchaczy i w sposób wyczekiwany od dziesięcioleci, był jak przebudzenie z koszmaru. Po prostu nie sposób było się nie poddać tej fali entuzjazmu i odrzucić nadziei mimo

eprasa.pl 1a0018e33b

„Jaruzelski musi odejść" – demonstracja przeciw kandydaturze Wojciecha Jaruzelskiego na Prezydenta RP, 3 lipca 1989 r.

FOT. J. MACIEJ GOLISZEWSKI/AA/EPOKA

oczywistej sprzeczności tych uczuć oraz doświadczeń z przekonaniami.

Przyznam, że także dzisiaj, kiedy wiemy nieporównanie więcej na temat kulis i kontekstów tamtych dni, bardzo trudno mi się zdobyć na jednoznaczną ocenę czy choćby sprecyzowany stosunek do tego czasu i jego bohaterów. Z pewnością nie traktuję już teraz ówczesnej chęci podjęcia dialogu z komunistami jako zdrady – był to niewątpliwie kontrowersyjny i ryzykowny, ale per saldo nie najgorszy chyba sposób na przekształcenie totalitarnej opresji w jakiś bliżej niesprecyzowany stan pośredni, dający jednak realną nadzieję na stworzenie w konsekwencji normalnego, wolnego państwa polskiego. Widać to zresztą lepiej, choćby patrząc na doświadczenia rumuńskie, gdzie mimo początkowo krwawej rozprawy z komunistami finalny efekt wcale nie okazał się lepszy niż w Polsce. A jednak zawarty przy Okrągłym Stole (czy w Magdalence) układ, a raczej niezrozumiały z mojej perspektywy i niedający się usprawiedliwić upór solidarnościowej elity oraz rządu Mazowieckiego w podtrzymywaniu całkowicie już zdezaktualizowanego przez fakty porozumienia, leżały bez wątpienia u podstaw większości ciągnących się przez następne dwie i pół dekady patologii III Rzeczypospolitej, w tym przede wszystkim braku jakiegokolwiek rozliczenia ze zbrodniczym systemem i z jego wiernymi sługami oraz haniebnej zgody na uwłaszczenie się komunistycznych aparatczyków i ubeków na majątku państwowym, a więc własności narodu.

Bandyci zostali bezkarni

Dla mnie bardzo istotna w ewentualnej ocenie roku 1989 jest także sprawa trudniejsza do zmierzenia czy określenia, jednak nie mniej istotna, a mianowicie brak wyraźnego oddzielenia Polski „po" i „przed" upadkiem komunizmu – innymi słowy: brak tego, co Leszek Moczulski w słynnym przemówieniu sejmowym określił mianem „restytucji niepodległości". Zamiast tego „dogadano się" z komunistami jak z równoprawnymi partnerami (co nie bez racji wypomniał ostatnio głosicielom mitu roku 1989 jako „chwili pokonania komunizmu" tow. Czarzasty), a dawni oprawcy i zdrajcy na usługach Sowietów jak za dotknięciem różdżki przeobrazili się w „demokratyczną lewicę". Nie tylko jednak domaganie się uczciwego rozliczenia, ale choćby samo przypominanie roli, jaką odgrywali w PRL, stało się równie (jeśli nie bardziej) „kompromitujące" jak służenie zbrodniczemu systemowi. Ta praktyka polityczna i retoryka medialna uczyniła z Polski na długie lata kraj zaburzonych wartości, miejsce, gdzie dobro i zło przestało cokolwiek znaczyć w skali społecznej. Innymi słowy: dziedzictwem 1989 r. jest także obecna dziś herbertowska „zapaść semantyczna" w sferze aksjologii. W konsekwencji zaś tak dobrze widoczne i zgubne problemy w konsolidowaniu normalnej wspólnoty narodu.

Był więc rok 1989 bez wątpienia czasem przełomu, momentem zapewne kluczowym dla późniejszego odzyskania niepodległości, trudno mi jednak zaakceptować mit tego czasu symbolicznie wyrażony w swoim czasie przez Joannę Szczepkowską. W moim przekonaniu 4 czerwca 1989 r. w Polsce nie tyle skończył się komunizm, ile zaczął się postkomunizm. Być może był to etap konieczny, trudno mi jednak wykrzesać z siebie szczególny entuzjazm wobec tego procesu, a już z pewnością uznać tę datę za symboliczny moment odzyskania przez Polskę niepodległości i wolności przez Polaków.

eprasa.pl 1a0018e33b

Czerwiec

MICHAŁ KOMUDA

1 VI 1919

100 lat temu urodziła się sanitariuszka pułku „Baszta", Janina Załęska „Małgorzata". To dla niej podczas powstania warszawskiego, w podzięce za udzieloną opiekę w szpitalu polowym, ppor. Jan Markowski „Krzysztof" skomponował popularną piosenkę „Sanitariuszka Małgorzatka".

2 VI 1979

40 lat temu, w dniu rozpoczęcia I pielgrzymki do Ojczyzny, Ojciec Święty wypowiedział słowa modlitwy, która wszystko zmieniła: „Wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi!... Tej ziemi!".

4 VI 1920

W pałacu Grand Trianon podpisano traktat pokojowy, który stał się punktem zwrotnym oraz narodową traumą Węgier. W jego myśl Węgrzy utracili ponad dwie trzecie swojego terytorium i znacznie ponad połowę ludności na rzecz Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii oraz Austrii. Co ciekawe, w wyniku podziału Węgier niewielkie fragmenty ich dawnego terytorium przypadły również Polsce oraz Włochom.

6 VI 1989

30 lat temu ogłoszono oficjalne wyniki I tury pierwszych, częściowo wolnych wyborów, które zakończyły się druzgocącą przegraną komunistycznego obozu rządzącego.

7 VI 1492

W Grodnie, po 45 latach panowania Rzeczpospolitą, zmarł król Kazimierz Jagiellończyk. Monarcha ten nie tylko pokonał w wojnie trzynastoletniej zakon krzyżacki i zajął Malbork, lecz również odzyskał Pomorze Gdańskie.

9 VI 1794

W wyniku ran odniesionych podczas przegranej bitwy pod Szczekocinami zmarł chorąży grenadierów krakowskich, Wojciech Bartosz Głowacki. Dwa miesiące wcześniej jako kosynier odznaczył się wybitnym bohaterstwem w trakcie batalii pod Racławicami.

12 VI 1428

Pod Gołąbcem na terenie dzisiejszej Serbii zginął słynny w całej Europie, uznawany za symbol polskiej rycerskości i słowności, Zawisza Czarny z Grabowa. Legendarny rycerz poległ, osłaniając przed tureckimi wojskami odwrót armii króla Zygmunta Luksemburskiego.

eprasa.pl 1a0018e33b

5 VI 1949

Doświadczona konspiratorka podziemia antyniemieckiego i antysowieckiego, wdowa po legendarnym cichociemnym kpt. Janie Piwniku „Ponurym", kpt. Emilia Malessa „Marcysia" zdecydowała się na odebranie sobie życia. W chwili tragicznej śmierci miała 40 lat.

Dziadkowie Emilii Izdebskiej, bo tak brzmiało jej panieńskie nazwisko, byli weteranami powstania styczniowego i zesłańcami syberyjskimi. Ona sama jako członkini Ochotniczej Służby Kobiet wzięła już udział w wojnie obronnej 1939 r. Od początków okupacji związała się ze Służbą Zwycięstwu Polski, a następnie ze Związkiem Walki Zbrojnej i Armią Krajową. W trakcie służby skierowano ją do komórki szyfrów, a następnie do wydziału łączności zagranicznej Oddziału V Komendy Głównej ZWZ-AK. Niebawem też stanęła na jego czele, kierując od tej pory zespołem, który docelowo osiągnął liczebność ponad 100 osób. Wydział ten odpowiadał za trasy kurierskie, przerzucanie ludzi i materiałów oraz przesyłanie meldunków pomiędzy okupowanym krajem a polskimi władzami cywilnymi i wojskowymi na uchodźstwie. Poznała wówczas swojego drugiego męża, przerzuconego z Wielkiej Brytanii cichociemnego „Ponurego", który zasłynął jako dowódca zgrupowań partyzanckich w rejonie Gór Świętokrzyskich, a poległ podczas akcji „Burza" na terenie dzisiejszej Białorusi. Owdowiała „Marcysia" wzięła udział w największej bitwie polskiego podziemia – powstaniu warszawskim. W jego drugiej połowie została odznaczona Orderem Virtuti Militari. Służbę w strukturach konspiracyjnych kontynuowała również po przejściu frontu wschodniego i nastaniu nowego, komunistycznego zniewolenia, wstępując do Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Jednakże niespełna dwa miesiące po utworzeniu tej organizacji, 31 października 1945 r., „Marcysię" aresztowano. Następnie 2 listopada jej przesłuchiwanie rozpoczął osławiony kierownik Wydziału Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Józef Różański. To za sprawą prowadzonej przez niego gry wykonała krok, który doprowadził do jej dramatycznego końca. Uwierzywszy danemu przez oficera śledczego słowu honoru, w imię zaprzestania bratobójczej walki, zgodziła się na ujawnienie członków „WiN" w zamian za gwarancję ich nietykalności. W wyniku tej prowokacji, wbrew „obietnicy", rozpoczęły się masowe aresztowania oficerów z I Zarządu Głównego Zrzeszenia „WiN" wraz z jego prezesem, płk. Janem Rzepeckim. Na początku 1947 r. ujawnione przez „Marcysię" osoby zostały skazane na wieloletnie kary więzienia, a ona sama mimo wyroku została ułaskawiona. Po powrocie na wolność podjęła pracę, równocześnie nieustannie powołując się na zawarty w trakcie śledztwa układ, domagała się uwolnienia uwięzionych. W kwietniu 1949 r. w liście do Różańskiego pisała: „Po wyczerpaniu na przestrzeni trzech i pół lat wszystkich środków dla uzyskania zwolnienia pozostałych ujawnionych, donoszę Panu Pułkownikowi, że od 9 kwietnia podjęłam głodówkę, jako ostatni z mojej strony akt protestu [...]". Również ta akcja nie dała rezultatów. Dwa miesiące później niemogąca się pogodzić z konsekwencjami swojego wyboru, żyjąca z piętnem zdrajcy „Marcysia" odebrała sobie życie.

16 VI 1983

W Warszawie rozpoczęła się II pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny. Podróż ta miała wyjątkowy charakter, ponieważ była pierwszą po zamachu na życie papieża i odbywała się w trakcie stanu wojennego w Polsce.

Komunistyczne władze nie zgodziły się na planowany na rok wcześniej przyjazd Jana Pawła II na obchody 600-lecia obecności cudownego obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze. Natomiast przed II pielgrzymką podjęły zmasowane akcje propagandowe, mające m.in. oczerniać hierarchów kościelnych. Ojciec Święty nie mógł również odwiedzić wszystkich zaplanowanych przez siebie miejscowości, na czele z Gdańskiem będącym symbolem „Solidarności", a sama nazwa tego związku była w trakcie całej wizyty zakazana. Mimo to sterroryzowane stanem wojennym społeczeństwo masowo towarzyszyło Janowi Pawłowi II przez całe osiem dni jego pielgrzymki. On sam w przemówieniu powitalnym bezpośrednio odniósł się do sytuacji w kraju, mówiąc: „Uważam, że powinienem być z mymi rodakami w tym wzniosłym, a zarazem trudnym momencie dziejów Ojczyzny". Z kolei w trakcie wizyty na Jasnej Górze, podczas której złożył Matce Bożej jako wotum swój przestrzelony przez zamachowca pas od sutanny, powiedział: „Tutaj zawsze byliśmy wolni". Pielgrzymka była sposobnością do beatyfikowania trójki polskich błogosławionych oraz poświęcenia kościoła w Nowej Hucie – Mistrzejowicach. Cała wizyta apostolska była nade wszystko bardzo ważnym wsparciem duchowym dla Polaków i jednocześnie przegraną reżimu, który miesiąc po jej zakończeniu ostatecznie zniósł stan wojenny.

FOT. AAN, BIBLIOTEKA NARODOWA x3, NAC x2

eprasa.pl 1a0018e33b

Czerwiec

13 VI 1999 20 lat temu papież Jan Paweł II beatyfikował 108 błogosławionych męczenników zamordowanych podczas II wojny światowej. Fresk przedstawiający ich podobizny zdobi kaplicę znajdującą się w Muzeum Powstania Warszawskiego.

15 VI 1085 W Pradze odbyła się koronacja pierwszego czeskiego monarchy, Wratysława II. Co ciekawe, władca ten, ciesząc się poparciem cesarza niemieckiego, w trakcie ceremonii otrzymał tytuł króla Czech i Polski.

20 VI 1624 Pod Martynowem hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski pokonał powracającą z najazdu na Małopolskę armię tatarską. Zwycięstwo zaowocowało odbiciem licznego jasyru.

21 VI 1949 70 lat temu uchwalono decyzję o utworzeniu Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, powszechnie znanej jako „Cepelia".

22 VI 1789 Na podstawie uchwalonej przez Sejm Wielki konstytucji „Lustracya dymów i podanie ludności" przeprowadzono pierwszy w Rzeczypospolitej spis ludności.

23 VI 1831 Oddając nastroje panujące wśród węgierskiej szlachty w trakcie powstania listopadowego, Lajos Kossuth stwierdził: „Sprawa polska jest sprawą całej Europy i odważnie śmiem powiedzieć, że kto nie szanuje Polaka, kto nie błogosławi jego sprawiedliwej broni, ten nie kocha swego króla ani swojej ojczyzny".

24 VI 1812 Wielka Armia cesarza Napoleona Bonapartego, przekroczywszy Niemen, rozpoczęła drugą wojnę polską i ruszyła na Moskwę. W jej szeregach znalazło się niemal 100 tys. polskich żołnierzy, z księciem Józefem Poniatowskim na czele, pragnących zbrojnie odzyskać utraconą w wyniku rozbiorów ojczyznę.

27 VI 1629 W trakcie bitwy pod Trzcianą kawaleria hetmana Stanisława Koniecpolskiego zadała druzgocącą klęskę szwedzkiej armii. Sam król Gustaw Adolf, nazywany Lwem Północy, z trudem ocalił swoje życie.

Stanisław Koniecpolski

Gustaw Adolf

eprasa.pl 1a0018e33b

25 VI 1779

W położonym w Wielkopolsce Mniewie przyszedł na świat jeden z najwierniejszych i najwybitniejszych polskich oficerów Napoleona, gen. Jan Paweł Jerzmanowski. Stał u boku „boga wojny" zarówno podczas zesłania na Elbę, jak i w trakcie batalii na polach Waterloo.

Jan Paweł Jerzmanowski pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej i jego kariera wojskowa nie miała błyskotliwego przebiegu. Od 1799 r. walczył w utworzonej przez gen. Karola Kniaziewicza Legii Naddunajskiej. Po jej likwidacji ponownie zaciągnął się do służby francuskiej w trakcie kampanii przeciw Austrii w 1805 r. i bił się pod Austerlitz. Rok później walczył przeciw Prusom. W utworzonym w 1807 r. pułku szwoleżerów gwardii otrzymał zaledwie stopień kapitana i długo przyszło mu służyć pod komendą młodszych oraz mniej doświadczonych od siebie, ale szlachetniej urodzonych dowódców. Mimo odwagi osobistej i kolejnych odznaczeń wojskowych dopiero na początku 1811 r. został mianowany szefem szwadronu. W tej roli zasłynął jako opanowany, niesłychanie konsekwentny i wymagający, wzbudzający strach, ale też wielki szacunek, dowódca. Dzięki tym przymiotom jego trzeci szwadron, początkowo niecieszący się najlepszą sławą, stał się tym, na który zwrócił uwagę sam cesarz. Jednak dopiero wojna z Rosją 1812 r. stała się czasem, w którym gwiazda Jerzmanowskiego rozbłysła w pełni. Mimo doznanej przez Napoleona klęski i dramatycznego odwrotu Wielkiej Armii z Moskwy polski szef szwadronu zachował wśród swoich podkomendnych żelazną dyscyplinę, mądrze gospodarując ich siłami. Jego szwoleżerowie niezłomnie strzegli tyłów wycofujących się sojuszniczych wojsk jako najdalej wysunięta straż tylna Wielkiej niegdyś Armii. Zyskali złowrogą sławę wśród kozaków, stając się ich postrachem. Wśród pobitych i zdemoralizowanych napoleońskich wojsk szwadron Jerzmanowskiego przypominał niewzruszoną skałę, o którą rozbijały się ścigające je wrogie zagony. Mężnie walczył również podczas kampanii 1813 r. oraz na terytorium Francji, broniąc do ostatka jej stolicy. Polacy byli wówczas ostatnim sojusznikiem, który trwał przy cesarzu. W uznaniu zasług Jerzmanowski tuż po abdykacji Napoleona w kwietniu 1814 r. został awansowany do stopnia majora. Setka ochotników ze szwoleżerów wybranych przez Jerzmanowskiego stanowiła osobistą straż Bonapartego na wyspie Elbie oraz w trakcie jego ucieczki i powrotu na kontynent w pamiętnym marcu 1815 r. Polski dowódca znalazł się wówczas w wąskim gronie najbliższych współpracowników cesarza i musiał być jednym z najbardziej zaufanych jego ludzi. Dzięki temu uczestniczył w triumfalnym wjeździe Napoleona do Paryża, ale też już jako pułkownik w jego ostatniej kampanii. Polski szwadron szwoleżerów-lansjerów walczył 18 czerwca pod Waterloo i po raz ostatni osłaniał odwrót wojsk swojego wielkiego wodza. Po ponownym zesłaniu Napoleona Jerzmanowski powrócił na kilka lat do Polski, ale ostatecznie osiadł we Francji. Nie zapomniał jednak nigdy o ojczyźnie. Jeszcze w trakcie powstania listopadowego, jako generał, aktywnie podjął się próby zorganizowania pomocy dla wojsk polskich, płynąc z transportem broni na inflanckie wybrzeże.

28 VI 1919

100 lat temu w Wersalu polski premier Ignacy Paderewski oraz reprezentant Komitetu Narodowego Polskiego Roman Dmowski złożyli swoje podpisy pod traktatem pokojowym kończącym I wojnę światową.

Konferencja pokojowa rozpoczęła się 18 stycznia 1919 r. w Sali Lustrzanej Pałacu Wersalskiego. Choć w jej obradach wzięli udział delegaci kilkudziesięciu państw, w praktyce najważniejszy głos miały Francja, Japonia, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Włochy, które utworzyły Radę Najwyższą. Kluczową kwestią w trakcie obrad była przyszłość pokonanych Niemiec, ściśle związana z wytyczeniem granicy polsko-niemieckiej. Polskę reprezentowało dwóch wspomnianych delegatów, których wspierało grono ekspertów. Walcząc o sprawiedliwe granice dla odradzającej się ojczyzny, Dmowski zasłynął spektakularnym, wielogodzinnym wystąpieniem, które wygłosił z głowy, w języku francuskim i angielskim. Polacy mogli liczyć na wsparcie Francji, która była zainteresowana osłabieniem Berlina. Niestety przeciwny punkt widzenia reprezentowała Wielka Brytania dążąca do zachowania równowagi sił. To właśnie przez jej postawę ostateczne decyzje konferencji były znacznie mniej korzystne dla Polski od pierwotnych propozycji. Niemniej oceniając nadrzędną wagę tego historycznego aktu, Dmowski napisał: „Na stole leżał tekst traktatu, który Niemcy mają podpisać, traktatu, który uznaje niepodległe państwo polskie, mocą którego Niemcy zwracają Polsce nie wszystko wprawdzie, co jej zagarnęli w przeszłości, ale prawie wszystko to, czego nie zdołali zniemczyć".

Opracował Michał Komuda

FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, BIBLIOTEKA NARODOWA x7, NAC

eprasa.pl 1a0018e33b

TRAKTATY MIĘDZYPAŃSTWOWE

JACEK KROCHMAL

DOKUMENTY TRAKTATOWE SĄ ŚWIADECTWEM ZNACZENIA POLITYCZNEGO PAŃSTWA I WAŻNYM ŹRÓDŁEM DO JEGO DZIEJÓW. ODZWIERCIEDLAJĄC STOSUNKI Z INNYMI PAŃSTWAMI, SĄ TEŻ ZABYTKIEM TRADYCJI DYPLOMATYCZNYCH. NAJWAŻNIEJSZE Z NICH ZNAMY Z PODRĘCZNIKÓW. HISTORYCY DYPLOMACJI MOGĄ DOTRZEĆ DO ICH TREŚCI W EDYCJACH WYDAWANYCH Z ORYGINAŁÓW PIECZOŁOWICIE PRZECHOWYWANYCH W ARCHIWACH

W Polsce największy zbiór traktatów międzypaństwowych z okresu od średniowiecza do końca XVIII w. znajduje się w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Są to zarówno układy dwustronne, jak i traktaty wielostronne. Do najstarszych należą porozumienia Kazimierza Wielkiego z Ludwikiem Andegaweńskim. Z 1350 r. pochodzi umowa dynastyczna dotycząca sukcesji w Polsce i na Rusi Czerwonej. Jej kontynuacją był układ z 1369 r., na mocy którego Ludwik, król Węgier i Dalmacji, przyrzekł dotrzymać układów sukcesyjnych z królem Kazimierzem i wspólnie z nim wystąpić przeciwko cesarzowi Karolowi IV Luksemburskiemu. Długotrwałe skutki miały postanowienia traktatu pokojowego w Lubowli z 1412 r., na mocy którego Polska uzyskała Spisz po słowackiej stronie Karpat. Ze stosunkami polsko-węgierskimi jest też związany dokument króla Bośni Mikołaja i dostojników węgierskich, którzy w 1474 r. zaakceptowali pokój króla węgierskiego Macieja Korwina z królem polskim Kazimierzem Jagiellończykiem. Interesującym źródłem do dziejów Europy Środkowej, znajdującej się wówczas pod panowaniem Jagiellonów, jest dokument z 1498 r., w którym król węgierski i czeski Władysław II Jagiellończyk ustanowił pełnomocników do zawarcia układu o przyjaźni ze swym bratem, królem polskim Janem Olbrachtem.

Narastający konflikt z zakonem krzyżackim znalazł odzwierciedlenie w porozumieniach sojuszniczych przeciwko Krzyżakom. Sprzymierzeńcami królów polskich byli książęta szczecińscy, na mocy zawartych w 1343 r. i 1390 r. układów. Sojuszników znalazła Polska też w innych krajach. Z 1419 r. zachował się dokument króla duńskiego Eryka i dygnitarzy królestw związanych unią kalmarską: Danii, Norwegii i Szwecji, proponujących królowi Władysławowi Jagielle i wielkiemu księciu litewskiemu Witoldowi przymierze przeciwko wspólnym wrogom – Brandenburgii i państwu krzyżackiemu. Przebieg samego konfliktu polsko-krzyżackiego odzwierciedlają dokumenty traktatów pokojowych kończących kolejne etapy długiej wojny. Są nimi: pokój w Raciążku z 1404 r., rozejm z 9 grudnia 1410 r., pierwszy pokój toruński z 1411 r., pokój mełneński z 1422 r., pokój wieczysty zawarty w Brześciu Kujawskim w 1435 r., drugi pokój toruński z 1466 r. oraz traktat krakowski z 1525 r., w wyniku którego zakon krzyżacki uległ sekularyzacji, przekształcając się w pierwsze w Europie państwo protestanckie – Prusy Książęce.

Po przezwyciężeniu rozdrobnienia dzielnicowego poza Królestwem Polskim pozostawały księstwa rządzone przez Piastów. Przyjazne stosunki z Mazowszem upamiętnia dokument z 1355 r., mówiący o złożeniu przez księcia Siemowita III hołdu lennego królowi Kazimierzowi Wielkiemu. Nieco później doszło do sporu terytorialnego o prawa do Kujaw i ziemi łęczyckiej, który zakończył się w 1385 r. pokojem krakowskim zawartym pomiędzy królową Jadwigą

Pierwszy pokój toruński z 1411 r.

eprasa.pl 1a001[illegible]3b

a księciem mazowieckim Siemowitem IV. Odzwierciedleniem wpływów polskich w Mołdawii i związków lennych jej hospodarów z Koroną Polską jest zbiór 20 dokumentów z lat 1387–1527. Z tego okresu pochodzą też dokumenty przymierne króla Kazimierza Jagiellończyka z księciem bawarskim Ludwikiem (1460 r.) oraz Zygmunta I Starego z królem duńskim Janem z 1510 r. Na uwagę zasługuje także dokument cesarza Karola V z 1549 r. mówiący o jego przystąpieniu do sojuszu króla rzymskiego Ferdynanda z królem Zygmuntem II Augustem.

Związki Polski z krajami Orientu dokumentuje jarłyk Tochtamysza, chana Złotej Ordy, wysłany w 1392 r. do króla Władysława II Jagiełły z zapewnieniem przyjaźni. Równie interesujący jest ferman szacha perskiego Abbasa I skierowany w 1608 r. do panów polskich z ofertą sojuszu przeciwko Turcji. Uznanie dla światowego dziedzictwa kulturowego zyskał przechowywany w AGAD zbiór polsko-tureckich traktatów zawieranych od XV do schyłku XVII w., wpisany na Światową Listę Programu UNESCO „Pamięć Świata". Wśród nich na uwagę zasługuje list przymierny sułtana Murada III przesłany królowi Stefanowi Batoremu w 1577 r.

List przymierny sułtana Murada III (1577 r.)

Wiek XVII to czas ciągłych wojen Rzeczypospolitej z sąsiadami. Będące pokłosiem roszczeń dynastycznych polskiej linii Wazów wojny ze Szwecją przerywały traktaty rozejmowe zawierane w Altmarku (Starym Targu) w 1629 r. i w Sztumskiej Wsi w 1635 r. Z czasem konflikt ten przekształcił się w II wojnę północną, do której przystąpiły inne państwa. Z 1657 r. pochodzą: dokument antyszwedzkiego sojuszu Rzeczypospolitej z królem duńskim Fryderykiem III oraz układy z elektorem brandenburskim Fryderykiem Wilhelmem, który za cenę zwolnienia z podległości lennej porzucił szwedzkiego sojusznika i zwrócił Polsce miasto Elbląg. II wojnę północną zakończył pokój oliwski zawarty 3 maja 1660 r. Był to układ wielostronny, należący do najważniejszych traktatów międzynarodowych XVII-wiecznej Europy. Powstał w pięciu równoprawnych egzemplarzach przeznaczonych dla układających się stron: Rzeczypospolitej (egzemplarz w AGAD), cesarza, Brandenburgii i Szwecji oraz moderującej negocjacje Francji. Kolejne egzemplarze otrzymali gwaranci traktatu: królowie Hiszpanii i Anglii, stany holenderskie i elektorzy Rzeszy. Ciekawostką związaną z tym dokumentem są jego czarna oprawa i pieczęcie odciśnięte w czarnym wosku, co miało upamiętnić żałobę negocjatorów strony szwedzkiej kontynuujących rokowania po śmierci króla Karola X Gustawa, zmarłego 13 lutego 1660 r.

Pokój oliwski z 1660 r.

Wojny trwały także na innych frontach. Wobec zagrożenia tureckiego Rzeczpospolita przystąpiła do sojuszu państw chrześcijańskich. W AGAD jest przechowywany dokument cesarza Leopolda z 1683 r. ratyfikujący sojusz z królem Janem III. Przymierze to doprowadziło najpierw do wiktorii wiedeńskiej, a potem do pokonania Turcji przez koalicję. W 1699 r. zawarty został pokój karłowicki, w wyniku którego Polska odzyskała Kamieniec i Podole. Zagrożenie tureckie zmusiło Rzeczpospolitą do zakończenia wojny z Rosją, z którą w 1686 r. zawarto niekorzystny traktat nazwany pokojem Grzymułtowskiego. Podtrzymał on warunki rozejmu andruszowskiego z 1667 r., w wyniku którego Rzeczpospolita utraciła wschodnie terytoria wraz z Kijowem. Traktat ten zakończył rywalizację o dominację w Europie Wschodniej. Zwycięsko wyszła z niej Rosja, która zaczęła ingerować w sprawy wewnętrzne ogarniętej kryzysem Rzeczypospolitej. Utratę jej suwerenności przypieczętował upadek państwa usankcjonowany traktatami rozbiorowymi.

Związane z nimi są dokumenty przechowywane w AGAD, w tym układy z 1773 i 1776 r. o zmianach granic między Galicją a Polską. Z 1793 r. pochodzą natomiast rosyjsko-pruska konwencja rozbiorowa oraz polsko-rosyjski traktat grodzieński akceptujący II rozbiór Rzeczypospolitej.

Powyższa charakterystyka nie wyczerpuje bogactwa źródeł przechowywanych w AGAD. Zgromadzone w nim traktaty są świadectwem zarówno świetności, jak i upadku państwa polskiego. Szczególne miejsce w jego dziejach zajmują traktaty zawierane z Litwą, w tym uzgodniona przed 450 laty Unia Lubelska tworząca wspólną Rzeczpospolitą.

Carowie Iwan VI i Piotr I ratyfikują traktat pokojowy z Rzecząpospolitą (1686 r.)

FOT. KAROL ZOLIŃSKI

eprasa.pl 1a0018e33b

Archiwum Akt Nowych

KULTOWE PRZEDWOJENNE KURORTY

U PROGU II RZECZYPOSPOLITEJ POLACY OTRZYMALI PRAWO DO URLOPU. ZMIENIŁA SIĘ ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZEŃSTWA I MIMO POCZĄTKOWYCH TRUDNOŚCI GOSPODARCZYCH STOPNIOWO ZACZĘŁA SIĘ ROZWIJAĆ TURYSTYKA. DO WAKACYJNEGO RELAKSU POLAKÓW ZACHĘCAŁO PAŃSTWO, PROMUJĄC ZDROWY TRYB ŻYCIA I PRZEBYWANIE NA ŚWIEŻYM POWIETRZU

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

Rosła liczba pensjonatów, modnych hoteli i skromnych schronisk młodzieżowych. Masową turystykę ułatwiał rozwój połączeń autobusowych, kolei i linii lotniczych oraz wprowadzenie zniżek dla turystów. Już w 1920 r. powstało pierwsze biuro podróży Orbis, wznowiono także działalność Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego oraz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Nad morze

Uzyskanie przez Polskę dostępu do morza spowodowało rozkwit nadmorskiego wypoczynku w Gdyni oraz kurortach Półwyspu Helskiego. Niezwykły urok okolicy i dogodne położenie ściągały rzesze turystów do Orłowa – dzisiejszej dzielnicy Gdyni. Odwiedzający prócz relaksu na pięknym kąpielisku mogli przespacerować się nadmorskim deptakiem promenadą Królowej Marysieńki. Był to świetny punkt widokowy na Zatokę Gdańską, pobliskie molo oraz zachwycający Klif Orłowski. Tu odpoczywał Stefan Żeromski, który tak wspominał Orłowo: „Wiele podróżowałem po świecie, ale tak pięknego zakątka, takiego połączenia morza, lasów i wzgórz, nie widziałem nigdzie. Tu czuję się spokojny i szczęśliwy”.

Dzięki pasażerskiej żegludze przybrzeżnej oraz połączeniu kolejowemu letnicy zaczęli odwiedzać Jastarnię, Kuźnice, Chałupy oraz Hel – uznawane do tej pory za najbardziej urzekające plaże w Polsce. Sam przejazd pociągiem był ogromną atrakcją – pasażerowie mogli podziwiać morze po obu stronach torów. Na cyplu dużą popularnością cieszył się

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a0018e33b

Dom Zdrojowy „Hotel Polonia", który oglądamy już dziś jedynie na starych pocztówkach.

Sławę najelegantszego kurortu nadmorskiego dwudziestolecia międzywojennego zdobyła Jurata, nazywana polskim „Palm Beach". Infrastruktura miasteczka była, jak na te czasy, imponująca: własna elektrownia, kanalizacja, korty tenisowe oraz platforma do dancingów. Jurata „ociekała" nowoczesnością i ekskluzywnością. Najbardziej znany był słynny hotel Lido, w którym chętnie wypoczywały gwiazdy świata kultury: Eugeniusz Bodo, Tola Mankiewiczówna, siostry Halama, Jadwiga Smosarska, Wojciech Kossak oraz jego córki: Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Magdalena Samozwaniec. To właśnie tu najchętniej wypoczywał prezydent RP Ignacy Mościcki. Swoje rezydencje mieli w Juracie również minister spraw zagranicznych Józef Beck oraz gen. Władysław Sikorski.

W góry

Wiele atrakcji zarówno w sezonie letnim, jak i zimowym oferowały kurorty górskie. Już wtedy najbardziej obleganą miejscowością było Zakopane, rozsławione przez takie osobistości jak Stanisław Ignacy Witkiewicz, Witold Gombrowicz, Kornel Makuszyński czy Jarosław Iwaszkiewicz. Rozkwit Zakopanego w okresie międzywojennym to nie tylko nowe hotele, ale przede wszystkim budowa kolejki linowej na Kasprowy Wierch oraz skoczni narciarskiej – Wielkiej Krokwi. Stolica Tatr rosła w oczach i z powodzeniem zaczynała konkurować z europejskimi ośrodkami narciarskimi. Postęp był imponujący – Zakopane zostało stolicą sportów zimowych; przed wojną miasto przygotowało konkurs w łyżwiarstwie figurowym oraz mistrzostwa w narciarstwie klasycznym.

Bogata infrastruktura rekreacyjno-sportowa była wizytówką drugiego tłumnie obleganego kurortu górskiego, czyli Krynicy-Zdroju. Tu również powstała skocznia narciarska, a także lodowisko do hokeja oraz największy w całym kraju tor saneczkowy. Skarbem miejscowości były lecznicze źródła wód mineralnych. Największy rozkwit Krynicy to właśnie lata międzywojenne, kiedy mocno rozbudowano uzdrowisko oraz podjęto wiele inwestycji remontowych: wybudowano nadrzeczne, kamienne bulwary, wyasfaltowano część dróg i chodników. W tym czasie powstały również nowe łazienki do kąpieli mineralnych, a w 1928 r. miasto doczekało się kanalizacji i oczyszczalni ścieków. Postacią, która kojarzy się z Krynicą-Zdrojem, jest słynny polski śpiewak, tenor Jan Kiepura. Nie był on zwykłym kuracjuszem, ale mieszkańcem miejscowości – w 1933 r. wybudował tu nowoczesną willę o nazwie „Patria", która posiadała rzadkie w tych czasach wyposażenie i luksusy: windy, centralne ogrzewanie, osobną centralę telefoniczną, taras widokowy na dachu, a także wielkie obrotowe drzwi wejściowe. Przy okazji pobytu w Krynicy śpiewak często występował na miejskim deptaku, co dodatkowo ściągało tam tłumy fanów.

Na Kresy

Najchętniej odwiedzane przed wojną przez Polaków były uzdrowiska i kurorty na terenach Kresów Wschodnich, nazywane letnimi salonami II RP. Szczególnie lubiane były Zaleszczyki, umiejscowione w zakolu potężnego Dniestru, oblane z trzech stron wodami rzeki i osłonięte zalesionym wzgórzem od chłodniejszej strony wschodniej. „Miasto Słońca" prócz ciepłego klimatu i pięknych piaszczystych plaż oferowało swoim gościom mnóstwo winnic i tropikalnych owoców. Intensywnym miesiącem w Zaleszczykach był wrzesień – wtedy urządzano tu winobranie oraz masę towarzyszących imprez: spływy kajakowe, zjazdy samochodowe, zawody konne.

Z kolei leżące na lewym brzegu Niemna Druskienniki swoją popularność zawdzięczały Józefowi Piłsudskiemu, który stroniąc od gwaru i tłumów, chętnie tam odpoczywał. „Doktorzy zalecają, bym jechał leczyć się za granicę, a ja pragnę na lato wyjechać do Druskiennik. Doktorzy mają swoją politykę, a ja swoją. Gdyby oni znali Kresy, tamtejsze drzewa, powietrze i lud tamtejszy, nasze potrawy i przyzwyczajenia, na pewno zmieniliby swoją politykę. Zobaczymy, czyja polityka zwycięży – ich czy moja? Dla mego zdrowia potrzebne są tamtejsze lasy, gawęda z tamtejszymi ludźmi i smak tamtejszych potraw" – pisał Marszałek. Liczne źródła mineralne i bogate pokłady borowiny przyciągały fanów kąpieli w wodach termalnych. Status tzw. miejscowości leczniczej Druskienniki otrzymały już w 1794 r. na mocy dekretu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Status uzdrowiska uzyskały w 1837 r. od cara Mikołaja.

Okres międzywojenny to niewątpliwie turystyczny rozkwit Polski. Nie każdego było stać na wyjazd do modnego kurortu, ale liczył się aktywny wypoczynek. Urlopy spędzano na łonie natury; modne stały się piesze wędrówki, wycieczki rowerowe i spływy kajakowe.

W bogatym zasobie Archiwum Akt Nowych znajdują się piękne albumy pełne unikatowych fotografii z okresu II RP, przedstawiających malownicze krajobrazy i formy letniego wypoczynku.

eprasa.pl 1a0018e33b

CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (5)

W II RP NIE ULEGAŁO WĄTPLIWOŚCI, ŻE POLSKA – JEŚLI CHCE SIĘ SKUTECZNIE WŁĄCZYĆ DO WIELKIEGO WYŚCIGU MYŚLI I PRACY – MUSI NADROBIĆ OPÓŹNIENIA CYWILIZACYJNE. OD TEGO ZALEŻAŁY JEJ BYT I PO TAK DŁUGICH ZMAGANIACH WYWALCZONA W KOŃCU SUWERENNOŚĆ

eprasa.pl 1a0016e33b

BOLESŁAW ORŁOWSKI

Stefan Bryła (1886–1943)

II Rzeczpospolita była pierwszym na świecie państwem, które usankcjonowało stosowanie spawania w budownictwie. Dotyczące tej kwestii przepisy, stanowiące wzór dla innych krajów, opracował w 1928 r. dla Ministerstwa Robót Publicznych prof. Stefan Bryła. On też doprowadził do powstania w Polsce pierwszego w dziejach mostu spawanego. Był to most drogowy na rzece Słudwi w Maurzycach k. Łowicza, o rozpiętości 27 m, oddany do użytku 12 sierpnia 1929 r.

Bryła, który dwukrotnie pogłębiał wiedzę inżynierską w Stanach Zjednoczonych (1912, 1923), zapoznając się z nowoczesnymi metodami w budownictwie oraz ze stosowaną tam standaryzacją, był projektantem konstrukcji wielu ważnych budowli publicznych i przemysłowych. Spawaną konstrukcję zastosował, wznosząc gmach Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Halę Targową w Katowicach oraz w 1932 r. wieżowiec Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential" w Warszawie (obecnie hotel Warszawa przy pl. Powstańców Warszawy), który nie zawalił się pomimo trafienia ponad 100 pociskami artyleryjskimi podczas powstania warszawskiego (1944).

Bryła był odważny nie tylko jako projektant. Podczas okupacji niemieckiej uczestniczył w konspiracyjnym kształceniu politechnicznym, pełnił też ważne funkcje w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego, kierując wywiadem techniczno-przemysłowym i planując powojenną odbudowę Polski. Za tę działalność został rozstrzelany przez niemieckie władze okupacyjne 3 grudnia 1943 r.

Tadeusz Sędzimir (1894–1989)

Był bliski ukończenia studiów na wydziale mechanicznym lwowskiej Szkoły Politechnicznej, kiedy wybuchła I wojna światowa. Losy rzuciły go do Szanghaju, gdzie w latach 1919–1929 prowadził fabrykę wyrobów metalowych dla kolei dalekowschodnich. Problemy i doświadczenia zdobyte w związku z produkcją wyrobów z niskojakościowych stali węglowych, podatnych na korozję w panującym tam morskim klimacie, zainspirowały Sędzimira do szukania innowacyjnych rozwiązań w zakresie ochrony antykorozyjnej.

Przemyśliwał zwłaszcza nad ulepszeniem procesu cynkowania. Postanowił wyizolować go od kontaktu z powietrzem atmosfery, by zapobiec utlenianiu we wczesnej jego fazie powłoki cynkowej, co skutkowało jej kruchością we wszystkich stosowanych podówczas metodach. Praktykowane powszechnie wytrawianie blach w kwasie siarkowym zamierzał zastąpić cieplno-chemiczną metodą galwaniczną, przebiegającą w atmosferze wodorowej. Wymyślona przez niego metoda była szybsza, tańsza i bezpieczniejsza, wymagała wszakże podawania blachy w taśmach, a nie w postaci arkuszy, jak to dotychczas czyniono. W tym celu zaprojektował nowego typu walcarkę do wytwarzania taśm blachy dowolnej długości.

Prof. Stefan Bryła

Realizacja tych pomysłów wymagała wsparcia finansowego i odpowiednich możliwości technologicznych. Sędzimir postanowił szukać ich w Stanach Zjednoczonych, dokąd udał się w 1929 r. Był to jednak początek światowego kryzysu, więc nie dało się znaleźć przedsiębiorców skorych do zainwestowania w innowacje, które wydawały się większości fachowców mało realistyczne. Wrócił zatem w 1930 r. do Polski, po drodze próbując zainteresować swymi pomysłami przemysł niemiecki, m.in. zakłady metalowe Kruppa. Bez powodzenia.

Nieoczekiwanie dla siebie znacznie przychylniejszy klimat napotkał w ojczyźnie. Nie tylko dlatego, że w II Rzeczypospolitej nie bano się innowacji. Także wskutek pomyślnego zbiegu okoliczności. Należąca do śląskich przemysłowców Inwaldów firma Śląski Przemysł Cynkowy SA w Kostuchnie pod Katowicami zerwała właśnie trwającą od paru pokoleń współpracę z innym klanem miejscowych przedsiębiorców, walcujących dla niej blachy. Inwaldowie skorzystali więc z oferty Sędzimira. W utworzonym tam Zakładzie Cynkownia Sędzimir uruchomiono więc w 1933 r. pierwszą w dziejach przemysłową linię ciągłego wyżarzania i cynkowania blach. A pierwszą walcarkę do ciągłego walcowania stali na zimno w klatkach wielowalcowych, wynalezioną przez Sędzimira, zainstalowano w tymże roku w Hucie „Pokój" w Chorzowie. Przedsięwzięcie okazało się sukcesem. Uzyskiwana ocynkowana blacha była znakomitej jakości – posłużyła m.in. do pokrycia dachu krakowskich Sukiennic (1934). Niebawem nowatorskimi technologiami zainteresowały się wysoko uprzemysłowione kraje zachodnie, zakupiły je i zaczęły stosować renomowane firmy francuskie, brytyjskie i belgijskie. Sędzimir otworzył swe przedstawicielstwo w Paryżu (1935), a następnie w Stanach Zjednoczonych (1939), gdzie uruchomiono linię cynkowania galwanizacyjnego w zakładach Armco w Pensylwanii i linię walcowania na zimno w stalowni Signode w Chicago.

Zainicjowane w II RP realizacje pomysłów Sędzimira w następnych dziesięcioleciach zrewolucjonizowały stalownictwo światowe. On sam osiadł na stałe w USA, jako Tad Sendzimir, dalej udoskonalając swe technologie, zwłaszcza metody walcowania (w końcu XX w. 400 różnych typów jego walcarek pracowało w 35 krajach). Był wynalazcą wszechstronnym, uzyskując w kilkunastu krajach ok. 120 patentów (m.in. na osłony termiczne pojazdów kosmicznych). »

FOT. NAC x2

eprasa.pl 1a0018e33b

Janusz Groszkowski (1898–1984)

Wywiad wojskowy II RP, czyli II Oddział Sztabu Głównego Wojska Polskiego, wspierał badania uczonych, których wiedza i pomysłowość mogłyby okazać się przydatne militarnie. Postacią pierwszoplanową wśród nich był Janusz Groszkowski, radioelektryk, który oddelegowany w 1919 r. do oficerskiej szkoły łączności we Francji, zapoznał się tam z najnowszymi zdobyczami w dziedzinie radiotechniki, radiofonii i elektroniki. W 1925 r. opublikował monografię „Lampy katodowe i ich zastosowanie w radiotechnice", jedno z pierwszych tego rodzaju opracowań na świecie (w 1927 r. ukazał się przekład francuski). Od 1929 r. był profesorem Politechniki Warszawskiej, a w latach 30. kierował Instytutem Telekomunikacji, do którego powstania przyczynił się w 1928 r.

Na początku lat 30. Groszkowski zaczął wnosić istotny wkład do elektroniki światowej w zakresie nieliniowej generacji i stabilizacji drgań. Stworzył metodę drgań harmonicznych Groszkowskiego, której założenia i wypływające z nich wnioski opublikował po angielsku w „Proceedings of the Institute of Radio Engineers" (1933). W 1936 r. jako pierwszy zwrócił uwagę na zmiany w indukcyjności cewek zachodzące nie tylko pod wpływem zmian temperatury, lecz znacznie bardziej wskutek zmiany gęstości rozpływu prądu elektrycznego w przekroju cewki spowodowanego zjawiskiem naskórkowości. Wraz ze swym współpracownikiem Stanisławem Ryżką (1910–1974) jako pierwszy zastosował w magnetronie katodę tlenkową (1937), a następnie zbudował pierwszy magnetron całkowicie metalowy, z wewnętrznym obwodem rezonansowym, katodą tlenkową i korpusem chłodzonym olejem (1939). Te prekursorskie osiągnięcia miały wpływ na rozwój kształtującej się wówczas światowej techniki radarowej, która odegrała ważną rolę podczas II wojny światowej. W 1938 r. Groszkowski opublikował monografię „Podstawy elektrycznej stabilizacji częstotliwości".

Groszkowski był uczonym formatu światowego, cieszył się powszechnym uznaniem i doznał w nadchodzących latach jego licznych przejawów (był m.in. prezesem Polskiej Akademii Nauk), także międzynarodowych. Ale z dzisiejszej perspektywy jawi się nam nie tylko jako pionier poszerzający horyzonty wiedzy naukowej, ale najdobitniej jako wielki nauczyciel, spod którego ręki wyszło mnóstwo nietuzinkowych uczonych i wynalazców w rozlicznych specjalnościach telekomunikacji i elektroniki. Był w dziedzinach, którym się poświęcił, postacią w skali krajowej wiodącą. Nie tylko w okresie dwudziestolecia II RP.

Prof. Janusz Groszkowski

Centralny Okręg Przemysłowy

Pierwszą Rzeczpospolitą, której brakowało siły moralnej, miała uratować Konstytucja 3 maja. Drugiej nie męstwa brakło, ale – po rozbiorowych zapóźnieniach – potencjału gospodarczego, co w nowoczesnym świecie osłabiało możliwości obronne. Receptą na to miał być Centralny Okręg Przemysłowy (COP), wzmacniający w zamyśle państwo w wielu płaszczyznach – nie tylko militarnie, czego pilnie wymagały wzrastające zagrożenia ze strony potężniejszych nieprzyjaznych sąsiadów, ale i długofalowo w wymiarze gospodarczym i społecznym. Poświadczał ambicje modernizacyjne ówczesnej Polski, stawiającej sobie za cel dorównanie z czasem Czechosłowacji. Oznaczało to konieczność uprzemysłowienia kraju i złagodzenia nierównomierności rozwojowych, występujących wyraźnie na obszarze państwa. Był też COP wymierzony przeciw bezrobociu, które w następstwie kryzysu gospodarczego początku lat 30. wzrosło do kilkuset tysięcy osób, głównie na wsi i na prowincji. Planowa industrializacja miała te niekorzystne zjawiska kontrolować i ograniczać.

Mając to wszystko na uwadze i uwzględniając geografię potrzeb, potencjalnych zasobów (surowcowych, energetycznych i siły roboczej) oraz uwarunkowań militarnych, zdecydowano się zaktywizować na początek obszar obejmujący 15 proc. powierzchni kraju i zamieszkany przez 18 proc. jego ludności. Zlokalizowano go wokół tzw. trójkąta bezpieczeństwa w widłach Wisły, Sanu i Dunajca, dość oddalonego od niebezpiecznych granic, żeby mógł stanowić zaplecze dostawcze armii podczas wojny.

Dawał on dobre perspektywy miejscowego zatrudnienia, znajdował się stosunkowo blisko krajowych zasobów surowców i źródeł energii, rokował też właściwe zaopatrzenie aprowizacyjne. Obszar ten podzielono koncepcyjnie na trzy regiony: surowcowy kielecko-radomski (kamień budowlany, gliny, rudy żelaza, fosforyty), aprowizacyjny lubelski (żywność, drewno, skóry) i przemysłowo-przetwórczy sandomiersko-rzeszowski (ropa naftowa, gaz ziemny, energia wodna, rudy metali). Ten ostatni był kluczowy.

Twórcą COP był Eugeniusz Kwiatkowski. Jego idea narodziła się w 1928 r. Została włączona do pierwszego ogólnopaństwowego czteroletniego planu inwestycyjnego, realizowanego od 1936 r. W lutym 1937 r. zatwierdził ją parlament, a w marcu przystąpiono do robót – włączono do COP też niektóre inwestycje realizowane wcześniej, np. elektrownię wodną w Rożnowie na Dunajcu, której budowę rozpoczęto w 1935 r. Podobnie było z powstałymi wcześniej fabrykami uzbrojenia w Radomiu i Starachowicach.

Podstawową sprawą było zapewnienie przedsięwzięciu odpowiedniej infrastruktury. Planowano rozbudowę połączeń kolejowych i drogowych tego obszaru z Gdynią, Łodzią, Śląskiem i Lwowem. Miano też zorganizować transport wodny węgla ze Śląska do Sandomierza, co wymagało znacznych robót hydrotechnicznych. W Sandomierzu miał powstać port towarowy, a w niedalekiej przyszłości także lotnisko – przewidywano, że ludność mia-

FOT. NAC

eprasa.pl 1a0018e33b

ZAINICJOWANE W II RZECZYPOSPOLITEJ REALIZACJE POMYSŁÓW TADEUSZA SĘDZIMIRA W NASTĘPNYCH DEKADACH ZREWOLUCJONIZOWAŁY STALOWNICTWO NA CAŁYM ŚWIECIE

sta wzrośnie z czasem z 10 do 120 tys. Od 1937 r. budowano gazociągi, w 1938 doprowadzono gaz z okolic Jasła, przez Tarnobrzeg, do Starachowic; łącznie do wybuchu wojny powstało ich 314 km. Celowo dążono do oparcia przemysłu COP na paliwie gazowym, gdyż w razie wojny z Niemcami groziła utrata śląskich kopalni węgla.

Prace prowadzono w zawrotnym tempie, wówczas określanym jako „amerykańskie". Najlepiej to widać na przykładzie Stalowej Woli. W marcu 1937 r. rozpoczęto tam budowę Zakładów Południowych – kombinatu złożonego ze stalowni, walcowni, kuźnicy, prasowni oraz warsztatów mechanicznych wytwarzających m.in. sprzęt artyleryjski – a już w grudniu tego roku wyprodukowano w nich pierwszą obrabiarkę i pierwsze działko dla wojska. Były to zakłady ultranowoczesne, reprezentujące najwyższe standardy światowe, po raz pierwszy w Europie użyto w nich gazu ziemnego jako paliwa w piecach martenowskich i grzewczych.

Całkowicie zakończono ich budowę wiosną 1939 r. Od 1938 r. wytwarzano w nich także stal szlachetną (miały jej produkować 80 tys. ton rocznie), a sposobiły się do wytwarzania turbin, młotów parowych i pneumatycznych oraz ciężkich obrabiarek hutniczych. A jednocześnie powstawało duże pracownicze miasto (przedtem była tam wieś Pławo o tradycjach flisackich).

Do momentu wybuchu wojny zbudowano i uruchomiono w COP ponad 100 nowoczesnych wytwórni. Najważniejsze z nich powstały w Dębicy (opony i polski sztuczny kauczuk KER), Mielcu (samoloty), Rzeszowie (silniki lotnicze), Sanoku (karabiny maszynowe), Niedomicach k. Tarnowa (celuloza), Lublinie (montownia samochodów ciężarowych), Poniatowie (sprzęt łączności), Tarnowie (rafineria miedzi). W budowie była też elektrownia wodna w Myczkowcach na Sanie oraz rurociąg naftowy z Zagłębia Borysławsko-Drohobyckiego. W przygotowaniu było 300 dalszych zakładów, których nie zdążono zrealizować. To głównie dzięki tym inwestycjom polski przemysł międzywojenny zasłużenie cieszył się znakomitą renomą. Ilościowo był skromny, ale jakościowo rywalizował z najlepszymi.

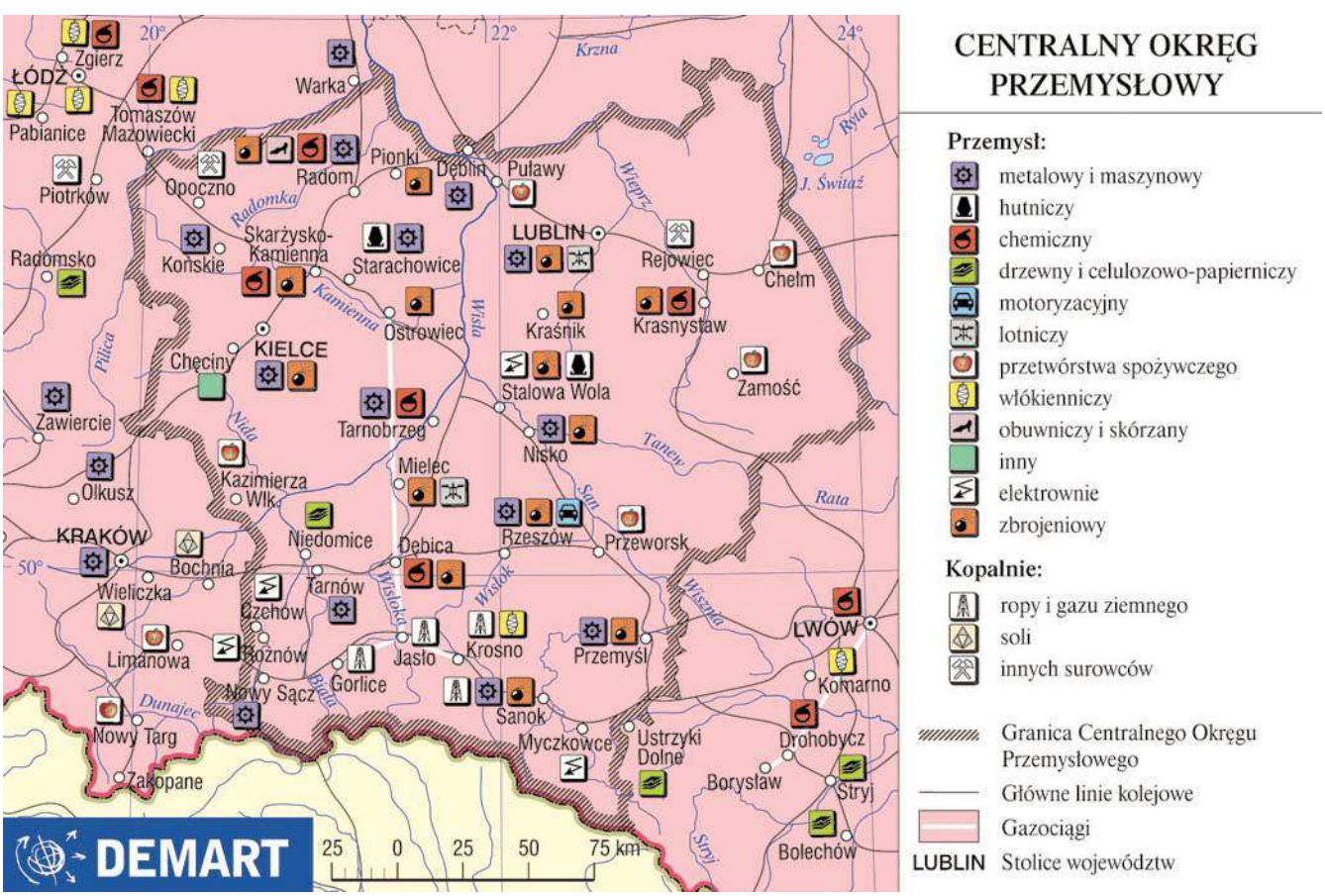

eprasa.pl 1a0018e33b

ZAPOZNANY SZLACHECKI LIDER EPOKI UNII LUBELSKIEJ

RYC. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 1a0018e33b

PARLAMENTARZYŚCI, TACY JAK DOBROGOST POTWOROWSKI, ODEGRALI W PROCESIE TWORZENIA NOWEGO BYTU PAŃSTWOWEGO NIEZWYKLE WAŻNĄ ROLĘ

HENRYK LITWIN

W czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, w toku obrad sejmu elekcyjnego w maju 1573 r. rozgorzała dyskusja o kandydaturze na tron „Piasta", czyli obywatela Rzeczypospolitej. Zwolennicy wyboru Ernesta Habsburga i stronnicy Henryka Walezego, chcąc skompromitować pomysł obrania przez szlachtę rodaka na króla, doprowadzili do sporządzenia spisu „Piastów". W przygotowanym przez Wielkopolan wykazie znaleźli się liczni polscy magnaci, ale także książę Ansbach i Bayreuth Jerzy Fryderyk Hohenzollern, po kądzieli prawnuk Kazimierza Jagiellończyka, Litwini Mikołaj Radziwiłł i Jan Chodkiewicz, a nawet Czech Wilhelm z Rożemberku. Wśród ponad 20 „Piastów" wymieniony został także wielkopolski polityk sejmikowy, wielokrotny poseł na sejmy i sędzia ziemski kaliski Dobrogost Potworowski. Choć mnogość kandydatów na liście miała raczej skompromitować, niż wypromować pomysł króla rodaka, to jednak propozycje postaci uwzględnionych w wykazie bez wątpienia dotyczyły osób cieszących się popularnością i znacznym autorytetem. Jak zatem trafił do tego spisu skromny sędzia ziemski kaliski?

Od sędziego grodzkiego do sędziego ziemskiego

Potworowski wywodził się ze średnioszlacheckiej rodziny posiadającej dobra ziemskie w ziemi kaliskiej. Późniejszy sejmowy orator zyskujący rozgłos w epoce mówców będących absolwentami najznakomitszych europejskich uczelni musiał mieć dobre przygotowanie szkolne i uniwersyteckie, ale o jego wykształceniu nie wiemy nic szczegółowego. Karierę rozpoczął jako, mianowany w 1551 r. przez starostę generalnego Wielkopolski Janusza Kościeleckiego, podstarości i sędzia grodzki kaliski. Ta droga służby publicznej była dość typowa dla średniej szlachty. Wiązała się z wejściem w stosunki klientystyczne z magnatem-starostą, ale nie oznaczała całkowitego uzależnienia. Przeciwnie, sprawowanie funkcji w sądzie grodzkim otwierało możliwości szerokich kontaktów ze szlachtą i zdobycia sobie popularności oraz autorytetu w lokalnym środowisku. Mogło też stanowić trampolinę do awansu na bardziej eksponowane urzędy. Tak właśnie stało się z Potworowskim. W 1556 r., jeszcze jako sędzia grodzki został on po raz pierwszy wybrany na posła na sejm z województwa kaliskiego. W roku następnym stał się podsędkiem ziemskim kaliskim, ku czemu prowadziły najpierw wybór przez szlachtę na jednego z czterech kandydatów na urząd, a następnie królewska nominacja. Potworowski wszedł już wówczas do kręgu szlacheckiej elity województwa i stał się jednym z jej liderów, w 1569 r. zaś „postąpił" na sędziego. Z urzędem podsędka pojawiał się w składzie posłów wielkopolskich na niezwykle ważnych sejmach „egzekucyjnych" – parczewskim 1564 r., piotrkowskim 1565 r., lubelskim 1566 r. i kolejnym piotrkowskim 1567 r. Potworowski nie należał jednak do aktywistów egzekucyjnego programu. Reprezentował raczej umiarkowaną większość, która śledziła realizację ambitnych planów egzekucjonistów i popierała ich w wybranych kwestiach. Podsędek kaliski nie angażował się w sprawę rewizji nadań dóbr królewskich, popierał natomiast zdecydowanie postulat realnej unii z Litwą.

Poseł na sejm lubelski

Dobrogost Potworowski już jako sędzia ziemski kaliski (od 1569) był posłem także na wspólny z Litwinami sejm 1569 r. i okazał się w jego trakcie niezwykle aktywnym parlamentarzystą. W pierwszym okresie sejmu, kiedy w styczniu i lutym toczyły się wspólne, a przynajmniej jednoczesne obrady Polaków i Litwinów, sędzia kaliski wyróżniał się swoją postawą na tle koronnej izby poselskiej. Podczas gdy zdecydowana jej większość opowiadała się za unią „według starych spisów", czyli połączeniem obu państw na zasadzie likwidacji odrębnej państwowości litewskiej, Potworowski był skłonny do kompromisu i stworzenia nowego projektu, który uwzględniałby przynajmniej częściowo dążenia Litwy do utrzymania równorzędnego z Koroną statusu.

Jak wiadomo, rozmowy te nie doprowadziły początkowo do porozumienia i delegacja litewska wyjechała niespodziewanie z Lublina, stosując specyficzną obstrukcję absencyjną. Król i sejm koronny poczuli się tym wyjazdem urażeni na honorze i z inicjatywy izby poselskiej przy pełnej akceptacji monarchy doszło do wydania decyzji o inkorporacji Wołynia i Podlasia do Polski. Dwie prowincje należące dotąd do Wielkiego Księstwa miały się stać częścią Korony. Sprawa wywołała długie dyskusje, a jej realizacja ciągnęła się do czerwca i dopiero przy współudziale szlachty zainteresowanych ziem została sfinalizowana, a inkorporację rozszerzono dodatkowo o Kijowszczyznę. Województwa wołyńskie, kijowskie i bracławskie uzyskały przy tym zakres odrębności, który dzisiaj moglibyśmy nazwać autonomią. Inkorporacja będąca wyrazem determinacji Zygmunta Augusta, by doprowadzić do trwałego związku ziem Polski i Litwy, skłoniła przedstawicieli Wielkiego Księstwa do powrotu za negocjacyjny stół. Doszło do kompromisu i zawarcia unii na zasadach utworzenia federacyjnego związku państw.

W stronę kompromisu

W tych wydarzeniach Potworowski odegrał niemałą rolę. Silnie poparł koncepcję inkorporacji Wołynia i Podlasia i domagał się jej pilnej realizacji oraz jednoznacznej deklaracji lojalności od szlachty inkorporowanych ziem. Kiedy 4 kwietnia 1569 r. czytano listy „panów wołyńskich" usprawiedliwiające ich nieobecność na sejmie chorobami i niedyspozycjami, sędzia kaliski wystąpił wobec króla jako reprezentant izby poselskiej i zażądał ukarania nieposłusznych. Szczególnie ostro »

eprasa.pl 1a0018e33b

ocenił biskupa łuckiego Wiktoryna Wierzbickiego, który według niego „nie chciał przyjechać ani miał wolą przyjechać" i zażądał konfiskaty majątków hierarchy. Król był zwolennikiem łagodniejszych metod i wystąpienie Potworowskiego pozostało bez echa, a i on sam skorygował potem swoje stanowisko względem Wołynian. Kiedy reprezentanci tego województwa przybyli w końcu do Lublina złożyć przysięgę na wierność Koronie, zażądali jednocześnie wystawienia przywileju z gwarancją ich odrębności. Sędzia kaliski wszedł do składu deputacji izby poselskiej, która miała „skorygować" akt przygotowany przez samych Wołynian, i firmował swoim autorytetem przyjęcie projektu w takiej właśnie wersji. Potworowski był też członkiem komisji przygotowującej ostateczny tekst aktu unii polsko-litewskiej, zgodny z federacyjnymi planami króla.

Możliwe, że na kompromisowe stanowisko Potworowskiego w kwestii unii wpłynęły jego bliżej niezbadane kontakty z Radziwiłłami. Domyślamy się ich istnienia na podstawie wiedzy o wstawiennictwie Mikołaja Czarnego Radziwiłła na rzecz Potworowskiego w sprawie czasowego zwolnienia tego ostatniego z opodatkowania. Nie wiemy jednak, czy te stosunki trwały jeszcze w czasie sejmu unijnego i jak były zażyłe. Wspieranie przez sędziego kaliskiego inkorporacji Wołynia i Podlasia musiało nadwyrężyć te koneksje, jeśli jeszcze istniały, Radziwiłłowie byli bowiem nieprzejednanymi krytykami tego aktu.

Katolik, zwolennik tolerancji, właściciel

W czasie sejmu lubelskiego 1569 r. Potworowski był już zapewne ponownie katolikiem, ale wcześniej przeżył okres fascynacji religijnymi „nowinkami". Jak wielu wielkopolskich aktywistów sejmikowych tych czasów w latach 50. XVI w. zbliżył się do braci czeskich. Po powrocie do katolicyzmu pozostał zwolennikiem tolerancji religijnej. W czasie pierwszego interregnum opowiedział się za jej specyficzną formułą. Jak zapisał kronikarz pierwszych bezkrólewi Światosław Orzelski, „sędzia kaliski [chciał] aby wyznania augsburskie i rzymskie wolne były każdemu, inne zaś dozwolone tylko szlachcie i to pod ostrą dla osób innych stanów karą". Była to koncepcja mająca zapewne skłonić do poparcia formalnej tolerancji kler katolicki, okazała się jednak zbyt skomplikowana i nie została wykorzystana. Formuła polskiej tolerancji została zawarta w akcie konfederacji warszawskiej i pozostała otwarta na wszystkie wyznania chrześcijańskie.

Wystąpienie Potworowskiego, skrzętnie odnotowane przez Orzelskiego, świadczy jednak, że pozycja sędziego kaliskiego jako jednego ze średnioszlacheckich liderów była już ugruntowana. Sprzyjał temu zapewne także jego status majątkowy, przekraczający rozmiary typowe dla średniej szlachty. Potworowski posiadał miasto Iwanowice i kilkanaście wsi, a także rezydencję miejską w Kaliszu w postaci kamienicy przy rynku. Dzierżawił przy tym dwie niewielkie królewszczyzny w województwie sieradzkim i starostwo bolesławskie w ziemi wieluńskiej, które otrzymał w sierpniu 1569 r. niewątpliwie jako nagrodę za zasługi na sejmie unijnym.

Stronnik Walezjusza

W czasie pierwszego bezkrólewia był zatem liczącym się uczestnikiem politycznej gry. Szybko stał się wówczas zwolennikiem Henryka d'Anjou, ale pozostawał poza szeregami stronnictw kierowanych przez kluczowych możnowładców. Poparł francuskiego księcia w czasie sejmu elekcyjnego. Usatysfakcjonowany jego wyborem witał Henryka na granicy wraz z licznymi reprezentantami wielkopolskiej szlachty. Po ucieczce Walezjusza obstawał przy nieogłaszaniu bezkrólewia, a następnie przy konieczności przeprowadzenia formalnej detronizacji, co było taktyką zwolenników Walezego, „zarabiających" czas na podjęcie przez niego zabiegów o zachowanie polskiego tronu. Zajął więc inne stanowisko niż średnioszlacheckie, „postegzekucyjne" stronnictwo, które przekształciło się w trakcie bezkrólewia w obóz „batorian". Potworowski nie podzielał ich entuzjazmu wobec kandydatury siedmiogrodzkiego księcia. Był raczej zaliczany do zwolenników Habsburgów. Ostatecznie nie przybył na elekcję, a po jej rozdwojeniu nieskutecznie starał się doprowadzić do pojednania skłóconych stron. Jak wiadomo, doszły one do porozumienia po śmierci cesarza Maksymiliana II, co otworzyło drogę do pacyfikacji nastrojów i umocnienia się na tronie Stefana Batorego. Potworowski uczestniczył w procesie uspokojenia politycznych emocji w Wielkopolsce, na zjeździe kolskim w 1577 r. Był to już kres jego działalności publicznej. Zmarł w 1579 r.

RYC. BIBLIOTEKA NARODOWA

* * *

Dobrogost Potworowski był reprezentantem tego pokolenia staropolskich szlacheckich polityków, którego dziełem była Rzeczpospolita Obojga Narodów. Był ważnym uczestnikiem sejmu unijnego 1569 r. i pierwszego bezkrólewia lat 1572 1574, a to te dwa wydarzenia ukształtowały państwo polsko-litewskie, a zarazem oblicze polityczne Europy Środkowo-Wschodniej na ponad dwa stulecia. Był to efekt myśli i pracy całej rzeszy polityków na czele z królem Zygmuntem Augustem. Szlacheccy parlamentarzyści, reprezentując idee obywatelskiej wolności, dopilnowali, by stała się ona fundamentem ustroju państwa wielu narodów i wyznań, jakim była I Rzeczpospolita, przy wszystkich jej niedoskonałościach.

eprasa.pl 1a0018e33b

DUCH I POLITYKA

GRZEGORZ GÓRNY

Rzeczpospolita familijna

W 1992 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii otrzymał Gary Becker, jeden z czołowych przedstawicieli tzw. szkoły chicagowskiej, kojarzonej z liberalnym nurtem w gospodarce. Amerykański naukowiec zasłynął jako twórca teorii kapitału społecznego. W swych pracach dowodził, że podstawę bogactwa narodów stanowi nie tyle baza materialna, ile człowiek, a rozwój ekonomiczny i postęp cywilizacyjny zależą w głównej mierze od mocnej pozycji rodziny. Ta ostatnia jest bowiem najcenniejszym kapitałem społecznym państwa. Chicagowski profesor obliczył, że rodzina i praca w niej wykonywana przynoszą aż 30 proc. dochodu narodowego. Jest ona też środowiskiem, w którym kształtują się tak pożądane cechy jak rzetelność, uczciwość, solidarność, zdolność do współpracy i poświęceń, pracowitość czy zamiłowanie do porządku.

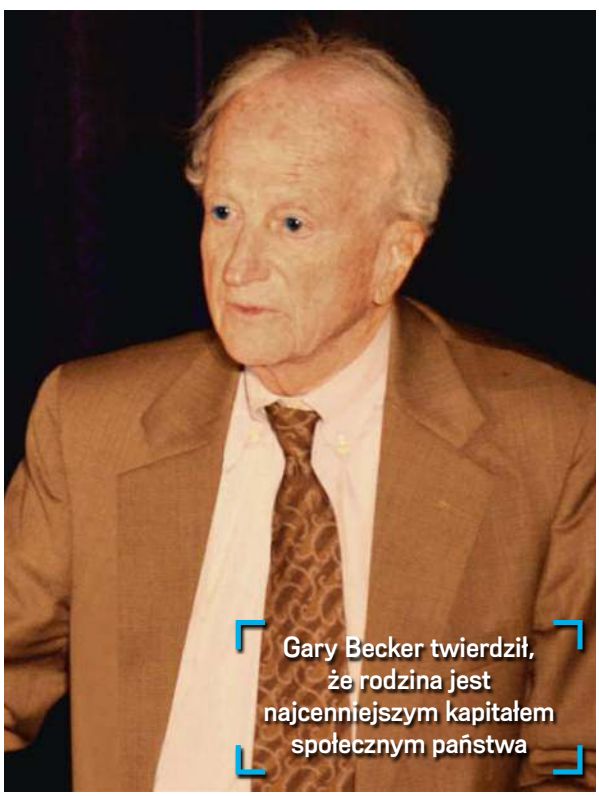

Gary Becker twierdził, że rodzina jest najcenniejszym kapitałem społecznym państwa

Do podobnych wniosków doszedł w swej książce pt. „Zaufanie. Kapitał społeczny a droga do dobrobytu” znany myśliciel amerykański Francis Fukuyama. Według niego niezbędnym warunkiem tworzenia ekonomicznej pomyślności jest obopólne zaufanie między partnerami gospodarczymi. Tam, gdzie panuje klimat wzajemnej podejrzliwości, nie można na dłuższą metę robić interesów. Okazuje się natomiast, że instytucjami najbardziej sprzyjającymi budowie zaufania są religia i rodzina. To właśnie one stanowią główne źródło kapitału społecznego.

Spostrzeżenia Beckera i Fukuyamy, znajdujące potwierdzenie u wielu innych autorów, dotyczą nie tylko ekonomii, lecz również całokształtu życia zbiorowego. Zwłaszcza historia Polski dostarcza wielu przykładów na potwierdzenie ich tezy. O ile znaczenie Kościoła zostało dostrzeżone i docenione przez licznych kronikarzy oraz dziejopisów, o tyle rola rodziny jako jedynej w swoim rodzaju formacji kulturowej w dziejach narodu wciąż czeka na badaczy.

Wiadomo, że bez rodzin nie byłoby możliwe przetrwanie chrześcijaństwa. W pierwszych trzech wiekach, gdy wyznawcy Chrystusa podlegali krwawym represjom i nie mogli sprawować swego kultu publicznie, ich sekretnymi świątyniami stawały się domy. W realiach konspiracyjnych to właśnie rodziny były środowiskami, w których mogła przetrwać i rozwijać się wiara. One tworzyły też najlepsze ramy dla międzypokoleniowego przekazu religijnego także w późniejszych stuleciach, gdy prześladowania ustały. Nic więc dziwnego, że do terminologii chrześcijańskiej weszło określenie rodziny jako „Kościoła domowego”. Zostało ono wprowadzone do Katechizmu Kościoła Katolickiego w 1992 r. na wyraźne życzenie Jana Pawła II.

Karol Wojtyła doceniał znaczenie rodzin jako instytucji wspólnototwórczych zarówno w życiu religijnym, jak i narodowym. Jego świadomość wyrastała z doświadczenia osobistego i zbiorowego. Wiedział, że były w dziejach Polski takie okresy, gdy rodziny jawiły się jako jedyne instytucje, w których zachowała się ciągłość historyczna narodu. Nawet w czasach wolności na rozległych ziemiach Rzeczypospolitej to właśnie szlacheckie dworki i zaścianki, w których tętniło życie rodzinne, były promieniującymi wokół centrami polskości. Szczególną rolę odgrywały znaczące rody wielopokoleniowe (najczęściej szlacheckie lub mieszczańskie) będące nosicielami ideałów i wartości patriotycznych. Sagi Czartoryskich, Tarnowskich, Zamoyskich, Radziwiłłów, Leszczyńskich, Sapiehów czy Krasickich pełne są osób zasłużonych zarówno dla Polski, jak i dla Kościoła. Nierzadko były one fundatorami świątyń, dobrodziejami klasztorów czy mecenasami sztuki sakralnej.

Wielkimi niedocenionymi polskiej historii pozostają też matki. Rodziny nie byłyby w stanie odgrywać tak dużej roli wspólnototwórczej, gdyby nie panie domu. To właśnie od nich w olbrzymim stopniu zależało wychowanie przyszłych pokoleń w wierności Bogu i ojczyźnie. Nikt nie sporządził ich portretu zbiorowego na przestrzeni wieków. Na szczęście pozostały po nich oddające im sprawiedliwość opisy i wspomnienia w pismach pozostawionych przez ich dzieci. Na przykład w liście Juliusza Słowackiego piszącego do swej matki Salomei: „Wszystko dobre mam od ciebie – wszystkiemu złemu sam jestem winien”.

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 1a0018e33b

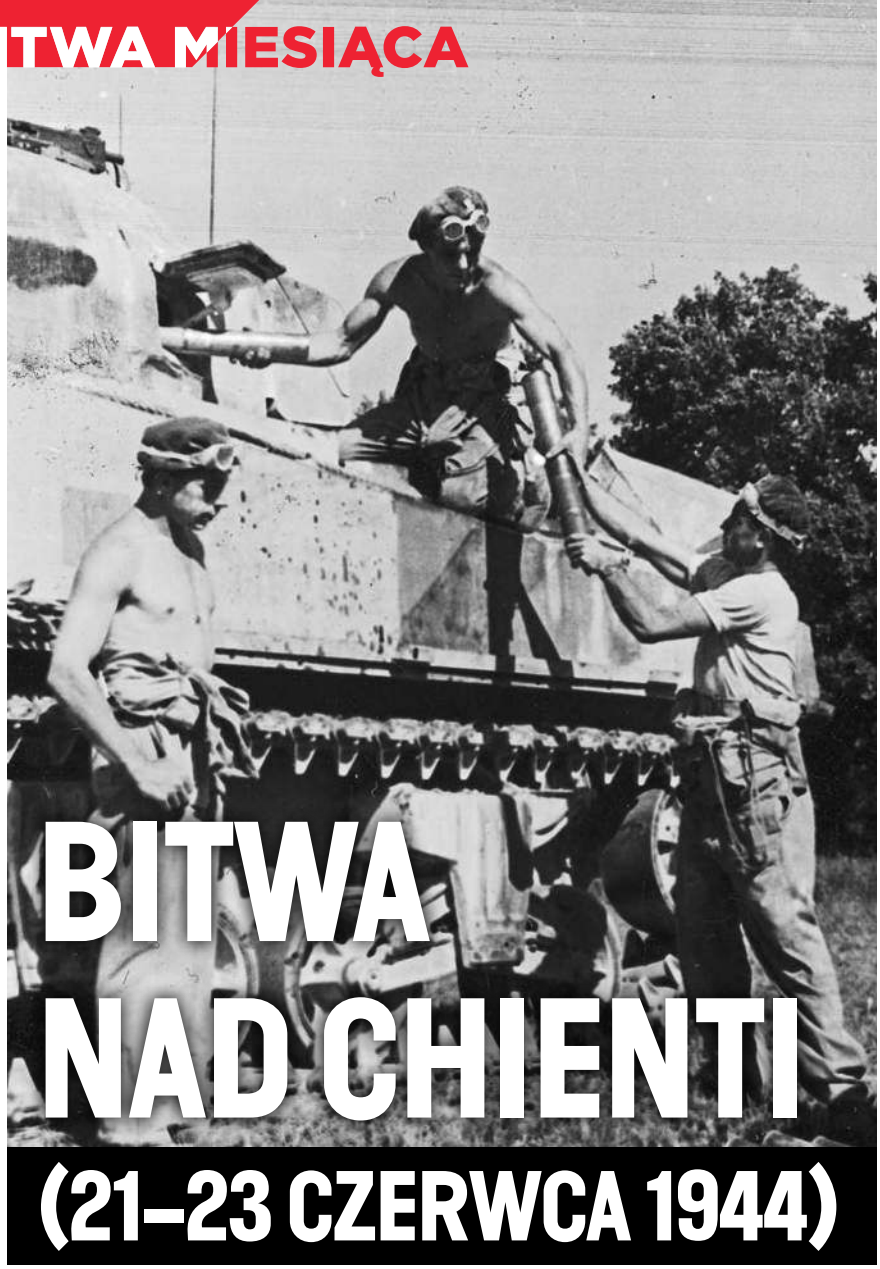

FOT. NAC

BITWA NAD CHIENTI (21–23 CZERWCA 1944)

BÓJ NAD CHIENTI STANOWIŁ PIERWSZE POWAŻNIEJSZE STARCIE 2. KORPUSU Z NIEMCAMI W KAMPANII ADRIATYCKIEJ 1944 r., A ZARAZEM JEDYNĄ PORAŻKĘ W DZIEJACH 3. BATALIONU STRZELCÓW KARPACKICH, KTÓRY WSŁAWIŁ SIĘ W OBRONIE TOBRUKU, W WALKACH POD GAZALĄ I POD MONTE CASSINO

MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

W drugiej połowie czerwca 1944 r. siły 2. Korpusu Polskiego podjęły działania z zadaniem pościgu za Niemcami i jak najszybszego zdobycia Ankony. Niemcy wycofywali się pośpiesznie na północ, unikając starć, a zostawiając za sobą zniszczone linie kolejowe i drogi, wysadzone mosty i zaminowane brody. Na czoło pościgu wysunęły się dwie brygady Dywizji „Karpackiej": 2. Brygada płk. Szymańskiego, która posuwała się wzdłuż wybrzeża, oraz 1. Brygada ppłk. Mateckiego, idąca równolegle, na zachód od poprzedniej. Miały one zostać wsparte szwadronem czołgów Pułku Ułanów Krechowieckich, lecz mógł on dołączyć do czołowej kolumny pościgowej nie wcześniej niż 24 czerwca, gdyż zniszczenia dróg i mostów opóźniały marsz.

Idący na czele w pościgu za Niemcami 3. Batalion 1. Brygady SK, ze szpicą w postaci 4. Kompanii dowodzonej przez weterana walk libijskich kpt. Tadeusza Radwańskiego, znalazł się w ten sposób znacznie wysunięty do przodu, w luźnej łączności z resztą Brygady w tyle, pozbawiony pomocy czołgów, z niewielkim zapasem amunicji i nieznacznym tylko wsparciem jednego dywizjonu artylerii, plutonu ckm i moździerzy.

20 czerwca 4. Kompania wraz z plutonem rozpoznawczym, dowodzonym przez innego słynnego „tobrukczyka", ppor. Zdzisława („Dzidzia") Mrugalskiego, osiągnęły południowy brzeg rzeki Chienti, ok. 50 km na południe od Ankony. Dowódca 1. Brygady ppłk Matecki wydał obu czołowym batalionom 1. i 3. rozkaz szybkiego sforsowania rzeki i dalszego pościgu. W realizacji tego zadania 3. Batalion miał niemal z marszu przekroczyć rzekę Chienti i zająć położone na jej północnym brzegu stację kolejową i miasteczko Morrovalle. Pod naciskiem dowódcy Brygady, mimo zastrzeżeń części oficerów, dowódca 3. Batalionu, mjr Czekałowski, wydał zatem rozkaz, by 3. i 4. Kompania przystąpiły niezwłocznie do wykonania zadania.

Pierwsze przyczółki

Ppłk Matecki spodziewał się łatwego sforsowania rzeki i zdobycia przyczółków na jej północnym brzegu. Sądził, że znajdujące się tam oddziały niemieckie były tylko luźnymi oddziałami osłaniają-

eprasa.pl 1a0018e33b

cymi odwrót i że pościg za wrogiem dalej będzie się szybko posuwał. Tkwiąc w tym przekonaniu, zaniedbał sprawę dokładniejszego rozpoznania sił przeciwnika, zapewnienia piechocie wsparcia innych broni oraz zorganizowania stałej dostawy amunicji przez wezbraną rzekę. Radzono odłożyć to „improwizowane" natarcie o kilka dni, do nadejścia własnych czołgów i innych broni, jednakże dowódca nie dał posłuchu doradcom.

Ani ppłk Matecki, który objął dowództwo Brygady w miejsce rannego pod Monte Cassino płk. Peszka, miłowanego przez żołnierzy współtwórcy Brygady Karpackiej, ani mjr Czekałowski, który objął dowództwo 3. Batalionu dopiero w czerwcu 1944 r., po innym rannym pod Monte Cassino karpackim weteranie płk. Sokole nie zdołali sobie jeszcze zaskarbić zaufania żołnierzy. Zwłaszcza Matecki – arogancki, głuchy na sugestie podkomendnych, a także zwracający się w nieparlamentarnym języku do żołnierzy, przywykłych do wielkiego szacunku okazywanego im przez dowódców.

Warunki terenowe nie sprzyjały przeprawie. W tym czasie, ze względu na silne opady w górach, nurty rzeki znacznie wezbrały. Zarośnięte brzegi utrudniały obserwację. Na północnym brzegu, za krzakami biegły droga i kanały, dalej pola kukurydzy i winnice oraz nieliczne zabudowania, nad którymi górowało Morrovalle. Tam właśnie, wśród zabudowań i krzaków, Niemcy z 278. Dywizji Piechoty rozmieścili swe stanowiska ogniowe i bunkry, decydując – wbrew dotychczasowej taktyce nad Adriatykiem – stawić tu Polakom silniejszy opór.

Mimo stwierdzenia niemieckich stanowisk na przeciwległym brzegu 4. Kompania otrzymała rozkaz sforsowania rzeki i podjęcia natarcia w kierunku Morrovalle. 21 czerwca żołnierze Radwańskiego i pluton rozpoznawczy Mrugalskiego przystąpili do wykonania rozkazu, o którym Radwański wspominał: „Zdawałem sobie sprawę, że pcha mnie wprost z marszu do akcji bojowej, »byle szybko, choćby źle«, nad rzekę, w dół, przy zupełnie odsłoniętych skrzydłach". Wieczorem jego 4. Kompania, naciskana nieustannie przez dowództwo, zdołała przeprawić się przez rzekę i utworzyć przyczółek na północnym, „nieprzyjacielskim" brzegu; wyposażony zaś w carriery (wozy opancerzone) pluton Mrugalskiego miał do niej dołączyć rankiem po przygotowaniu brodu.

Grób nad Chienti

Stacja Morrovalle, czerwiec 1944 r.

FOT. ZBIORY T. RADWAŃSKIEGO WG SAGA RODU SYBIRAKÓW (x3)

Zatrzymani pod ogniem

Dalsze postępy 4. Kompanii nie były jednak możliwe, gdyż znalazła się pod silnym ogniem broni maszynowej, moździerzy i artylerii. W tej sytuacji również 3. Kompania ppor. Sobolewskiego otrzymała rozkaz przeprawienia się przez rzekę. Późnym wieczorem 21 czerwca oddział pięciokrotnie bezskutecznie usiłował sforsować Chienti. Około północy zaprzestano tych wysiłków. Przez całą noc osamotniona 4. Kompania Radwańskiego trzymała przyczółek na północnym brzegu, odpierając kolejne ataki niemieckie. „Odczuwaliśmy liczebną i ogniową przewagę nieprzyjaciela. Byliśmy osamotnieni, a przede wszystkim coraz bardziej dawał się we znaki głód oraz brak amunicji i broni towarzyszącej" – opisywał Radwański.

Następnego dnia rano dowódca Brygady wydał 4. Kompanii rozkaz do ponownego natarcia, dodając informacje, jakoby inne bataliony Brygady opanowały już pozycje na północnym brzegu Chienti i tylko ta kompania „guzdrała się, pozostając w tyle za nimi". Informacje te były

FOT. Z ARCHIWUM KPT. TADEUSZA RADWAŃSKIEGO

Kpt. Tadeusz Radwański

niestety mylne. 1. Batalion, który na prawym skrzydle 3. podjął 21 czerwca próbę sforsowania rzeki i zdołał się wedrzeć na jej drugi brzeg, znalazł się pod tak silnym ogniem niemieckim, że już następnego dnia musiał się wycofać; 2. Batalion zaś pozostawał ok. 10 km w tyle, w drugim rzucie. Dowódca brygady, w której skład wchodziły te bataliony, musiał znać sytuację, a jednak uparcie pchał 3. Batalion do walki na przeciwległym brzegu. „W jakim celu podano nam, że [oba bataliony] przekroczyły rzekę i prą głęboko w głąb nieprzyjacielskiego terenu?" – zastanawia się w swym wojennym dzienniku uczestnik tych walk, Jan Szemraj. A wzburzenie Radwańskiego jest jeszcze silniejsze: „Według Mateckiego wszyscy poszli do przodu, a jedynie ja pozostałem w tyle. Jak się później okazało, wprowadzono mnie w błąd – jedynie po to, aby »dodać mi odwagi« dla uchwycenia stacji w Morrovalle". Czy rzeczywiście ten doświadczony, sprawdzony w boju żołnierz 3. Batalionu potrzebował tego rodzaju zachęty?

Coraz mniejsze szanse

Pod naciskiem dowództwa 22 czerwca kompanie podjęły kolejny wysiłek. Pluton carrierów Mrugalskiego przeprawił się przez Chienti i dołączył do 4. Kompanii. Zostawione na brzegu cztery wozy przewoziły pod ogniem amunicję w jedną stronę, a rannych – w drugą. Udało się im kilkakrotnie przebrnąć przez wzbierającą coraz bardziej rzekę, mimo natężenia »

eprasa.pl 1a0018e33b

ognia na bród. Zdołała się też przeprawić 3. Kompania i dołączyć do 4. na jej prawym skrzydle. Radwański objął dowództwo nad zgrupowaniem. Zgodnie z wydanymi rozkazami polskie oddziały podjęły natarcie na stację Morrovalle. Oddajmy raz jeszcze głos Radwańskiemu: „Ruszyliśmy. Zmordowani walką i podekscytowani dotychczasowymi przeżyciami szliśmy rozwinięci w tyralierę lub gęsiego – w zależności od konfiguracji terenu [...]. Dawało się jednak odczuć, że żołnierzy przygniata walka prowadzona w nieustannej obawie – w zadrzewionym terenie. Ruch do przodu zaczął powoli zamierać. Ludzie, zupełnie wyczerpani, padali na ziemię. Twarze ich były czarne od kurzu i prochu, umundurowanie mokre. Walczyli jednak pomimo wyczerpania i napiętych do ostatnich granic nerwów". W tej trudnej sytuacji na rozkaz dowódcy przeprawiła się przez rzekę również 2. Kompania batalionu, podczas gdy 1. dostarczała jej amunicję pod ostrzałem.

W międzyczasie Niemcy ściągnęli tu większe siły. Ustawili ogniową zaporę na rzece i jej brzegu. Na polu walki pojawiły się niemieckie opancerzone działa samobieżne, które zaczęły ostrzeliwać walczących Karpatczyków, wzmógł się ogień artylerii i moździerzy. Pluton carrierów, z niezrozumiałych powodów odłączony rozkazem od kompanii Radwańskiego i odesłany do tyłu, by nawiązać łączność z głównymi siłami batalionu, znalazł się pod ogniem dział przeciwpancernych i przy znacznych stratach wycofał się na południowy brzeg rzeki. Dowódca plutonu, ppor. Mrugalski, został ranny. „Już nie ma mojego oddziału rozpoznawczego" – opowiadał zrozpaczony lekarzowi batalionu, por. dr. A. Majewskiemu. „Gdy podchodziliśmy do rzeki, nie słyszałem już ani jednego silnika [na chodzie]".

Kontrnatarcie niemieckie

Natarcia niemieckie wychodziły z trzech stron, grożąc walczącym kompaniom okrążeniem. „Znaleźliśmy się w niezwykle ciężkiej sytuacji" – wspomina Radwański. Trwał morderczy bój. „Ilu jest zabitych i rannych? – zadawałem sobie pytanie. Artyleria i moździerze zasypywały nas pociskami. Polskie jednostki nie były w stanie dalej skutecznie stawiać czoła przeważającym liczebnie i ogniowo Niemcom, bez broni wsparcia, bez amunicji, gdyż jej dostawa przez zaryglowaną przez Niemców rzekę szwankowała. Jednakże dowódca Brygady „nie przyjmował do wiadomości żadnych informacji o tragicznej sytuacji naszej 4. kompanii za rzeką" – wspomina W. Żdanowicz, wówczas żołnierz łączności. Mimo groźby okrążenia i odcięcia walczących oddziałów obowiązywał kategoryczny zakaz odwrotu, wydany przez ppłk. Mateckiego. Dopiero w nocy 23 czerwca, gdy położenie odciętych oddziałów stało się krytyczne, wydano wszystkim trzem kompaniom rozkaz wycofania się na południowy brzeg rzeki. Było już jednak za późno. Zdołała się tam przedrzeć 2. Kompania. Również część 3. Kompanii, ponosząc znaczne straty, zdołała się przebić i wrócić na „polski" brzeg. Reszta dołączyła do walczącej już samotnie 4. Kompanii, której sytuacja była beznadziejna. Niemcy wyszli jej na tyły i odcięli od przepraw. Dywizjonowi artylerii i plutonowi ckm skończyła się amunicja. Kompania walczyła już teraz o przeżycie. Kpt. Radwański, kilkakrotnie ranny, do końca dowodził resztkami swej jednostki. „Człowiekowi pozostaje już tylko jedno – odwaga" – napisał po latach. Piechota niemiecka, wsparta bronią maszynową, moździerzami, artylerią, działami samobieżnymi i inną bronią pancerną nacierała ze wszystkich stron. Kpt. Radwański wydał ostatni rozkaz: „Kto chce, może się wycofać na własną rękę za rzekę. Kto chce, może pozostać ze mną". Część spróbowała się przebić grupkami – przedzierali się do swoich jeszcze przez kilka kolejnych nocy. Ranny Radwański wraz z 34 żołnierzami aż do 27 czerwca ukrywali się wśród łanów kukurydzy na północnym brzegu, oczekując nadejścia swoich. Wierzyli, że uda się im uniknąć niewoli. Ich obecność zauważył jednak pewien włoski chłop i ze strachu doniósł o tym Niemcom. Wszyscy dostali się do niewoli. Przez innego odważniejszego włoskiego wieśniaka zdołali jednak przekazać do batalionu wiadomość o tym, że przeżyli.

Przegrana

Kilka dni później, 27 czerwca, szwadrony 1. Pułku Ułanów Krechowieckich wsparły czołgami piechotę 3. DSK w rozpoznaniu brodów na Chienti w celu podjęcia ponownej próby pokonania przeszkody. Niemcy nadal tkwili silnie umocnieni na północnym brzegu, kontrolując przeprawy przez rzekę. Działania czołgów w tym spadzistym, zaminowanym terenie, w którym ruch wozów odbywać się mógł po jedynej wąskiej drodze, pod ostrzałem wroga, nie były łatwe. „Chrzest bojowy" Krechowiaków na ziemi włoskiej przy próbie forsowania tej „przeklętej rzeki" kosztować miał pułk pięciu zabitych i 12 rannych. Mimo tych ofiar nadal nie osiągnięto przyczółków na północnym brzegu...

FOT. NAC

Strzelcy Karpaccy 2. Korpusu Polskiego we Włoszech

W nocy z 29 na 30 czerwca Niemcy opuścili bez walki swe linie obronne nad Chienti, wycofując się na inne z góry ustalone pozycje. Ciężkie straty, poniesione w tym „nieprzemyślanym" natarciu z 21–23 czerwca: 26 poległych, 49 rannych, 54 zaginionych, nadludzki żołnierski wysiłek, okazały się bezcelowe. Ironia losu czy karygodna lekkomyślność dowództwa? Kpt. Radwański w obozach jenieckich wyleczył się z ran. Klęski Niemców doczekał w obozie w Szubinie k. Bydgoszczy, skąd zbiegł w czasie jego ewakuacji. Po wojnie zamieszkał w Warszawie. Przeciwko ppłk. Mateckiemu przeprowadzono śledztwo na szczeblu dowództwa Korpusu. Dowodził Brygadą do 14 sierpnia, po czym, obwiniony o „nadmierną brawurę", został odwołany do Londynu.

Wspomniany wyżej lekarz batalionu, dr Majewski, tymi słowy opisał tych wspaniałych żołnierzy: „Byłem z nimi siedem miesięcy. Zdawałoby się krótko, jednak przez ten okres przeżyłem tyle wrażeń, widziałem takie zrywy poświęcenia i bohaterstwa, że ich chyba nigdy nie zapomnę. [...] Moją służbę w 3. Batalionie Strzelców Karpackich uważam za jeden z najlepszych i najpiękniejszych okresów, jakie dane mi było przeżyć".

Autopromocja

eprasa.pl 1a0018e33b

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE

Najczęściej cytowane tygodniki i dwutygodniki

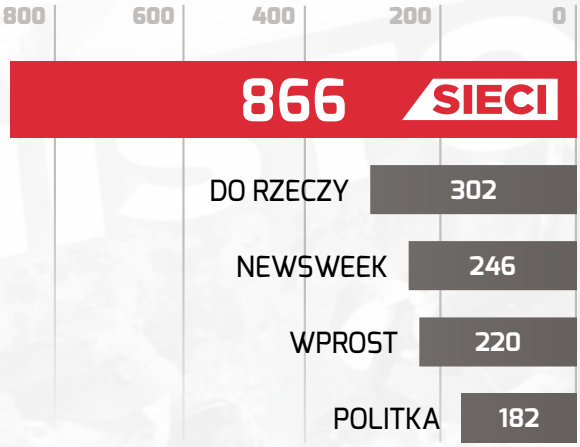

ŹRÓDŁO: IMM, LUTY 2019

eprasa.pl 1a0018e33b

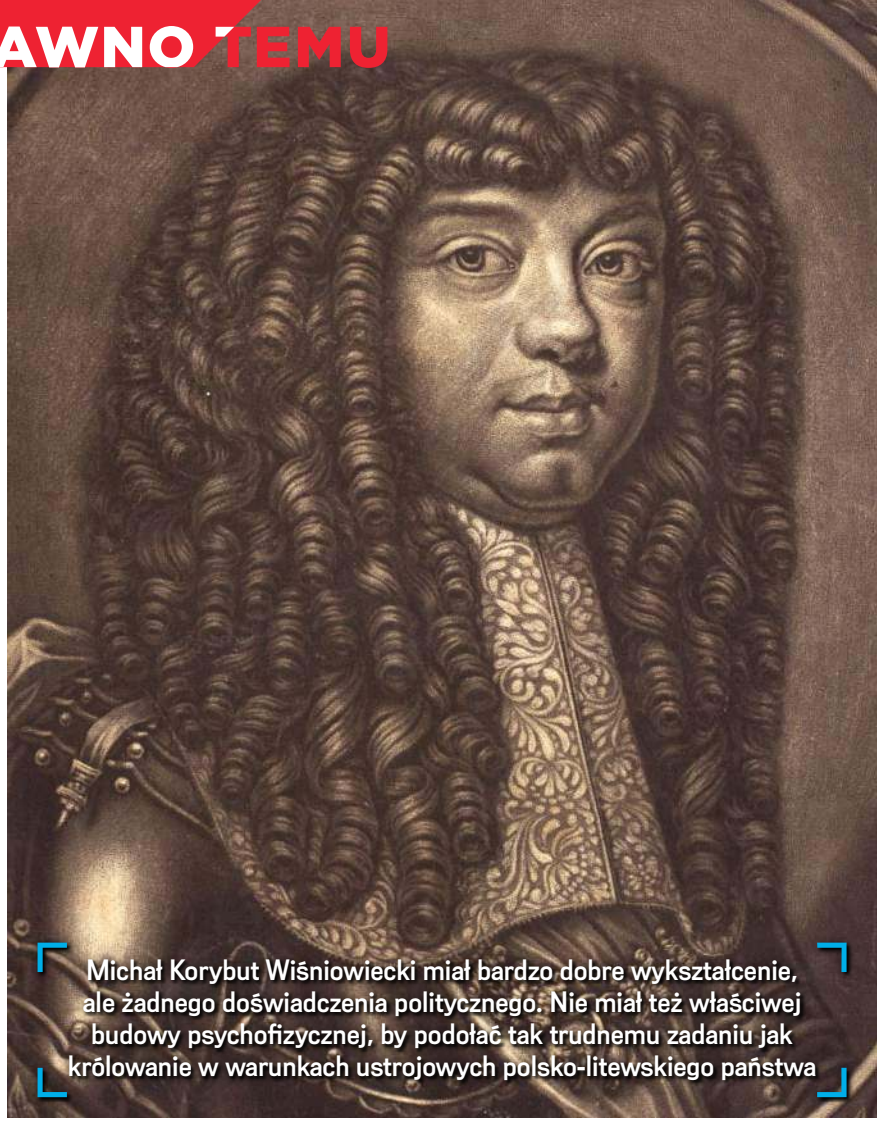

Michał Korybut Wiśniowiecki miał bardzo dobre wykształcenie, ale żadnego doświadczenia politycznego. Nie miał też właściwej budowy psychofizycznej, by podołać tak trudnemu zadaniu jak królowanie w warunkach ustrojowych polsko-litewskiego państwa

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

PRZYPADKOWY MONARCHA

NIEWIELU JEST WŁADCÓW W POLSKIEJ HISTORII, KTÓRZY ZASIADALI NA TRONIE TAK KRÓTKO (NIECAŁE PIĘĆ LAT) I O KTÓRYCH – JAK SIĘ POWSZECHNIE WYDAJE – NIE SPOSÓB POWIEDZIEĆ NICZEGO POZYTYWNEGO. TAKIM WŁADCĄ BYŁ MICHAŁ KORYBUT WIŚNIOWIECKI. JAK DO TEGO DOSZŁO, ŻE 350 LAT TEMU SZLACHTA NA POLU ELEKCYJNYM WYBRAŁA GO NA KRÓLA POLSKI?

ZBIGNIEW HUNDERT

Po bezdzietnej śmierci Zygmunta Augusta w 1572 r. stan obywatelski dopiero co powstałej dualistycznej, polsko-litewskiej Rzeczypospolitej stanął przed trudnym wyzwaniem zapewnienia sukcesji tronu. Ten egzamin z dojrzałości politycznej został zaliczony dość szybko, a wypracowana w okresie pierwszego bezkrólewia procedura obioru władców stała się fundamentalną zasadą ustrojową, zawartą w quasi-ustawie zasadniczej państwa polsko-litewskiego, tj. w artykułach henrykowskich. Wybór władców miał się dokonywać poprzez elekcję viritim, tzn. każdy obywatel (czyli przedstawiciel stanu szlacheckiego) miał prawo przybyć na pole elekcyjne pod Warszawą i dać swój głos na kandydata do tronu. Pozornie system ten umożliwiał ubieganie się o tron każdemu, a tłum szlachecki mógł dokonać wyboru nieodpowiedzialnego. Wysoka kultura polityczna szlachty XVI w. gwarantowała jednak bezpieczeństwo państwa.

Dynastyczne sentymenty

Faktycznie polski tron był elekcyjny już od śmierci Kazimierza Wielkiego, choć elekcje sprzed 1573 r. dokonywały się w węższym gronie. Istniała przy tym silna tendencja legitymizacji władzy każdego kolejnego króla. Andegawenowie byli wszak Piastami po kądzieli, Władysław Jagiełło zaś, wstępując na tron, poślubił prawnuczkę Władysława Łokietka – Jadwigę, czym w pewien sposób podtrzymano kontynuację królewskiej linii piastowskiej. W kolejnych dekadach Jagiełło i jego potomkowie zatwierdzani na tronie krakowskim przez decyzje koronnego możnowładztwa doczekali się statusu rodzimej dynastii. Gdy i ta wygasła w 1572 r., szukano metody na jej kontynuację. Wybrani w elekcji powszechnej Henryk Walezy – a po jego ucieczce z Polski Stefan I Batory – obejmowali tron pod warunkiem wżenienia się w dynastię Jagiellonów poprzez zawarcie mariażu z siostrą zmarłego Zygmunta Augusta – Anną Jagiellonką. Po śmierci Batorego

eprasa.pl 1a0018e33b

trudny bój elekcyjny wygrał Zygmunt Waza, wnuk Zygmunta I Starego oraz siostrzeniec Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki. W świadomości wielu na tron powrócili Jagiellonowie, choć po kądzieli.

Po śmierci Zygmunta III, mimo kontrkandydatur, niemal powszechnie wiadomym było, że tron obejmie najstarszy syn Zygmunta, Władysław, po elekcji 1632 r. czwarty tego imienia polski monarcha. Pewnym jego następcą wydawał się syn, Zygmunt Kazimierz. Nieszczęśliwie zmarł jednak w 1647 r. w wieku zaledwie siedmiu lat. W 1648 r. po Władysławie wybrano kolejnego z Wazów – brata poprzednika, Jana Kazimierza. W ten sposób na tronie zasiadł trzeci ze szwedzkiej dynastii, choć – co ważne – w Rzeczypospolitej powszechnie ich Wazami nie nazywano. Mówiono o nich wprost, iż są Jagiellonami, mimo że po kądzieli. Widać zatem silne tendencje do legitymizowania ciągłości władzy w Koronie Królestwa Polskiego, stanowiącego już wówczas człon polsko-litewskiej Rzeczypospolitej. W 1655 r. zmarł brat Jana II Kazimierza – Karol Ferdynand. Równocześnie okazało się, że ówczesny król i jego małżonka nie doczekają się potomstwa. Kilkuwiekowa „era jagiellońska" w mniemaniu pary królewskiej oraz społeczeństwa szlacheckiego dobiegała końca. Para monarsza zaczęła więc się obawiać, że walka o tron po śmierci „ostatniego z Jagiellonów" doprowadzi do kolejnej degradacji statusu Rzeczypospolitej, leczącej wówczas rany po katastrofie tzw. potopu (1655–1660).

Przeciwskuteczne próby reform

Jan Kazimierz i Ludwika Maria, podobnie zresztą jak szlachta, chcieli reform ustrojowych. Król i królowa jednak za największą bolączkę uznali brak sukcesora, dlatego próbowali doprowadzić jeszcze za życia Jana Kazimierza do wyboru jego następcy. To naruszyłoby fundamentalną zasadę ustrojową, więc wywołało sprzeciw szlachty, w której poczucie legitymizmu było nadal bardzo silne. Ludwika Maria uzależniła wybór następcy od jego ożenku ze swoją siostrzenicą Anną Henriettą, co w mocno naciągany sposób stanowiłoby kontynuację linii jagiellońskiej. Swoje plany para królewska realizowała w oparciu o Francję, która w ramach walki z Habsburgami o prymat w Europie chciała na polskim tronie osadzić przychylną sobie osobę. Działania królewskie nie odniosły zamierzonego skutku, pogłębiły tylko polaryzację społeczną i osłabiły wewnętrzne struktury państwa, coraz silniej infiltrowane przez czynniki zewnętrzne. W 1667 r. zmarła królowa, a zniechęcony wizją dalszego panowania Jan Kazimierz postanowił abdykować, co też uczynił we wrześniu 1668 r. Nadchodziło zatem trudne bezkrólewie: nie było kolejnego Wazy, a prym w kraju wiodło znienawidzone przez szlachtę stronnictwo francuskie (uformowane uprzednio przez królową), które chciało wprowadzić na tron wielkiego wodza Kondeusza lub jego syna Henryka (męża Anny Henrietty).

Kandydatura „Piasta"

W obliczu braku jasno sprecyzowanej kandydatury społeczeństwo szlacheckie zaczynało rozważać rodzimego elekta. Kandydatura „piastowska", czyli kogoś z Rzeczypospolitej, miała już długą tradycję, ale zawsze pozostawała tylko instrumentem w bieżącej grze politycznej lub po prostu zwykłą ideą. Tym razem szlachta rozczarowana polityką Jana Kazimierza z ostatnich lat jego panowania coraz bardziej skłonna była ją przyjąć. Przede wszystkim dlatego, że była podejrzliwa wobec cudzoziemców oraz własnych elit, które dla korzyści działały często w interesie obcych dworów. Stąd jeszcze we wrześniu 1668 r., tuż po abdykacji Wazy, rektor Akademii Zamojskiej Bazyli Rudomicz zanotował: „Podobno pięciu kandydatów do polskiej korony wziętych pod uwagę: 20 b[ieżącego] m[iesiąca] tylko dwóch wyznaczono, a mianowicie j.w. księcia [Aleksandra Janusza Zasławskiego-] Ostrogskiego i j.w. naszego księcia [Michała] Wiśniowieckiego, jako pochodzących z rodu Jagiellonów". Widać, że idea rodzimej kandydatury była silna i nadal kładziono nacisk na legitymizację oraz kontynuację władzy. Wiśniowieccy nie mieli takiej konotacji z Jagiellonami jak Wazowie, a zgodnie z obecnym stanem wiedzy możemy nawet stwierdzić, że nie mieli ich w ogóle. Wtedy jednak nikt nie podważał tego, że Wiśniowieccy pochodzą od Korybuta, brata Władysława Jagiełły – tym sposobem kontynuacja „jagiellońskiej dynastii" wybranej w ówczesnych „wyborach powszechnych" miała szansę realizacji. Elity państwa polsko-litewskiego traktowały te pomysły z przymrużeniem oka, za wyjątkiem biskupa chełmińskiego i podkanclerzego koronnego Andrzeja Olszowskiego, rzecznika wyboru Michała Wiśniowieckiego na polskiego władcę jeszcze przed samą elekcją, rozpoczętą 2 maja 1669 r.

WYBÓR MICHAŁA KORYBUTA BYŁ PRZEJAWEM DUŻEJ NIEZALEŻNOŚCI SZLACHTY OD MAGNACKICH KOTERII (FAKCJI), KTÓRYM NIE UDAŁO SIĘ WYPROMOWAĆ SWOICH KANDYDATÓW

Szlachta kontra magnaci

W trakcie bezkrólewia 1668–1669 wyklarowały się trzy najpoważniejsze kandydatury: francuskiego księcia Kondeusza, palatyna reńskiego Filipa Wilhelma Neuburga (z Wittelsbachów) oraz Karola Lotaryńskiego, popieranego przez Austrię. Pierwszym dwóm sprzyjały siły polityczne, które stanowiły wcześniej zaplecze polityczne Jana Kazimierza. Kondeusza popierali przede wszystkim jeden z najbardziej wpływowych w tym czasie polityków – marszałek i hetman wielki koronny Jan Sobieski, oraz prymas Mikołaj Prażmowski. Neuburga popierali przede wszystkim Radziwiłłowie z księciem koniuszym litewskim Bogusławem na czele. Lotaryńczyka zaś promowali zwolennicy Habsburgów i zaciekli wrogowie wpływów francuskich. Padła również kandydatura cara moskiewskiego Aleksego Michajłowicza, za którą skrywała się wszechwładna w Wielkim Księstwie Litewskim rodzina Paców, z tym że traktowała ona tę propozycję do tronu tylko jako element w grze politycznej.

Społeczeństwo szlacheckie, pomne doświadczeń z czasów Jana Kazimierza, »

eprasa.pl 1a0018e33b

obawiało się intryg magnackich, czyli tego, że będą chciały „wolną elekcyją mieszać", dlatego jeszcze na konwokacji w 1668 r. zagwarantowały sobie możliwość przybycia na podwarszawską Wolę zbrojnie, w ramach pospolitego ruszenia. I rzeczywiście tak się stało. Frekwencja na elekcji w 1669 r. była najwyższa od czasu tej z 1587 r., gdy wygrał Zygmunt III. Na pole elekcyjne przybyło ponad 11 tys. szlachty, choć z przesadą szacowano kiedyś tę frekwencję nawet na 80 tys. Zrównoważyła ona wojska nadworne magnatów oraz poskutkowała tym, że Jan Sobieski, który na potrzeby urzędu marszałkowskiego (zapewniającego bezpieczeństwo w trakcie elekcji) mógł sprowadzić podległe sobie wojsko koronne, z tej możliwości generalnie nie skorzystał. Sobieski miał za to wielu swoich podkomendnych wśród szlachty przybyłej na elekcję, jako elektorów ze swoich województw i ziem. Mieli oni promować Kondeusza, lecz – jak się okazało – nie byli w stanie tego zrobić. Ba, ulegli nawet nastrojom swoich współbraci i dopomogli w wyborze Michała Korybuta. Ale po kolei.

6 czerwca na sejmie elekcyjnym wykluczono możliwość ubiegania się o tron przez Kondeusza, czym obrażono dyplomację francuską Ludwika XIV oraz zmuszono obóz polityczny Sobieskiego i prymasa Prażmowskiego do popierania kandydatury Neuburga – przeciw Lotaryńczykowi. Jeśli wygrałby ten ostatni, nie podtrzymano by profrancuskiego kursu polityki państwa, na czym Sobieskiemu i jego współpracownikom zależało najbardziej. Nacisk ogromnej masy szlacheckiej był silny. Elity chciały zatem jak najdłużej odwlekać wybory, by zniechęcić do długiego przebywania w Warszawie i w konsekwencji doprowadzić do powrotu dużej liczby elektorów do domów. Rozumiejący to przedstawiciele średniej szlachty postanowili ostrzelać szopę senatorską 17 czerwca, czym sterroryzowano decydentów i zmuszono ich do ustalenia terminu wyborów na 19 czerwca. Magnackie koterie nie dawały za wygraną i w tym celu, przez swoich klientów, proponowały różne kandydatury rodzime, dość absurdalne, choćby porucznika husarii Sobieskiego – Aleksandra Polanowskiego. Robiono to tylko po to, aby skłócić szlachtę i zmusić ją do rozjechania się do domów, ostateczny wybór zaś miał się rozstrzygnąć między Neuburgiem a Lotaryńczykiem.

Gdzie dwóch się kłóci

Pech chciał, że jedna z takich przypadkowych kandydatur, proponowanych zresztą wcześniej, została potraktowana poważnie. Na kole województw poznańskiego i kaliskiego rzucono hasło wyboru księcia Michała, choć ten, co go proponował, podobno się pomylił, miał bowiem rzucić nazwisko siostrzeńca Sobieskiego – ks. Aleksandra Zasławskiego-Ostrogskiego, który w tym czasie znajdował się na naukach we Włoszech. Szlachcie kandydatura księcia Michała przypadła do gustu. Wielkopolanie od razu się na niego zgodzili i poinformowali o tym pozostałe koła, na których szlachta głosowała. W związku z tym, że wiele kół, jak województwa ruskiego, było przepołowionych, tzn. głosy poparcia za Neuburgiem i Lotaryńczykiem rozkładały się mniej więcej równo, osoba Michała uznana została za kompromisową. Niebawem wszystkie koła wojewódzkie zgodziły się na jego wybór, ku przerażeniu liderów magnackich koterii, niemogących nadążyć za dynamicznie zmieniającą się na polu elekcyjnym sytuacją. Pod naciskiem szlachty osoby odpowiedzialne za proklamowanie elekta musiały się wywiązać ze swojej powinności. Tak powołano na tron Michała pierwszego tego imienia, ku zdziwieniu wszystkich decydentów, w tym najbardziej jego samego. Obrazowa jest opinia słynnego pamiętnikarza, Jana Chryzostoma Paska: „On sam siedzi między szlachtą pokorniusieńki, skurczył się, nic nie mówi".

Władca tragiczny

Wybór Michała Korybuta był przejawem dużej niezależności szlachty od magnackich koterii (fakcji), którym nie udało się wypromować swoich kandydatów. Popularność ojca nowego króla – wojewody ruskiego, oraz samo pochodzenie, które wywodzono od Jagiellonów, były wystarczające. Europa od razu zaakceptowała ten wybór, dzięki czemu podkanclerzy koronny i główny filar polityki nowego króla (przynajmniej do początków 1672 r.), Andrzej Olszowski, bez większych problemów wynegocjował prestiżowy kontrakt ślubny z siostrą cesarza Leopolda I – Eleonorą jeszcze w tym samym roku. W mniemaniu wielu na tronie zasiadł przedstawiciel bocznej linii królewskiej, w mniemaniu polskich kręgów magnackich – zubożały magnat, który

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Biskup chełmiński i podkanclerz koronny Andrzej Olszowski

wyglądem, zdrowiem i charakterem w niczym nie przypominał swoich przodków. W momencie wyboru miał 29 lat. Dalej pozostawał pod silnym wpływem dość sprawnej politycznie matki Gryzeldy Wiśniowieckiej z Zamoyskich, wnuczki wielkiego kanclerza i hetmana Jana Zamoyskiego. Michał miał bardzo dobre wykształcenie, ale żadnego doświadczenia politycznego. Nie miał też właściwej budowy psychofizycznej, by podołać tak trudnemu zadaniu, jak królowanie w warunkach ustrojowych polsko-litewskiego państwa. Nie mógł na urzędy promować przychylnych sobie osób, ponieważ w ówczesnym systemie dożywotnich urzędów musiał przejąć strukturę po poprzedniku, a ta w dużej części, jeszcze na polu elekcyjnym 1669 r., przeszła do opozycji. Trud panowania odbił się szybko na zdrowiu psychicznym króla, skutkując wrzodami żołądkowymi. Ich pęknięcie, a nie przejedzenie ani słynne i nieprawdziwe zadławienie się ogórkiem, było przyczyną śmierci monarchy w dość młodym wieku, bo zaledwie 34 lat.

Michał Korybut był władcą tragicznym, wybranym na tron w słusznej sprawie rugowania wpływów obcych z Rzeczypospolitej, ale korona go przerosła. Należy mu się jednak sprawiedliwość i odejście od wielu krzywdzących ocen, choćby opinii krakowskiego historyka Władysława Konopczyńskiego, że król Michał I znał biegle kilka języków obcych, ale w żadnym nic ciekawego nie miał do powiedzenia...

eprasa.pl 1a0018e33b

„Pożegnanie z Europą" Aleksandra Sochaczewskiego

POLAK UCIEKNIE NAWET Z PIEKŁA

W XVIII I XIX w. EUROPA ZACZYTYWAŁA SIĘ W PAMIĘTNIKACH DWÓCH POLAKÓW, KTÓRZY OPISALI SWOJE NIEPRAWDOPODOBNE UCIECZKI Z SYBERYJSKIEJ KATORGI. DLA KOLEJNYCH POKOLEŃ POLSKICH ZESŁAŃCÓW LEKTURY TE STAŁY SIĘ SWOISTYM PODRĘCZNIKIEM

ANDRZEJ FEDOROWICZ

Przy półwyspie Makau u wybrzeży Chin 21 września 1771 r. pojawił się trójmasztowiec pod nieznaną banderą. Nosił nazwę „Święty Piotr i Paweł", a jego dowódcą był Maurycy Beniowski, polski szlachcic i zesłaniec polityczny. Zdobył on statek na odległym 6 tys. km rosyjskim półwyspie Kamczatka, gdzie wcześniej wszczął zbrojne powstanie. Jednostka wiozła niesamowity ładunek: złoto, perły i tysiące skór zwierząt wielkiej wartości, oraz tajne archiwa Kamczatki z planami ekspansji Rosji w Azji i Ameryce Północnej.

Trzydziestoletni uciekinier urodził się na Węgrzech, w Werbowie, jako syn Samuela Beniowskiego, generała w służbie austriackiej i węgierskiej baronówny, Róży de Ravay. Kształcił się na oficera i już jako 15-latek brał udział w wojnie z Prusami. Kiedy miał 17 lat, postanowił opuścić cesarską armię na wieść, że mieszkający na Litwie stryj przepisał na niego majątek. Zachował jednak duszę awanturnika. Miał nietypowe marzenie – chciał żaglowcem wyprawić się do Indii. Zdobywał morskie szlify w czasie rejsów do Hamburga, Amsterdamu i Plymouth, gdy tymczasem w Barze na Podolu została zawiązana 29 lutego 1768 r. antyrosyjska konfederacja.

Beniowski, Polak z wyboru, bronił ojczyzny, płacąc za to siedmioma ranami od kul, szabel i pik. W końcu, 19 maja 1769 r., ranny w bok odłamkiem kartacza i dwukrotnie szablą, trafił do niewoli. Pierwszym miejscem zesłania był Kazań nad Wołgą, jednak dla doświadczonego partyzanta ucieczka stamtąd nie stanowiła problemu. Niestety, po schwytaniu nie mógł już liczyć na łagodne traktowanie. Kolejnym miejscem katorgi miała być odległa o 9 tys. km Kamczatka.

Podróż tam zajęła prawie rok. Do leżącej na zachodnim wybrzeżu półwyspu osady Bolszereck Beniowski trafił 4 grudnia 1770 r. Inteligentny i pełen energii Polak zaczął skupiać wokół siebie elitę zesłańców. Nie minęło kilka dni, jak zaproponował im założenie tajnej organizacji, której celem było przygotowanie ucieczki.

Powstanie na końcu świata

Jednocześnie Beniowski zaczął wkradać się w łaski władz kamczackiej guberni. Wykształconemu, władającemu kilkoma językami zesłańcowi zaproponowano pracę przy czytaniu i pisaniu listów oraz sprawozdań. Dzięki temu znalazł się w otoczeniu gubernatora Niłowa, który zabierał błyskotliwego więźnia na spotkania towarzyskie. Na jednym z nich Beniowski usiadł do partii szachów z „numerem trzy" w miejscowym rządzie, kozackim pułkownikiem Czernychem. Ten po upokarzającej przegranej w pięciu ruchach zaproponował układ: Polak będzie grać dla niego z urzędnikami i kupcami za 10 procent wartości zakładu. Po jednym z udanych wieczorów Czernych obdarował Beniowskiego takim zapasem masła, mięsa, wódki i ryżu, że zapewniły one wyżywienie wszystkim zesłańcom przez pięć dni.

Towarzyskie zalety Polaka miały jeszcze jeden skutek: zakochała się w nim córka gubernatora, 16-letnia Afanazja. Panna sama dała do zrozumienia, że chciałaby go mieć za męża. Beniowski informował o romansie radę »

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl 1a0018e33b

spiskowców – doradzono mu, by dla dobra sprawy wziął ślub. Za wiedzą matki Afanazji doszło do zaręczyn z Maurycym. Postawiony przed faktem dokonanym gubernator Niłow był początkowo wściekły, jednak doszedł do wniosku, że ślub córki z bystrym szlachcicem nie jest wcale złym rozwiązaniem.

Tymczasem Beniowski grał na zwłokę; była zima, a ucieczka statkiem mogła się rozpocząć najwcześniej w maju. Postawił więc Niłowowi warunek; nie stanie przed ołtarzem, dopóki na półwyspie nie powstanie rolnicza osada, w której zamieszka on z Afanazją. Pod pretekstem przygotowań do założenia kolonii zaczęło się gromadzenie zapasów broni, prochu i narzędzi. Informacja o spisku dotarła w końcu do Niłowa. Wysłał on żołnierzy z rozkazem doprowadzenia Polaka do twierdzy. Ci zaś, kiedy weszli do jego domu, zobaczyli wymierzone w siebie lufy pistoletów.

Był 26 kwietnia 1771 r., gdy Beniowski i jego oddział ruszyli na pałac gubernatora. Polak na czele grupy wpadł do środka, rozprawił się ze strażnikami, a po wzięciu przez powstańców zakładników broń złożyli też pilnujący osady Kozacy. W czasie walk zginął gubernator Niłow.

Ucieczka przez nieznane wody

Po zdobyciu twierdzy buntownicy przejęli skarbiec, magazyny oraz tajne archiwum guberni, najważniejszą sprawą był jednak statek. Na przystani stał uwięziony przez kry handlowy żaglowiec „Święty Piotr i Paweł". Chęć ucieczki na jego pokładzie zadeklarowała ogromna liczba ludzi; nie tylko spiskowców, ale też mieszkańców Bolszerecka. Beniowski zdecydował, że z Kamczatki odpłynie 95 osób, w tym 9 kobiet. Wśród nich miała być przebrana w męski strój Afanazja. 11 maja 1771 r. Polak rozkazał wywieszenie na maszcie chorągwi konfederacji barskiej i podniesienie kotwicy.

Pod koniec lipca po perturbacjach uciekinierzy dotarli do Japonii. Miejscowy książę przyjął zbiegów gościnnie i zaproponował wymianę skór na złoto, porcelanę i perły. Stamtąd „Święty Piotr i Paweł" popłynął w stronę Tajwanu. Gdy trzech ludzi, którzy poszli na zwiad, zostało brutalnie zamordowanych przez krajowców, Beniowski wziął krwawy odwet. Jego załoga rozpędziła armię tubylców, a potem spaliła ich wioskę.

Maurycy Beniowski

Okazało się, że tym atakiem Polak oddał przysługę miejscowemu księciu, którego wrogiem było pokonane plemię. Władca podarował Beniowskiemu 70 pereł, 5 kg złota i 200 kg srebra, które ten rozdzielił pomiędzy biorących udział w walkach ludzi.

Z Tajwanu uciekinierzy dotarli do portugalskiej enklawy Makau. Wygłodniali i osłabieni wielomiesięcznym rejsem dosłownie rzucili się na jedzenie, owoce i wino, co spowodowało tragiczne konsekwencje, tym bardziej że w kolonii panowała epidemia cholery. Chociaż Beniowski wezwał najlepszych lekarzy, zmarło 21 osób, w tym Afanazja. Śmierć przyjaciółki przeżył głęboko, pochował ją w ogrodach obok katedry. Z przetrzebioną przez choroby załogą i mocno zniszczonym już statkiem nie było sensu myśleć o samodzielnym rejsie do Europy.

Rosyjscy szpiedzy fałszują pamiętniki

Beniowski sprzedał więc „Świętego Piotra i Pawła" oraz część ładunku i zawarł z francuską kompanią handlową tajną umowę na przewóz uciekinierów. Wyruszyli w styczniu 1772 r. na pokładach dwóch statków, zatrzymując się na francuskim Mauritiusie i niepodbitym jeszcze Madagaskarze. Przyjazd Beniowskiego do Francji na czele grupy zbiegów z końca świata stał się ogromną sensacją. Polak przywoził ze sobą nie tylko historię niesamowitej ucieczki, ale też bezcenną wiedzę na temat nieznanych dotąd wód i wysp. Zredagowaniem części pamiętnika Beniowskiego zajął się Jean Hyacinte de Magellan, potomek słynnego żeglarza i główny sekretarz pierwszego ministra Francji.

Nie mniejszą sensację wzbudziły tajne akta Kamczatki. Wynikało z nich, że miejscem, w którym pozyskuje się zapewniające ogromne zyski skóry zwierząt, nie jest wcale Syberia, ale są wyspy na Morzu Beringa leżące blisko kontynentu amerykańskiego. Z dokumentów wynikało, że Rosja nie dysponuje przy tym flotą, która pomogłaby jej strzec cennych terytoriów łowieckich. To były informacje o strategicznym znaczeniu, rosyjskie służby rozpoczęły więc operację dyskredytowania Polaka. Agenci przekupili kilku uciekinierów z Kamczatki, skłaniając ich do powrotu do Rosji i opublikowania zaprzeczającej Beniowskiemu wersji wydarzeń. Dokonywali nawet fałszerstw w złożonych w wydawnictwach rękopisach pamiętników Polaka.

Tymczasem Beniowski pławił się w sławie na dworze Ludwika XV. Zaproponowano mu, by na czele zbrojnej ekspedycji wrócił na Madagaskar i zajął dla Francji tę czwartą wyspę świata. Ta część jego życiorysu jest dziś lepiej znana niż historia brawurowej ucieczki z Kamczatki, jednak to właśnie opisy tej drugiej były pod koniec XVIII w. wydawniczym bestsellerem. Z pewnością znał je Rufin Piotrowski, który ponad siedem dekad po Beniowskim dokonał kolejnej sensacyjnej ucieczki z Syberii.

Zgolę brodę, jak będę wolnym człowiekiem

Piotrowski w powstaniu listopadowym walczył pod Ostrołęką i w obronie Warszawy. Potem wyjechał do Francji, gdzie zaangażował się w działalność Towarzystwa Demokratycznego. Gdy poczuł, że ma dość jałowych dyskusji emigrantów, postanowił przekraść się na polskie ziemie i rozpocząć pracę konspiracyjną. W 1843 r. z fałszywym angielskim paszportem dotarł do Kamieńca Podolskiego. Tam został aresztowany i przewieziony do Kijowa, gdzie rozpoczęło się siedmiomiesięczne śledztwo. Wyrok: kara śmierci, zamieniona na dożywotnie roboty w osadzie koło miasta Tara.

Kiedy dotarł na Syberię, poprzysiągł sobie, że ucieknie. Przez kilka miesięcy na pamięć uczył się pożyczonej mapy Rosji. Zdobył dwa komplety fałszywych dokumentów, zgromadził trochę

eprasa.pl 1a0018e33b

Rufin Piotrowski

rubli i zapuścił brodę, by przypominać syberyjskich „mużyków". Rosyjski znał dobrze, miał zamiar podawać się za idącego w poszukiwaniu pracy chłopa, Ławrientija Kuźmę. Jeden ze strażników śmiał się, widząc coraz dłuższą brodę zesłańca. „Kiedy ją zgolisz?" – pytał. „Kiedy będę wolnym człowiekiem!" – odpowiadał Piotrowski. „To nie zgolisz jej nigdy!" – mówił Rosjanin. To jeszcze bardziej motywowało Polaka – brodę zamierzał zgolić, gdy tylko opuści granice Rosji.

Był jednak w środku wielkiego pustkowia. Od najbliższego portu, w którym mógłby dostać się na statek do Europy, dzieliły go tysiące kilometrów. Wariantów ucieczki opracował aż pięć. Wybrał ostatni – dotrzeć do Archangielska, portu nad Morzem Białym. Uciekać zamierzał w środku zimy. Plan wydawał się szaleństwem, ale zesłaniec przemyślał wszystko. Błotniste drogi Syberii zimą zamieniały się w prawdziwe autostrady. Rosyjscy woźnice, zwani „jaszczykami", potrafili pędzić saniami po śniegu z ogromną prędkością. A do tego w oddalonym tysiąc kilometrów mieście Irbit odbywał się wielki targ. Z całej Syberii zmierzały tam tłumy ludzi, wśród których łatwo się było ukryć.

Przez kolejne miesiące Piotrowski oszczędzał pieniądze, zdobył kilka kompletów ubrań, a nawet perukę. Na początku lutego 1846 r., po 16 miesiącach syberyjskiej niewoli, podjął decyzję: „Uciekam!". W księżycową noc po prostu wyszedł na drogę i „złapał" pierwsze sanie. Trasę do Irbitu pokonał w trzy doby, podróżując z ogromną jak na tamte czasy prędkością 300 km dziennie. Na dalszą podróż saniami nie było go już jednak stać.

Piechotą do Europy

Ruszył więc piechotą w stronę Uralu. Nocował w wykopanych w śniegu jamach. W ciągu dwóch tygodni tylko trzy razy zjadł coś ciepłego. Gospodarz, u którego prosił o gościnę, podsunął mu pomysł. „Wielu ludzi idzie teraz do sołowieckich świętych monastyrów. Wy też?" – zagaił. Słynący z cudów klasztor na Wyspach Sołowieckich na Wielkanoc przyciągał tłumy pątników, wśród których łatwo się było ukryć. Polak przyłączył się do nich w Solikamsku po zachodniej stronie Uralu. Niespełna 900 km dalej leżało bogate miasto Wielki Ustiug, skąd można było popłynąć rzeką Dwiną aż do Archangielska.

W Ustiugu Piotrowski zatrudnił się jako sternik na barce i w maju dotarł do Archangielska. Plan, by dostać się na europejski statek, okazał się nie do zrealizowania. Pozostawała droga piechotą. Piotrowski ruszył wzdłuż smaganego przez polarne wichry Morza Białego do odległego 200 km miasta Onega. Stamtąd mógł iść na północ, do będącej pod rosyjskim panowaniem Finlandii, a z niej przedostać się do Szwecji. Drugi wariant był krótszy, ale bardziej ryzykowny; była to droga na Litwę, z której mógł przedostać się do Prus. To wymagało jednak przejścia przez Petersburg, stolicę rosyjskiego imperium. Ten właśnie wariant postanowił wybrać.

Najważniejsze 20 sekund w życiu

Płynąc jako flisak, od jeziora Onega dotarł Newą do Petersburga. Stąd do Prus było już „tylko" 900 km. Gdyby jednak dopłynął statkiem do Rygi, trasa skróciłaby się do zaledwie 250 km. Pomógł mu fiński marynarz, który przepchnął Polaka na pokład, udając, że prowadzi spóźnionego członka załogi. Następnego dnia Piotrowski był już w Rydze.

W drodze przez łotewską Kurlandię coraz częściej słyszał polską mowę, był w granicach dawnej Rzeczypospolitej. 3 lipca 1846 r. dotarł do rosyjsko-pruskiej granicy. Żołnierze z patrolu nie zdążyli nawet podnieść karabinów, kiedy był już po drugiej stronie. Wszystko trwało 20 sekund. W Prusach ukrył się w lesie i wtedy nadeszła ta chwila: Polak wyjął brzytwę i zgolił hodowaną od roku brodę.

Nie miał pruskich dokumentów, postanowił więc udawać Francuza, który przyjechał do pracy i zgubił paszport. Wymizerowany, blady, w zniszczonym ubraniu, budził jednak podejrzenia. W Królewcu wpadł w oko żandarmom i został aresztowany. Gdy na przesłuchaniu wyznał, że uciekł z Syberii, wybuchła sensacja; eskapada Piotrowskiego trafiła na pierwsze strony gazet. Chociaż Prusy i Rosja miały umowę o wydawaniu zbiegów, mieszkańcy Królewca nie dopuścili, by Piotrowski został deportowany. Dzięki zbiórce pieniędzy kupił bilet na statek do Gdańska, skąd popłynął do Francji.

Ojcowie wszystkich polskich ucieczek

Na emigracji napisał pamiętniki, które z miejsca stały się bestsellerem. Ale buntowniczy duch go nie opuszczał. W 1848 r. Piotrowski przybył na Węgry, gdzie z rozkazu gen. Bema brał udział w organizowaniu polskich oddziałów. Klęska powstania sprawiła, że musiał wrócić do Francji, gdy jednak w 1853 r. wybuchła wojna krymska, 47-letni Piotrowski udał się do Stambułu. Tam tworzył pułk kozaków sułtańskich, formację walczącą po stronie Turcji, Francji i Anglii przeciwko Rosji.

W wieku ponad 60 lat Rufin Piotrowski postanowił wrócić na polskie ziemie. Został nauczycielem w tarnowskim gimnazjum. Jego pamiętniki dla Polaków stały się lekturą obowiązkową. Przydały się, gdy kolejne tysiące zesłańców zaczęły trafiać na syberyjskie pustkowia. Ale mieli oni już w głowach opisy brawurowych eskapad Beniowskiego i Piotrowskiego i wiedzieli, że nawet z piekła ucieczka jest możliwa.

Więcej o tych i innych ucieczkach z więzień, zesłań, obozów jenieckich i koncentracyjnych przeczytasz w książce Andrzeja Fedorowicza „Słynne ucieczki Polaków", wydanej przez wydawnictwo Fronda

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA x2

eprasa.pl 1a0018e33b

MÓJ OJCIEC BYŁ DIABŁEM

Z NIKLASEM FRANKIEM, niemieckim dziennikarzem, synem nazistowskiego zbrodniarza Hansa Franka, rozmawia Wojciech Osiński

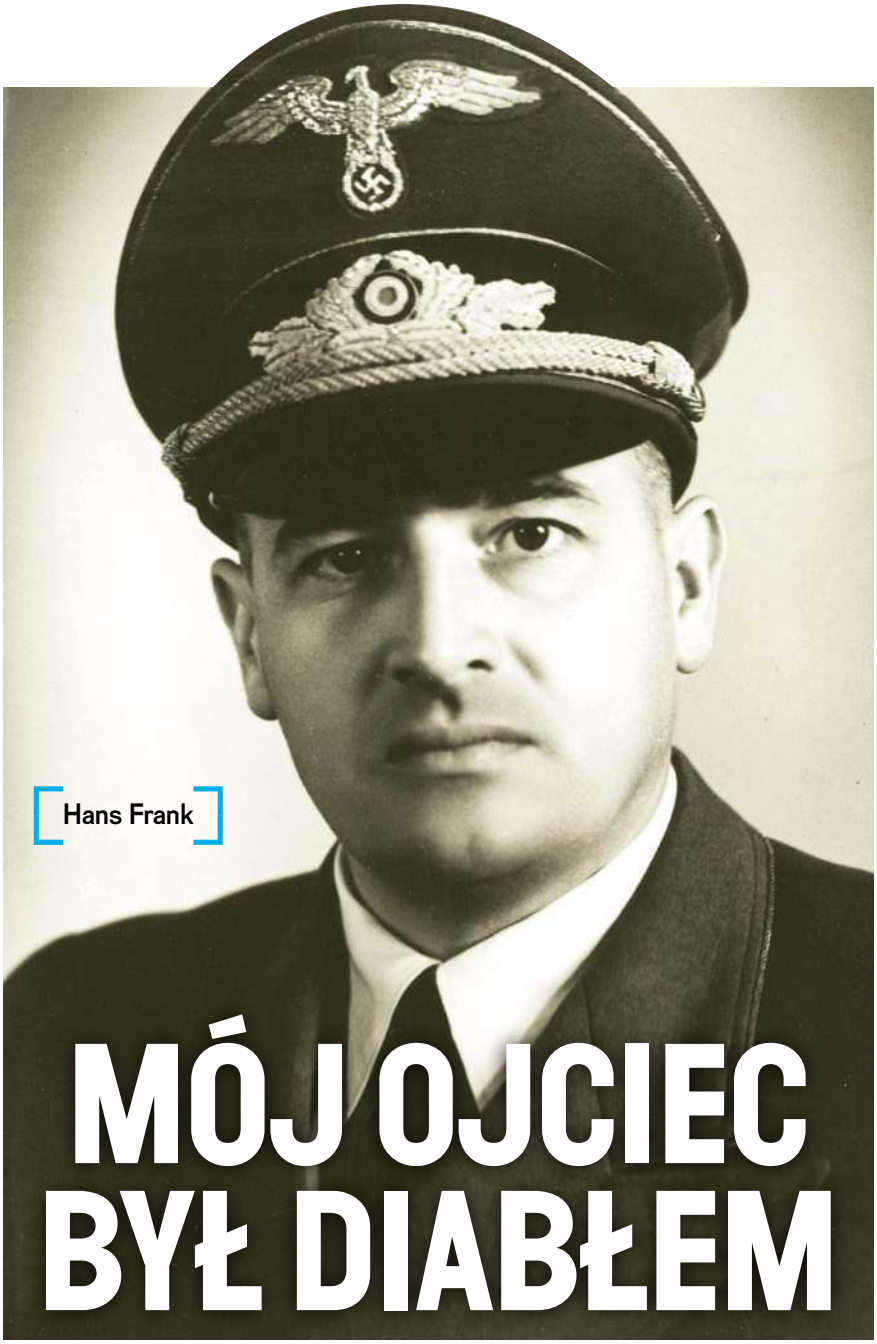

Hans Frank

FOT. NAC

Hans Frank był współodpowiedzialny za zamordowanie milionów Polaków i Żydów. W okresie 1939–1945 był generalnym gubernatorem okupowanych ziem polskich...

Niklas Frank: Przepraszam, że od razu wchodzę panu w słowo. Mój ojciec był obok szefa SS Heinricha Himmlera głównym autorem Holocaustu, nie tylko urzędniczą rybą, która chciała zrobić karierę. Jako gubernator generalny mój tata ponosi główną odpowiedzialność za każdą zamordowaną osobę na terenie okupowanej Polski.

W 1987 r. opublikował pan książkę, w której rozprawia się ze swoim ojcem. Choć obrał pan niewątpliwie drogę ze wszech miar rozsądną, w RFN publikacja 40 lat po wojnie wywołała oburzenie. Dlaczego?

Obelżywych okrzyków ze strony neonazistów mogłem się spodziewać, ale przykrą niespodzianką były dla mnie krytyczne reakcje kolegów po fachu. Pomijając dziennikarzy jak Henryk Broder czy Ralph Giordano, którzy zdobyli się na słowa uznania, publikacja „Mój ojciec" spotkała się ze środowiskowym ostracyzmem. Dostawałem też anonimowe pogróżki od czytelników. A nawet wydawnictwo, które chciało ją wydać, namawiało mnie do rozbrojenia „bomby".

W 1939 r. pana rodzina zamieszkała na Wawelu. W książce opisuje pan swoje beztroskie dzieciństwo w Krakowie. Zgoda, miał pan wtedy pięć lat i trudno oczekiwać od dziecka, by interesowało się „służbowymi" sprawami ojca. A jednak mam córkę w tym samym wieku, która już wiele zauważa. Ani razu nie dotarły do pana informacje o tym, co dzieje się kilka kilometrów dalej, w getcie żydowskim?

Byłem w getcie tylko raz z moją matką, która chodziła tam często po zakupy. Żydzi doskonale wiedzieli, kim była. Jej obecność musiała ich zatem napełniać trwogą. Pamiętam, jak grupa żydowskich chłopaków mnie obserwowała, gdy czekałem na nią przed sklepem. Nie rozumiałem, dlaczego tak dziwnie na mnie patrzą. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, w jakiej sytuacji się znajdują, choć oczywiście szybko zauważyłem, że mój ojciec ma ogromną władzę, która zapewniała jego dzieciom przywileje. Codziennie ktoś do nas przychodził i bił pokłony. Czułem się na tyle bezpieczny, że mogłem swobodnie denerwować służących, którzy nie mieli odwagi, aby mnie przywołać do porządku. I dlatego bez żenady mogłem pokazać młodym Żydom z getta język. Im z kolei nie drgnęła powieka, a ja czułem satysfakcję, że jestem nietykalny i mogę zwyciężać ze starszymi. Niestety w ogóle nie rozumiałem, co się tam dzieje.

Pana ojciec nazwał siebie „królem Polski". Historia zapamiętała go jednak głównie jako „rzeźnika" i „kata" Polski. W Norymberdze został skazany na karę śmierci przez powieszenie. W książce pisze pan, że jego złamany kark uratował panu życie, a w kieszeni nosi pan zdjęcie jego zwłok...

Obrzydza mnie myśl, że po wojnie mógłby on dalej zatruwać mój umysł i prowadzić w RFN normalne życie, jak wielu innych nazistowskich prawników. Zdjęcie zwłok

eprasa.pl 1a0018e33b

mojego ojca, które zostało zrobione bezpośrednio po egzekucji, noszę przy sobie od kilkudziesięciu lat. Z dwóch sprzecznych ze sobą powodów – z jednej strony chcę mieć pewność, że Hans Frank już naprawdę nie żyje, a z drugiej muszę sobie na bieżąco przypominać, że pozostaje wiecznie żywy. Nie mamy prawa zapomnieć ani o krzywdach, które mój ojciec wyrządził milionom ludzi, ani o zagrożeniach związanych z ideologią, której hołdował. Sygnałem ostrzegawczym jest nie tylko to zdjęcie, lecz także strach na wróble w moim ogrodzie, ze skórzanym płaszczem mojego ojca nazisty.

Zamek Królewski na Wawelu to serce Polski, ostatnie miejsce spoczynku naszych władców, zasłużonych polityków i poetów. Czy były chwile, w których pan czuł, że mieszka w miejscu, w którym Niemcy nie mają czego szukać?

Proszę uwierzyć, pięcioletnie dziecko nie interesuje się zbytnio kulturą, zresztą trudno było z takim ojcem o tym dyskutować. A jednak Hans Frank i Adolf Hitler doskonale wiedzieli o wartościach, jakie łączyli z Krakowem Polacy. Mój ojciec najpierw chciał zamieszkać w warszawskim Belwederze, ale Führer odwiódł go od tego pomysłu. Wolał was upokorzyć i trafić w samo serce, jakim był Wawel. Tata pozwalał nam np. bawić się w berka przy krypcie Józefa Piłsudskiego, choć ja sam się nie zastanawiałem nad znaczeniem spoczywających tam postaci. Nasi rodzice nie przybliżyli nam polskiej historii i to, że mogliśmy się tam beztrosko bawić, pokazuje tylko, w jakim stopniu mój ojciec lekceważył Polaków. A jednak dobrze wiedział, że to nie jego miejsce. Miałem z pozoru piękne dzieciństwo, ale towarzyszyło nam przez cały czas podskórne przygnębienie, przekładające się na dziecięcą psychikę. Prawie codziennie dostawaliśmy prezenty, o których inne dzieci mogły pomarzyć. Tyle tylko, że my je wszystkie bez wyjątku niszczyliśmy, tak jakbyśmy chcieli odreagować wypierane przez naszych rodziców wyrzuty sumienia.

Trudno wymazać wkład Polski w cywilizację Europy, choć pana ojciec dokładał wszelkich starań. Celowo mordował polskie elity i depozytariuszy polskości. W filmie Giacomo Battiato o życiu Karola Wojtyły widzimy Hansa Franka, który rozkazuje zatrzymać profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Gdy jeden z nich protestuje, każe go zastrzelić. Pan twierdzi, że on sam nikogo nie zabił. Skąd ta pewność?

Mój ojciec był zbyt tchórzliwy, by wykonywać „brudną robotę". Nie był w stanie zabić ani siebie (choć próbował), ani kogoś innego. Nie dlatego, że nie chciał, lecz dlatego, że się najzwyczajniej tego bał. To był modelowy zbrodniarz wojenny, który „krwawymi zleceniami" obarczał raczej swoich żołnierzy najemnych. Choć przypuszczam, że przedstawione w filmie sytuacje mogły mieć rzeczywiście miejsce. A kto wcielił się w rolę mojej matki? [śmiech]

Nasza polska aktorka Grażyna Szapołowska. Zagrała ją świetnie...

Otóż moja matka opowiadała mi, jak to raz jechała z moim tatą samochodem i jego szofer niechcący potrącił dwóch Polaków. Mama chciała się zatrzymać i udzielić im pomocy, ale ojciec kazał mu jechać dalej, spokojnie zaciągając się swoim cygarem. I z takimi wspomnieniami zmagam się już całe życie. Jeszcze dziś oglądam wywiady, w których starsze osoby opłakują swoich krewnych, zamordowanych przez mojego tatę. Jednak dopiero po wojnie potrafiłem pojąć, co tak naprawdę uczynił. Dopiero gdy zaczęły się w gazetach pojawiać zdjęcia wozów, na których piętrzyły się zwłoki Polaków. Kiedy na początku lat 80. zbierałem w Krakowie materiały o Oskarze Schindlerze dla tygodnika „Stern", przekonałem się już na dobre, że mój ojciec był po prostu diabłem. Z historią rodziny Frank borykają się także nasze dzieci. Moja córka, zapytana niegdyś, czy jest spokrewniona z żydowską dziewczynką Anne Frank, musiała wyznać, że to nieporozumienie, bo jest wnuczką jej mordercy.

Urodzony w Monachium Niklas Frank mieszka dziś na wsi, w północnoniemieckim Szlezwiku-Holsztynie. Na zdjęciu z autorem wywiadu

FOT. ANNA-MARIA WALENTA

Trudno znaleźć w pańskiej książce choćby jedno zdanie, w którym sili się pan na współczucie wobec własnego ojca. Z mojego polskiego punktu widzenia jest to zupełnie zrozumiałe. Ale pan jest jego synem i już tego nie zmieni. Czy potrafi pan powiedzieć o nim coś pozytywnego? Czy można w pełni znienawidzić własnego ojca?

Nie mogę powiedzieć o nim nic pozytywnego. Był zimnym, nadętym bufonem. Na dodatek kiepskim ojcem i kłamliwym zbrodniarzem. Wśród wysokich rangą nazistów był na pewno najlepiej wykształcony. Dlatego Hitler go nie znosił, bo po pierwsze, nie lubił prawników, a po drugie, nie lubił, gdy ktoś był mądrzejszy niż on sam. Po trzecie wreszcie, Führer nie znosił, kiedy ktoś mu się podlizywał, a mój tata był mu histerycznie oddany. Śmiem nawet twierdzić, że darzył go homoerotyczną sympatią. Był przy nim od samego początku, w latach 20. był jego adwokatem. Tymczasem życie mego ojca mogło się potoczyć zupełnie inaczej. »

eprasa.pl 1a0018e33b

Hans Frank był zimnym i nadętym bufonem, a na dodatek kiepskim ojcem i kłamliwym zbrodniarzem – przekonuje dziś Niklas Frank, najmłodszy z pięciorga dzieci adwokata Hitlera

FOT. NIKLAS FRANK

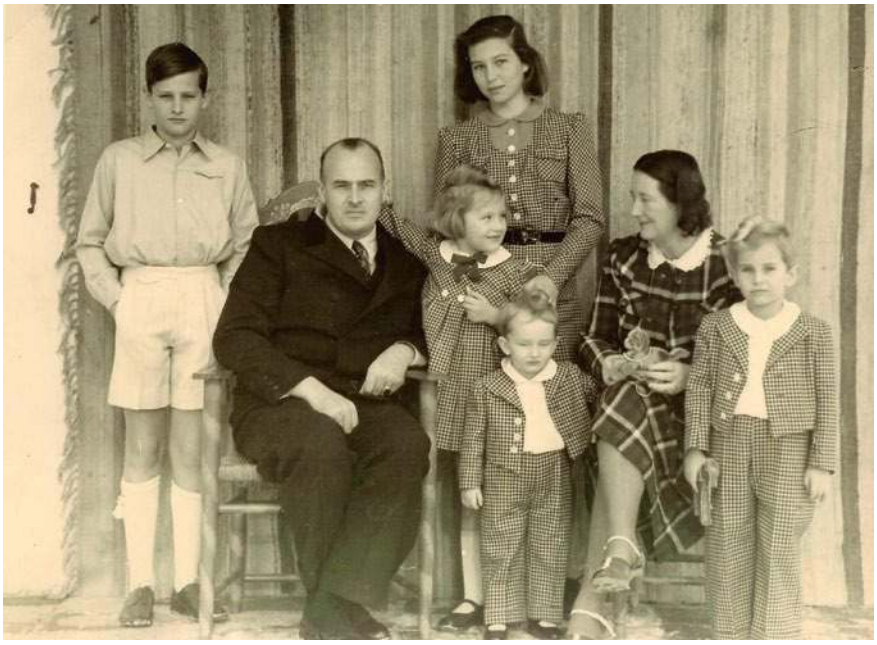

FOT. ANNA-MARIA WALENTA

» Nawet jeśli był karierowiczem i przekonanym nazistą, to mógł się zadowolić jakąś pracą przy biurku, nie zdradzając partii. Tak jak wielu innych. Tym bardziej że dorastał w bawarskiej katolickiej rodzinie, pełnej wierzących osób, potrafiących rozróżniać między dobrem a złem. Kiedy Hitler przestał w niego wierzyć i pozbawił go pewnych przywilejów, pozwolił mu mimo wszystko pozostać w Krakowie. Pamiętam, gdy ojciec pewnego dnia rozpromieniony wyznał matce: „Kochanie, wyobraź sobie – Führer pozwolił mi dalej kierować Generalną Gubernią". On się szczerze cieszył, że mordując Polaków, może się znów wkupić w łaski Hitlera. On czuł rzeczywistą satysfakcję, że w Krakowie może się przyczynić do „ostatecznego rozwiązania". I ja mam kochać takiego ojca? Człowieka, który kazał swoim żołnierzom w getcie zabijać dzieci?

Przed jego egzekucją w 1946 r. odwiedził pan go ostatni raz w celi. Jak on się wtedy zachowywał?

Na pewno liczył się z tym, że zostanie powieszony, choć nie chciał dzielić się tą informacją z rodziną. Budowany latami system kłamstw działał u niego do ostatniej chwili na tyle sprawnie, że prawie oszukał własną rodzinę. Tymczasem jego prawnik przyznał, że materiał dowodowy w jego sprawie jest miażdżący. Mimo że czuliśmy, iż to nasze ostatnie spotkanie, ojciec wciąż próbował ocalić pozory, że „wszystko będzie dobrze". Cieszył się na „wspólną Wigilię". Dlaczego kłamał? Przecież mógł przed śmiercią przyznać, że prowadził podłe życie i że już się nigdy nie zobaczymy. Hans Frank był do końca zakłamany. A o jego zbrodniach kazał nam milczeć. Chciał, aby jego dzieci prowadziły takie tchórzliwe życie jak on.

Wspomniał pan swoją matkę, której poświęcił pan osobną książkę. O ile dzieci nie wiedziały o zbrodniach ojca, o tyle już do Brigitte Frank chyba jednak coś dotarło?

Moja matka nigdy nie wstąpiła do NSDAP i nie lubiła słuchać przemówień mojego taty. Ale oczywiście doskonale wiedziała, czym się on zajmuje i jakie podejmuje decyzje. Tolerowała je, choć chyba przeczuwała, że bezkarność jej męża nie może trwać wiecznie. Pamiętam, gdy mój ojciec był gdzieś w drodze, a mama powiedziała nam, że niedługo będzie musiała sama nas utrzymać. Nie była antysemitką. W Republice Weimarskiej robiła interesy z Żydami, handlując biżuterią i płaszczami. Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację: mój ojciec, wysoki rangą nazistowski urzędnik, który musiał podpisać oświadczenie, że nie utrzymuje żadnych relacji biznesowych z Żydami, wraca do domu pełnego żydowskich kożuchów. Niebawem jednak matka musiała z tym skończyć. W gruncie rzeczy wspierała bowiem mojego ojca. I kiedy Hans Frank zasiadł w Norymberdze na ławie oskarżonych, moja matka nie kryła radości, że koniec końców stał się jednak kimś „ważnym", skoro siedział w pierwszym rzędzie obok Göringa i von Ribbentropa. Niestety nasz rodzinny dramat nie zakończył się wraz z kresem wojny.

Pana trylogię o rodzinie zamyka książka o bracie Normanie, który wprawdzie odczuwał wstręt wobec niecnych czynów ojca, choć przyznał, że nie potrafi go nie kochać. A jak było z pozostałym rodzeństwem?

Kiedy ukazała się książka o naszym ojcu, moi starsi bracia zapłonęli oburzeniem. Nie potrafili pojąć, że śmiem wypisywać o ojcu podobne „wierutne bzdury". Z Normanem kłóciłem się przez całe życie, ale z nim mogłem chociaż normalnie dyskutować. Pozostali bracia i siostry mieli wyraźne problemy z uznaniem prawdy. Jedna z moich sióstr nie chciała czytać książki, a druga już nie żyła. Popełniła samobójstwo, mając 46 lat, bo nie chciała być starsza niż jej tata. Jestem ostatnim z żyjących dzieci Hansa Franka i dziś odnoszę wrażenie, że po wojnie właściwie o niczym innym nie dyskutowaliśmy. Ale wie pan, może akurat ja miałem największy dystans do ojca, bo był też nieprzystępny wobec mnie. Pamiętam, gdy w Belwederze jako czterolatek chciałem go objąć, a on mnie odpychał, zanosząc się śmiechem: „Niklas, ty jesteś obcym dzieckiem, nie należysz do naszej rodziny". On nie żartował, bo zakładał, że jestem dzieckiem Karla Lascha, gubernatora Galicji i rzekomego kochanka mojej matki. W każdym razie dziecko dokładnie pamięta, gdy rodzic nie odwzajemnia miłości. Kiedy zepsułem ojcu jego okulary,

eprasa.pl 1a0018e33b

FOT. ANNA-MARIA WALENTA

Niklas Frank – ur. 9 marca 1939 r., niemiecki pisarz i publicysta. Korespondent wojenny, wieloletni redaktor hamburskiego tygodnika „Stern". Jako reporter często przebywał nad Wisłą. Był jednym z pierwszych zachodnich dziennikarzy, którzy pisali o strajkach na polskim Wybrzeżu. Jest najmłodszym z pięciorga dzieci Hansa Franka, niemieckiego zbrodniarza i generalnego gubernatora okupowanych ziem polskich w latach 1939–1945.

sprawił mi niezłe lanie, choć do dziś czuję z tego powodu radość i dumę.

W RFN wciąż mieszka wielu nazistowskich niedobitków. Ich dzieci albo uporczywie milczą, albo szukają pomocy, bo nie mogą znieść ciężaru winy. Monika Göth, córka Amona Götha, o zbrodniach swojego ojca dowiedziała się dopiero z filmu „Lista Schindlera". Przeszła załamanie nerwowe i wylądowała w psychiatryku. Pan napisał książkę o ojcu w wieku prawie 50 lat, czyli cztery dekady po wojnie. Dlaczego potrzebowaliście tak dużo czasu, aby zmierzyć się z mroczną historią waszych rodzin?

Mam kolegę, którego ojciec był nazistowskim publicystą piszącym rasistowskie artykuły dla gadzinówek w Królewcu i Gdańsku. W powojennej RFN przefarbował się na chadeka. A gdy ostatnio wreszcie umarł, mój przyjaciel ośmielił się na pogrzebie spoliczkować swojego martwego ojca w trumnie. Wywołało to wielki skandal w rodzinie, a jego rodzeństwo się od niego odwróciło. Ta zmowa milczenia jest nadal niezwykle silna. Co do mnie – ja już w wieku 20 lat byłem przekonany, że kiedyś napiszę książkę o ojcu, i zacząłem zbierać materiały. Takie plany dojrzewają przez wiele lat, przy czym u mnie zrodziły się głównie z przekonania, że nie dam sobie przez Hansa Franka zepsuć swojego życia. Chciałem jednak przede wszystkim skończyć 47 lat i mieć świadomość, że pozwolono mi pożyć dłużej niż ojcu.

Polski pisarz Witold Gombrowicz na początku lat 60. zamieszkał w Berlinie Zachodnim. Uderzyła go wtedy niemiecka niefrasobliwość; wszyscy żartowali, korzystali z życia, tak jakby rozpalone kilkadziesiąt lat temu przez Niemców piekło nigdy nie miało miejsca. Niedawno napisał pan książkę o denazyfikacji w RFN, która pana zdaniem przykryła pańskim rodakom widok na rzeczywistość. Czy opieszała rozprawa z historią po 1945 r. odbija się dziś młodym Niemcom czkawką?

Niemiecka młodzież nie musi codziennie zajmować się Holocaustem, ale zauważam u niej brak empatii. Często jestem zapraszany na odczyty w szkołach i próbuję zdobyć uczniów na pewien eksperyment myślowy. Niech na chwilę wczują się w sytuację ofiar: ktoś nagle puka do twoich drzwi, po czym bez chwili wytchnienia musisz z rodzicami wsiąść do ciężarówki, pełnej równie zdumionych osób. Potem wysiadasz na jakimś dworcu i nadal nie wiesz, co się dzieje. Wsiadasz do wagonu bez przedziałów, siedzeń i ubikacji. Pociąg rusza i przez kilka dni stoisz, robiąc pod siebie, nie jedząc i się nie myjąc. Dotarłszy do nieznanego celu, musisz się wtem rozstać ze swoimi rodzicami i zaczynasz sobie uświadamiać, że już nigdy ich nie zobaczysz. Niestety coraz mniej młodych ludzi w tym kraju potrafi się jeszcze wczuć w taką sytuację. Przecież te dzieci nie muszą się czuć winne, ale jako Niemcy muszą się do tego odnieść i przyznać, że ich przodkowie zdobyli się na niepojętą zbrodnię.

Myślę, że to milczenie jest okropne, choć jeszcze nie najgorsze. Gorzej, że ta wieloletnia beztroska owocuje w RFN odrodzeniem nazistowskich szajek. 75 lat po wojnie zasiadają w Bundestagu posłowie, którzy nie mogą patrzeć na pomnik ofiar hitleryzmu, a sędziwi nazistowscy „weterani" bywają traktowani jak bohaterowie. Na saksońskich stadionach kibice wznoszą ksenofobiczne hasła. Kiedyś pan powiedział, że już nigdy nie zaufa swoim rodakom, bo drzemie w nich coś fatalnego, co w każdej chwili może się znów obudzić. Czy znajduje pan dziś potwierdzenie swoich obaw?

Już od lat mówię, że dopóki Niemcy są zamożne, to demokracja im nie przeszkadza. Ale poczekajmy, gdy za parę lat nasz kraj dopadnie bessa gospodarcza. Niestety nie potrafię obiecać, że moi rodacy będą spokojni. Gdy widzę na ulicach hajlujących Niemców, mój martwy ojciec na zdjęciu zaczyna się do mnie uśmiechać, tak jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, Niki, moja śmierć nic nie zmieniła". Antysemityzm pojawia się w wielu krajach, ale tylko my, Niemcy, przećwiczyliśmy go do samego końca i powinniśmy być mądrzejsi. Kiedy pisałem książkę o denazyfikacji, spędziłem wiele miesięcy w archiwach. Myśli pan, że spotkałem tam kogoś równie zainteresowanego swoją rodzinną historią jak ja? Byłem tam niemal całkowicie sam. Większość Niemców woli oddzielić się grubą kreską od przeszłości. Po wojnie nikt z dorosłych nie zachęcał mnie do tego, abym się zajął swoim ojcem. Musiałem zacząć sam.

Jak mogło dojść w cywilizowanym kraju do tak okropnych rzeczy? Co działo się w umysłach pana rodaków, gdy masowo przykładali ręce do tak straszliwej zbrodni?

Proszę zauważyć, że już wcześniej wielu zasłużonych niemieckich twórców, lekarzy i inżynierów z jednej strony wykazywało się geniuszem, a z drugiej prymitywną podatnością na ksenofobię, i to już od średniowiecza. Ale dopiero w połowie XX w. doszło do „uprzemysłowionej" erupcji. Mój ojciec jest tego najlepszym przykładem. Przed wojną był cenionym mecenasem, świetnie wykształconym erudytą ze znakomitą kindersztubą. Dla nowej ideologii potrafił to wszystko porzucić, wygadując jakieś rasistowskie dyrdymały. Zdumiewające, że wśród nas było i jest tyle wybitnych umysłów, zarazem tak prymitywnie utwierdzonych w przekonaniu o rzekomej wyższości swojej „rasy". A jeśli coś się nam nie udaje, to jesteśmy mistrzami w szukaniu winnych spoza naszej wspólnoty.

eprasa.pl 1a0018e33b

STATEK „WOLNA POLSKA" – OAZA NIEPODLEGŁOŚCI W CZASACH ZIMNEJ WOJNY

PRZEZ PÓŁTORA ROKU PO MORZACH I OCEANACH PŁYWAŁ STATEK „WOLNA POLSKA" OWACYJNIE WITANY W PORTACH PRZEZ EMIGRANTÓW, CO WZBUDZAŁO WŚCIEKŁOŚĆ KOMUNISTYCZNEGO REŻIMU. JEGO KAPITANEM BYŁ JAN ĆWIKLIŃSKI, KTÓRY OPUŚCIŁ STERY „BATOREGO" W 1953 r. W TEN SPOSÓB MARYNARZE CHCIELI PRZYPOMNIEĆ ŚWIATU O ZNIEWOLENIU NARODU POLSKIEGO, KTÓRY POZOSTAWAŁ POD SOWIECKĄ OKUPACJĄ

MONIKA MAZANEK-
-WILCZYŃSKA

Ucieczka polskiego kapitana ze statku „Batory" wzbudziła zainteresowanie opinii publicznej na całym świecie. Thomas P. Ronan napisał 24 czerwca 1953 r. w dzienniku „New York Times": „23 czerwca kpt. Ćwikliński i lekarz pokładowy ze statku »Batory«, na którym Gerhard Eisler urodzony w Niemczech komunistyczny przywódca uciekł z USA w 1949 r., opuścił swój statek szukając azylu w Wielkiej Brytanii. Eisler, były agent Kominternu, przebywał na »Batorym« w maju 1949 roku, po tym jak zapłacił 23 500 dolarów kaucji i wyszedł z aresztu, gdzie trafił pod zarzutem krzywoprzysięstwa. Kiedy statek przycumował w Southampton, został po walce aresztowany przez Scotland Yard, który działał w porozumieniu z amerykańskim Departamentem Stanu. Polacy z kpt. Ćwiklińskim oświadczyli wówczas, że Eislera nie wydadzą. Zmienili zdanie, kiedy zagrożono, że wypłynięcie statku zostanie opóźnione".

Ostrzeżony

„Ćwikliński, lat 57, spędził większość wojny w niemieckim obozie w Holandii. Został tam wysłany przez brytyjskie ministerstwo, by sprowadzić statek, ale Niemcy właśnie zajęli Holandię i wpadł w ich ręce. 23 czerwca Ćwikliński został odznaczony przez komunistyczną

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 1a0018e33b

Polskę za udzielenie Eislerowi pomocy w ucieczce".

Eisler był agentem Kominternu, który pracował dla ZSRR w Chinach, Stanach Zjednoczonych i we Francji. Co ciekawe, Eisler stanął przed brytyjskim sądem i został dwukrotnie uniewinniony. Po wielu przygodach dotarł do NRD, gdzie przez wiele lat był szefem propagandowego radia.

Tymczasem John King w brytyjskim, konserwatywnym tabloidzie „Daily Express" jako główny motyw ucieczki Ćwiklińskiego wskazuje strach przed „czerwonym terrorem". „»Zostałem ostrzeżony, co się stanie, kiedy wrócę do Polski po swoim rejsie. Moja ucieczka nie była planowana. Ja chciałem wracać. Byłbym aresztowany i oskarżony«. Kapitan Jan nigdy nie wstąpił do partii komunistycznej, choć był do tego namawiany wiele razy. »Powiedziałem im, że jestem za starą jabłonią, żeby rodzić gruszki« – skomentował. I wyjaśnił, że był kapitanem, kiedy »Batory« zabrał na pokład komunistę Gerharda Eislera z Ameryki. »Ja nie miałem w tym udziału. Nawet nie wiedziałem, że on był na pokładzie, kiedy opuściliśmy Nowy Jork«".

Pod nową banderą

Dwa lata później kpt. Ćwikliński spotkał się z gen. Andersem, a londyński „Dziennik Polski" z 5 stycznia 1956 r. donosił: „Firma żeglugowa Pułaski Transport Line przejmie na wschodnim wybrzeżu USA, prawdopodobnie w Nowym Jorku, statek o wyporności 10 tys. ton i obsadzi go 38-osobową polską załogą z byłym kapitanem »Batorego« na czele. Większość załogi będą stanowili marynarze, którzy w latach powojennych zbiegli z Polski. Statek będzie pływał pod banderą panamską. Flaga firmy przypomina przedwojenną flagę Polskiej Marynarki Handlowej. Na środku Orzeł Biały w koronie. Firma Pułaski Transport Line powstała we wrześniu. To firma prywatna o kapitale pół miliona dolarów. Współwłaścicielami firmy są Amerykanie polskiego pochodzenia: Franciszek Piasecki (właściciel fabryki helikopterów), sędzia Feliks Piekarski, Walter Guzewicz – właściciel fabryki pod Filadelfią, Artur Górski – dyrektor koncernu. Centrala firmy mieści się w Filadelfii. S/s »Wolna Polska« jest statkiem towarowym, który kursować będzie między Europą a Ameryką. Uposażenie marynarzy zbliżone będzie do stawek amerykańskich. Marynarz zarabiać będzie 225 dolarów. Mundury marynarzy »Wolnej Polski« będą przedwojennymi mundurami oficerów i marynarzy Polskiej Marynarki Handlowej".

FLAGA FIRMY PRZYPOMINA PRZEDWOJENNĄ FLAGĘ POLSKIEJ MARYNARKI HANDLOWEJ. NA ŚRODKU ORZEŁ BIAŁY W KORONIE

Pierwszy rejs „Wolnej Polski" odbił się szerokim echem w prasie światowej. Gazety amerykańskie i zachodnioeuropejskie zamieszczały zdjęcia załogi ubranej w swetry z napisami „Wolna Polska" na piersiach. Komentarze były życzliwe i pełne zachęty. Projekt przywrócenia wolnej flagi na morzach i oceanach zrodził się w Związku Oficerów PMH w USA. Organizacja ta powstała w Gdyni przed wojną, została przeniesiona w czasie II wojny do Londynu, gdzie nadal działała. Amerykański oddział Związku powstał 7 grudnia 1952 r.

Duma Polonii

Sam kpt. Ćwikliński napisał do gazety „Ostatnie Wiadomości" wydawanej w RFN w kwietniu 1956 r.: „Wyruszyliśmy w tę naszą pierwszą podróż z Norfolk do Genui odprowadzani i błogosławieni przez starą i nową emigrację w Stanach, a prasa angielskojęzyczna wyrażając się o nas z podziwem, z pewnym zaciekawieniem śledziła nasze kroki. Wiedzieliśmy, że w każdym porcie świata zwrócą się na nas oczy obcych i naszych rodaków, których my także przecież reprezentujemy. Trzeba było pokazać, że jesteśmy zorganizowani, zdyscyplinowani i rozumiemy cele, do których dążymy. I tu nasza załoga zdała całkowicie egzamin i pokazała, że wie, dlaczego znaleźliśmy się na Zachodzie, porzucając reżimowe statki".

W Genui przywitała ich Polonia i włoska prasa: „Wyobrażaliśmy sobie, jak rosły serca naszej emigracji tutejszej i jak z dumą mogli powiedzieć swoim włoskim przyjaciołom: »To nasz okręt – okręt wolnych Polaków«".

Drugiego dnia w Genui przybył na statek abp Józef Gawlina. Było przyjęcie przez włoską generalicję w hotelu Plaza, a następnego dnia na pokładzie gościł ambasador przy Kwirynale, który wręczył błogosławieństwo papieża dla przedsięwzięcia i załogi statku.

Kpt. Ćwikliński notował: „Wyjeżdżając z Genui, miałem przekonanie, że położyliśmy pierwszą cegiełkę pod budowę gmachu, któremu na imię Wolność. Wiemy, że to daleka i żmudna droga przed nami na obczyźnie, ale świadomość, że idziemy naprzód, choćby takimi małymi posunięciami jak nasza podróż, daje ducha całej naszej emigracji rozsianej po całym świecie".

Po powrocie do Filadelfii na marynarzy czekały listy z całego świata. Polonia filadelfijska przywitała ich gorąco. Kolejna podróż to Francja. „Powiemy im, jak reżim dotrzymuje obietnic, co zrobiono z dzielnymi żołnierzami AK" – obiecuje kapitan. „Powiemy im że jeszcze nie czas na powrót".

Komunistyczny reżim w Warszawie poprosił o wsparcie francuskich komunistów, którzy w porcie Le Havre zablokowali nabrzeże, nie chcąc rozładować statku. Udało się to dopiero po kilku dniach.

W jeden z rejsów na pokład zabrano dziennikarza Stanisława Zybałę. Ten notował: „Kilkanaście dni na pokładzie »Wolnej Polski« objawiło mi przebogatą galerię typów, ciekawych pod każdym względem, a zwłaszcza polskim i marynistycznym. Niektóre z tych typów znikną za parę czy kilkanaście lat bezpowrotnie: pierwsi marynarze Polski niepodległej, byli wychowankowie, niemieckiej, rosyjskiej i austriackiej Marynarki Handlowej oraz ich wychowankowie: pierwsi absolwenci Polskiej Szkoły Morskiej. Żyją jeszcze w pamięci naszych morskich wilków czasy, gdy nierzadko z mostku kapitańskiego szedł na pokład do maszyn rozkaz: »Niemnożko wpieriod«, na co zdenerwowany mechanik odpowiadał: »Verflucht nochmal Donnerwetter! Was soll es bedeuten?«".

»

eprasa.pl 1a0018e33b

Pomoc Węgrom

W Antwerpii (kwiecień 1956 r.) czekali na nich Polonia i przedstawiciel Radia Wolna Europa. Prasa holenderska i belgijska oblega statek. W porcie stoją reżimowe: „Pułaski" i „Wigry". Ambasador PRL przesłał załogom statków ostrzeżenie, by się nie spotykać z marynarzami z „Wolnej Polski". Wracają do Hampton Road. W rzece mija ich reżimowy statek „Jastarnia". Jak wspomina kpt. Ćwikliński: „Marynarze z »Wolnej Polski« wołają: »jak się macie chłopaki? co u was słychać?« A na pokładzie cisza. Ślą nieme spojrzenia. Reżimowe statki to milczące groby dla marynarzy, gdzie nawet tonąc trzeba milczeć, jak było na »Stalowej Woli«".

Stanisław Zybała notował: „Reprezentują nas jednak wspaniale. I tak już do znudzenia opowiadamy na ponuro naszym przyjaciołom o polskiej krzywdzie, Monte Cassino i Jałcie. Nasi chłopcy przypomnieli obcym o polskiej krzywdzie i niewoli, ale anegdotą i dykteryjką, pokazującą we właściwym świetle »sowiecką kulturę«, stosunki za żelazną kurtyną, sowieckich satrapów i parweniuszowskie maniery kacyków »Polski Ludowej«. Proszę mi wierzyć, że daje to lepsze rezultaty od patetycznych wywiadów prasowych, i przemówień naszych generałów i zbyt licznych opatrznościowych, we własnym mniemaniu, mężów stanu".

Z silnego megafonu portowego w Rotterdamie zabrzmiało serdeczne pożegnanie i zaproszenie: „Panie kapitanie Ćwikliński, pomyślnych wiatrów dla pana i załogi »Wolnej Polski«. Wracajcie do Rotterdamu z powrotem. Niech was Bóg błogosławi".

„Wolna Polska" przewiozła także Węgrów w grudniu 1956 r. do Ameryki. Kapitan zanotował: „30 listopada otrzymaliśmy zapytanie, ilu możemy wziąć uciekinierów z Węgier z portu w Antwerpii? Załoga statku oddała swoje kabiny. Zabrano 15. Samolot przywiózł ich z Wiednia do Brukseli. 7 mężczyzn, 4 kobiety i czworo dzieci w wieku od 2 do 4 lat. Nie mieli żadnego bagażu. Przez 15 dni pokonali 3,5 tys. mil morskich na pokładzie »Wolnej Polski«".

W 1957 r. po półtorarocznej żegludze i polskim Październiku Frank Piasecki i kpt. Jan Ćwikliński wycofali się z Towarzystwa Żeglugowego. Firmę zlikwidowano, a statek przestał pływać. Sam Ćwikliński zamieszkał w USA.

Zmarł na zawał serca w 1976 r. w swoim mieszkaniu w hiszpańskiej Maladze. Pochowany został w polskiej Częstochowie w USA.

Załogę statku „Wolna Polska" stanowili:

kapitan Jan R. Ćwikliński;

I oficer Hilary Mikosza – były kpt. „Cieszyna" i „Tobruku" – opuścił reżimowy statek w Liverpoolu i pływał później na statkach w Anglii;

II oficer Marian Szurmiński – pływał w czasie wojny na „Lechistanie", po wojnie pozostał w Anglii;

III oficer Mieczysław Kociejowski – w 1939 r. brał udział w walkach z Niemcami na Oksywiu, dostał się do niewoli, uciekł za Bug, wywieziony do Rosji w okolice Irkucka, w 1942 r. z polską armią pojechał do Anglii, do polskiej marynarki, następnie opuścił statek „Opole" w Baltimore, gdy statek wydany został reżimowi;

naczelny inżynier Henryk Nikitin – pływał w czasie wojny na „Batorym", „Sobieskim", „Pułaskim", nie wrócił do Polski, mieszkał w USA;

pierwszy inżynier Jan Nowosielski – pływał w czasie wojny na „Roburze", nie wrócił do Polski, mieszkał w USA;

drugi inż. Władysław Rutkowski – pozostał po wojnie na uchodźstwie;

trzeci inż. Władysław Hlebko – opuścił reżimowy statek w Anglii i mieszkał w Belgii;

radiooficer Zygmunt Piłat – nie wrócił do Polski po wojnie;

ochmistrz Czesław Jankiewicz – mieszkał po wojnie w USA;

bosman Józef Taszarek – nie wrócił po wojnie do Polski, mieszkał w Anglii;

cieśla Michał Jasiński – nie wrócił po wojnie do kraju;

starsi marynarze:
Wacław Szwarc – nie wrócił po wojnie do Polski, mieszkał w USA;
Zygmunt Ropicki i Wacław Kolczyński – zeszli ze statku „Bąk" w Anglii;
Edmund Jeleniewski – zszedł z „Puszczyka";
Antoni Kopacz – zszedł ze statku w Anglii;

marynarze:
Michał Rozak – zszedł z „Batorego" w Anglii;
Józef Drabus – zszedł ze statku w Anglii;
Jan Radziszewski – zszedł z „Puszczyka";
Wojciech Romanowski – zszedł z reżimowego statku w Anglii;
Stanisław Mazur – zeskoczył z „Daru Pomorza" do wody w Gibraltarze;
palacz Bolesław Skorobaty – mieszkał po wojnie w USA;
Jerzy Chudzyński – zszedł ze statku w Anglii;
Tadeusz Motyka – po wojnie nie wrócił do Polski z Anglii;
smarownik Józef Makowski – mieszkał w USA;
Franciszek Woronicz – zszedł ze statku w Anglii;
Michał Skinder – zszedł ze statku w USA;
Adam Żyłowski – po wojnie mieszkał w USA;
Władysław Pajdzik – zszedł ze statku w Anglii;
Władysław Łukawski – zszedł w Anglii z „Lecha" i mieszkał później w Kanadzie;
wycieracz Roman Knop – zszedł ze statku w Anglii;
kucharz Stanisław Olszewski – po wojnie pozostał w Anglii;
II kucharz Stanisław Zajkowski – po wojnie pozostał w USA;
steward Ludwik Osiński – pozostał po wojnie w Anglii.

25 września 1956 r. w porcie w Norfolk do załogi przyjęto jednego z marynarzy ze statku zatrzymanego przez Chińczyków na Formozie w roku 1953. **Starszy marynarz Adam Bednarek** otrzymał prawo stałego pobytu w USA dzięki staraniom Polskiego Komitetu Imigracyjnego i był pierwszym „formoziakiem" w załodze.

eprasa.pl 1a0018e33b

1942 PRZEŁOMOWY ROK DLA POPKULTURY

PAWEŁ SKIBIŃSKI

W czwartym roku wojny światowej Stany Zjednoczone uczestniczyły w niej zarówno na froncie antyjapońskim na Dalekim Wschodzie, jak i w Europie oraz Afryce Płn., gdzie brały udział w działaniach skierowanych przeciwko Niemcom i Włochom. Jednak społeczeństwo amerykańskie – w przeciwieństwie np. do Brytyjczyków – żyło w znacznej mierze z dala od problemów związanych z realiami wojennymi. Zupełnie normalnie rozwijała się m.in. amerykańska kultura popularna. Rok 1942 związany był z kilkoma produkcjami, które przeszły do historii kultury masowej XX w.

Jeśli chodzi o muzykę rozrywkową, to w tym właśnie roku swój najbardziej znany przebój nagrał Bing Crosby. Ten słynny piosenkarz pochodzenia irlandzkiego, mający wówczas 39 lat, zaśpiewał wówczas po raz pierwszy „White Christmas" do słów i muzyki Irvinga Berlina – z pochodzenia rosyjskiego Żyda. Crosby za „Białe Boże Narodzenie" dostał w następnym roku Oscara, ponieważ utwór został uznany za najlepszą piosenkę filmową, ale był to zaledwie początek. „White Christmas" utrzymywało się przez 20 lat (do 1962 r.) w czołówce listy przebojów tygodnika „Billboard". Wkrótce stało się też najlepiej sprzedawanym singlem w dziejach całej muzyki rozrywkowej. Do dziś każdy szanujący się piosenkarz ma w swym dorobku przynajmniej jedną wersję tej znanej piosenki.

W dziedzinie filmu zaś w 1942 r. powstał jeden z najsłynniejszych filmów wszech czasów – wyprodukowana przez studio Warner Bros Pictures „Casablanca" w reżyserii Michaela Curtiza. Ten reżyser – Węgier żydowskiego pochodzenia – miał na koncie m.in. komunistyczne filmy agitacyjne podczas rewolucji węgierskiej. W rolach głównych występują niezapomniani Humphrey Bogart (jako Rick Blaine) oraz szwedzka aktorka Ingrid Bergman (jako Ilsa Lund). Film, choć opowiada o Afryce Północnej, został zrealizowany oczywiście w całości w Ameryce. Zdjęcia do niego trwały zaledwie trzy miesiące (od maja do sierpnia 1942 r.), a budżet – niezbyt wysoki jak na ówczesne stosunki – niewiele przekroczył milion dolarów.

„Casablanca" dostała trzy Oscary – za najlepszy film, za najlepszą reżyserię, a także za najlepszy scenariusz adaptowany. W miarę upływu czasu sława filmu rosła, zajął on np. drugie miejsce na liście najlepszych filmów w całej historii Amerykańskiego Instytutu Filmowego. Jednak najbardziej dziś chyba pamiętani przez publiczność Bogart i Bergman Oscarów za swe role nie dostali...

„Casablanca" była oceniana przez Akademię Filmową dopiero w 1944 r., tymczasem inny z filmów zrealizowanych w 1942 r. – „Pani Miniver" w reżyserii Williama Wylera – już w 1943 r. otrzymał aż sześć statuetek. Budżet tego filmu, zrealizowanego przez MGM, był wyraźnie większy niż „Casablanki". Wylera kojarzymy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Humphrey Bogart i Ingrid Bergman na planie filmu „Casablanca"

w Polsce lepiej z powojennych tytułów takich jak „Ben Hur" oraz „Rzymskie wakacje", jednak to za „Panią Miniver" otrzymał on swego pierwszego Oscara za reżyserię. „Pani Miniver" opowiada o życiu średniozamożnej brytyjskiej rodziny, żyjącej wygodnie i bezpiecznie na przedmieściach Londynu, która zostaje uwikłana w II wojnę światową. W filmie obserwujemy m.in. finałową tragedię, jaką jest śmierć żony młodego Minivera, brytyjskiego pilota, zabitej w wyniku niemieckiego nalotu. Do historii kina przeszło kazanie pastora z tego filmu, w którym padają finałowe słowa: „To nasza wojna. My na niej walczymy. Zatem walczmy! Walczmy z całych sił! I niech Bóg zdoła obronić to, co prawe!". Słowa te były często wykorzystywane przez prezydenta Franklina D. Roosevelta jako wezwanie poruszające Amerykanów do zaangażowania się w wojnę, z którą wielu z nich dotąd się wcale nie utożsamiało.

O ile więc piosenkę Crosby'ego można uznać za arcydzieło kultury masowej nieuwikłane przesadnie w doraźny kontekst, o tyle już „Pani Miniver" była bez wątpienia częścią amerykańskiej propagandy wojennej. Wspominana „Casablanca" także miała w sobie oczywiste elementy propagandowe. Była filmem antynazistowskim, wzywającym w dodatku do poświęcenia swoich prywatnych celów na rzecz moralnie słusznego zwalczania zła niemieckiego nazizmu. Tak zachowuje się główny bohater grany przez Bogarta.

Jednak można chyba powiedzieć, że są w niej również elementy oswajające Amerykanów z wątpliwym moralnie sojuszem ze Związkiem Sowieckim – przecież Rick jest weteranem wojny domowej w Hiszpanii, gdzie także walczył z faszyzmem u boku stalinowskich oficerów. W „Casablance" przekaz ten znajduje się w tle głównego przesłania filmu. Natomiast stanie się on motywem przewodnim innego filmu z udziałem Ingrid Bergman – zrealizowanego zaledwie rok później „Komu bije dzwon", którego akcja dzieje się właśnie w Hiszpanii, a jej partner – Gary Cooper – wcieli się w rolę szlachetnego komunistycznego sabotażysty. Nie powinno nas to jednak dziwić, gdyż Ernest Hemingway, autor powieści, na podstawie której nakręcono film, był przecież związany z działalnością sowieckiego wywiadu.

eprasa.pl 1a0018e33b

CZYN NIEPODLEGŁOŚCIOWY POLSKIEGO ZIEMIAŃSTWA

Członkowie Rady Regencyjnej: książę Zdzisław Lubomirski, arcybiskup Aleksander Kakowski i hrabia Józef Ostrowski przed intromisją

MARCIN SCHIRMER

JESTEŚMY ŚWIADKAMI DONIOSŁEJ ROCZNICY 100-LECIA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI. ROLA, JAKĄ ODEGRALI W TYCH WYDARZENIACH ZIEMIANIE, JEST ZASKAKUJĄCO MAŁO ZNANA I DOCENIANA. WARTO WYKORZYSTAĆ TĘ OKAZJĘ, ŻEBY PRZYPOMNIEĆ ICH AKTYWNOŚĆ W TYCH PRZEŁOMOWYCH CHWILACH

Wciąż żywe tradycje powstań narodowych oraz pragnienie odbudowy niepodległej ojczyzny sprawiły, że przedstawiciele środowiska ziemian licznie uczestniczyli w różnych organizacjach społecznych i niepodległościowych zarówno jawnych, jak i tajnych. Warstwa ta stanowiła ówczesną elitę narodu, wyrastającą ponad przeciętny poziom społeczeństwa, ludzi najlepiej wykształconych, posiadających rozwiniętą świadomość narodową oraz zaplecze materialne, aby swoje cele realizować. Środowisko to cieszyło się również wysokim prestiżem w społeczeństwie. Ale bycie elitą to nie tylko prestiż i przywileje, ale także, a może przede wszystkim, konieczność służby państwu i narodowi, co przedstawiciele tej warstwy doskonale rozumieli.

Aktywności tej grupy nie należy ograniczać jedynie do bezpośredniego zaangażowania w walkę zbrojną. Na uwadze trzeba mieć także inne obszary działalności, jak udział w paramilitarnych i patriotycznych organizacjach konspiracyjnych, zaangażowanie się w działalność polityczną i dyplomatyczną oraz zakładanie i prowadzenie instytucji i organizacji społecznych niosących pomoc charytatywną ofiarom wojny. W poniższym artykule ograniczę się do pewnych wybranych przykładów.

Działalność społeczna i charytatywna

Środowisko ziemiańskie stworzyło pod zaborami wiele instytucji i organizacji, których celem była ochrona polskiego stanu posiadania, rozwój rodzimego rolnictwa i edukacji na wsi, szerzenie kultury i wspieranie osób biednych oraz poszkodowanych przez los. Najważniejsze z nich to Związek Ziemian i Centralne Towarzystwo Rolnicze. Po wybuchu wojny istniejące struktury zostały wykorzystane do działań zmierzających do odzyskania przez Polskę niepodległości. Nieprzypadkowo Ignacy J. Paderewski, który przybył w grudniu 1918 r. do Polski, powitany został w Gdańsku przez Marię Chełkowską wywodzącą się ze znanej wielkopolskiej ziemiańskiej rodziny zaprzyjaźnionej z mistrzem. W Poznaniu pianista zatrzymał się w hotelu Bazar. Tam z balkonu wygłosił pamiętne przemówienie do zgromadzonych tłumów, które stało się iskrą powodującą wybuch powstania wielkopolskiego. Poznański Bazar został wzniesiony pod koniec XIX w. jako wspólne przedsięwzięcie tamtejszych ziemian, wspartych przez lokalnych

FOT. NAC x3

eprasa.pl 1a0018e33b

mieszczan i przemysłowców. Miejsce to stało się ostoją polskości i siedzibą wielu polskich instytucji gospodarczych i społeczno-kulturalnych podczas zaborów.

Po wybuchu wojny w 1914 r. z inicjatywy środowisk ziemiańskich utworzono Centralny Komitet Obywatelski. Jego zadaniem było niesienie pomocy ofiarom wojny, zarówno wojskowym, jak i cywilom. W tym celu zakładano

Byli też tacy ziemianie w 1920 r., którzy formowali własne oddziały ochotnicze – na ich czele stawiali się na froncie

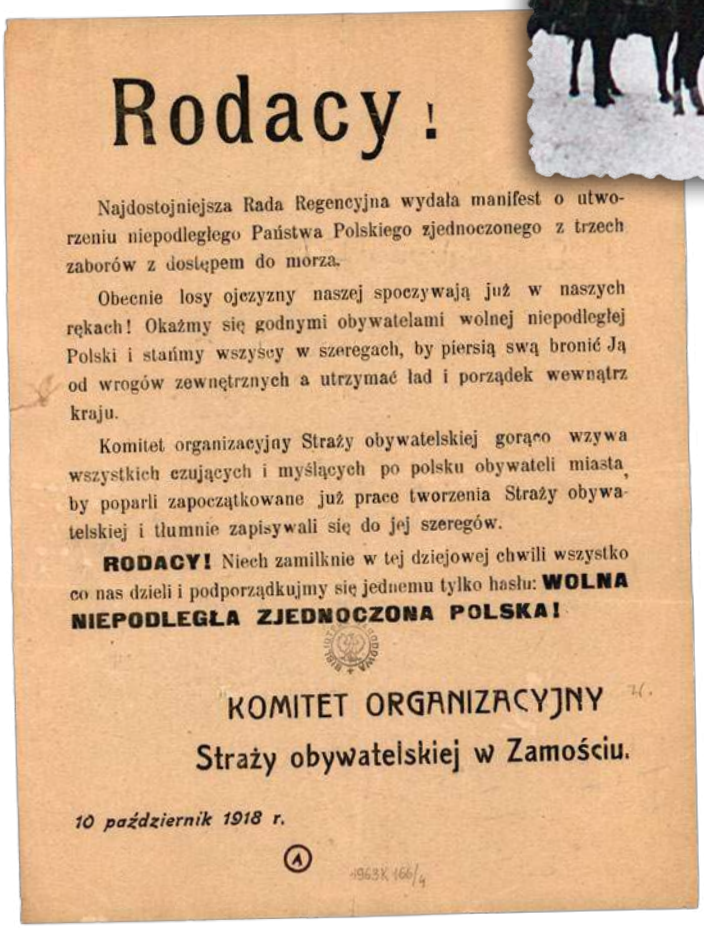

Rodacy!

Najdostojniejsza Rada Regencyjna wydała manifest o utworzeniu niepodległego Państwa Polskiego zjednoczonego z trzech zaborów z dostępem do morza.

Obecnie losy ojczyzny naszej spoczywają już w naszych rękach! Okażmy się godnymi obywatelami wolnej niepodległej Polski i stańmy wszyscy w szeregach, by piersią swą bronić Ją od wrogów zewnętrznych a utrzymać ład i porządek wewnątrz kraju.

Komitet organizacyjny Straży obywatelskiej gorąco wzywa wszystkich czujących i myślących po polsku obywateli miasta, by poparli zapoczątkowane już prace tworzenia Straży obywatelskiej i tłumnie zapisywali się do jej szeregów.

RODACY! Niech zamilknie w tej dziejowej chwili wszystko co nas dzieli i podporządkujmy się jednemu tylko hasłu: **WOLNA NIEPODLEGŁA ZJEDNOCZONA POLSKA!**

KOMITET ORGANIZACYJNY
Straży obywatelskiej w Zamościu.

10 październik 1918 r.

Rada Regencyjna była organem, który ogłosił niepodległość Polski i w listopadzie 1918 r. przekazał pełnię władzy Józefowi Piłsudskiemu

ochronki i szpitale oraz jadłodajnie i schroniska dla poszkodowanej ludności. Rozdawano żywność, odzież i zapomogi. Swoją działalnością ogarnął nie tylko teren Królestwa Polskiego, ale także tzw. gubernie zabrane.

Prezesem CKO został Seweryn ks. Czetwertyński, wiceprezesem zaś Władysław Grabski. W 1916 r. prezesurę objął Zdzisław ks. Lubomirski. Po wkroczeniu wojsk niemieckich w 1915 r. CKO został rozwiązany, a w jego miejsce powołano Radę Główną Opiekuńczą. Prezesem Rady Nadzorczej RGO został Stanisław Dzierzbicki, a później Eustachy ks. Sapieha, a prezesami ZG byli kolejno Adam hr. Ronikier i Stanisław Staszewski. Także zdecydowana większość działaczy terenowych wywodziła się ze sfer lokalnego ziemiaństwa, które przejmowało inicjatywę i zakładało struktury tej organizacji.

Działalność wojskowa

Ziemianie masowo zgłaszali się do służby wojskowej w powstających formacjach zbrojnych na całym polskim terytorium. Szczególna mobilizacja tego środowiska nastąpiła w 1920 r., kiedy zagrożone było istnienie niedawno odrodzonego państwa polskiego. Na nadzwyczajnym zjeździe Związku Ziemian wezwano wszystkich członków, zdolnych do służby wojskowej, do wstępowania na ochotnika w szeregi Armii Ochotniczej. Polecono także, by wszyscy ziemianie oddali 5 proc. posiadanych koni dla wojska oraz opodatkowali się dobrowolną składką od każdej posiadanej morgi ziemi.

Do wojska zgłosiła się większość młodzieży z tego środowiska. Według sprawozdania Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich spośród zrzeszonych w Związkach Ziemian w 1920 r. 5400 ziemian 2106, czyli 40 proc., służyło w Wojsku Polskim. 390 z nich odznaczono Orderem Virtuti Militari lub Krzyżem Walecznych. Symptomatyczna była wysoka nadreprezentacja tego środowiska, w stosunku do całego społeczeństwa, w armii. Udział ogółu ludności w Wojsku Polskim wynosił 0,52 proc., podczas gdy ziemian było 7,5 proc., czyli prawie 16 razy więcej. Niektóre terenowe oddziały Związku Ziemian, np. radomski, grójecki, radomszczański, zamojsko-biłgorajski, janowski, lubelski, puławski i siedlecki, wystawiły własnym staraniem w pełni wyekwipowane i uzbrojone szwadrony kawalerii.

Byli też tacy, którzy formowali własne oddziały ochotnicze – na ich czele stawiali się na froncie. Stanisław hr. Mycielski z Wrześni ogłosił nabór do Legii Ochotniczej Wrzesińskiej. Sformowany z ochotników oddział liczył 800 ludzi, którzy następnie wyruszyli przeciw bolszewikom. Stanowiło to nawiązanie do czasów I Rzeczypospolitej i tradycji przodków, kiedy ówczesne rycerstwo stawało w polu »

eprasa.pl 1a0018e33b

» z własnymi hufcami. Związki Ziemian zorganizowały i wystawiły także szpital polowy Polskiego Czerwonego Krzyża. Publikacja „Kawalerowie Virtuti Militari" podaje odznaczenia przyznane w latach 1914–1921. Z ogólnej liczby 436 odznaczonych ziemian było 73, to znaczy 17 proc.

Ulubionym rodzajem wojska tego środowiska była kawaleria, co było oczywiste wobec wciąż żywych rycerskich tradycji oraz zamiłowania do hodowli wierzchowców. Ziemianie doskonale jeździli konno, posługiwali się bronią białą i palną, dzięki czemu proces szkolenia mógł być skrócony do minimum. Umiejętności te były potem wykorzystywane na polu walki. Poza tym do wojska zgłaszali się na własnych koniach z rzędami, pełnym wyposażeniem i uzbrojeniem. Niektóre pułki ułańskie były wręcz zdominowane przez ziemiańskich synów, czego odzwierciedleniem były żurawiejki, krótkie przyśpiewki charakteryzujące poszczególne kawaleryjskie jednostki. 7 pułk ułanów miał taką: „Siódmy pułk, wszak wszyscy wiecie, to Beliny drugie dziecię". 8 pułk ułanów śpiewał tak: „Ósmy zdobi nam salony. same grafy i barony". Z kolei 17 pułk: „Zbiorowisko wielkich panów siedemnasty pułk ułanów", lub w innej wersji: „Jaśniepański i ziemiański, siedemnasty pułk ułański".

Powyższe przykłady dotyczyły szczebla niższych jednostek taktycznych, oddziałów i pułków. Ale podobne zjawisko dużej nadreprezentacji udziału ziemian w strukturach wojskowych obserwujemy na szczeblu dowódczym. Podczas wielkiej wojny istniały trzy wielkie polskie zgrupowania wojskowe: Legiony Polskie, Błękitna Armia oraz Korpus Polski w Rosji. Wszystkie te formacje dowodzone były przez przedstawicieli tego środowiska. Odpowiednio: Józefa Piłsudskiego, Józefa Hallera i Józefa Dowbor-Muśnickiego. Z kolei podczas Bitwy Warszawskiej w 1920 r., która miała przełomowe znaczenie dla ocalenia polskiej państwowości, naczelnym wodzem był Józef Piłsudski, a szefem Sztabu Generalnego gen. Tadeusz Rozwadowski.

Działalność polityczna

Wyjątkowa aktywność polityczna niezliczonej liczby komitetów działających zarówno przed wielką wojną, jak i w jej trakcie odegrała bardzo ważną rolę w procesie powstawania przyszłego państwa polskiego. Ograniczę się do dwóch przykładów instytucji politycznych: Rady Regencyjnej i Komitetu Narodowego Polskiego.

Powstała w 1917 r. RR miała stanowić organ władzy zwierzchniej w Królestwie Polskim. To właśnie RR ogłosiła niepodległość Polski i następnie przekazała w listopadzie 1918 r. pełnię władzy J. Piłsudskiemu. W jej skład wchodzili: Zdzisław ks. Lubomirski, abp Aleksander Kakowski i Józef hr. Ostrowski. Z trzech przedstawicieli tego organu jeden reprezentował kler, pozostali dwaj wywodzili się z arystokracji.

SYMPTOMATYCZNA BYŁA WYSOKA NADREPREZENTACJA ŚRODOWISKA ZIEMIAŃSKIEGO W ARMII ODRADZAJĄCEJ SIĘ POLSKI

Inną niezwykle ważną organizacją polityczną, działająca poza granicami kraju, był Komitet Narodowy Polski, założony w 1917 r. przez Romana Dmowskiego. Komitet podczas Kongresu Wersalskiego stanowił oficjalną reprezentację władz RP, która została upoważniona do podpisania traktatu pokojowego. Jego przedstawiciele zabiegali o jak najkorzystniejszy przebieg granic i o pomoc gospodarczą oraz wojskową dla naszego kraju.

W skład KNP początkowo wchodzili: Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski, Erazm Piltz, Stanisław Kozicki, Marian Seyda, Maurycy Zamoyski oraz Jan Emanuel Rozwadowski. Podczas Kongresu dokooptowano m.in.: Konstantego Skirmunta, Władysława Sobańskiego, Józefa Wielowieyskiego oraz Władysława Grabskiego. I znowu wśród członków tego organu zdecydowaną większość stanowili przedstawiciele ziemian. Osobą najważniejszą, oprócz oczywiście przewodniczącego, był jego zastępca Maurycy hr. Zamoyski, późniejszy kandydat na stanowisko prezydenta RP. Z racji swej pozycji posiadał on rozległe kontakty towarzyskie i cieszył się poważaniem u zagranicznych przywódców. Nie tylko negocjował przyszłe losy Polski, ale także finansował prace Komitetu.

FOT. NAC

Zdzisław książę Lubomirski, członek Rady Regencyjnej

Ciesząc się dziś z odzyskania niepodległości, nie wolno zapominać o daninie krwi, jaką na ołtarzu ojczyzny złożyły tysiące ziemian. Dla sprawy wyzwolenia Polski z wieloletniej niewoli gotowi byli poświęcić nie tylko majątek, ale także złożyć ofiarę z życia. Kierowali się zasadą, że posiadana pozycja społeczna rodzi przede wszystkim obowiązki. Celnie wyraził to Wincenty Lutosławski, mówiąc: „Wyższe urodzenie pociąga za sobą przede wszystkim większe obowiązki, a nie tylko przywileje". Środowisko ziemiańskie spełniło swój obywatelski i patriotyczny obowiązek, walnie przyczyniając się nie tylko do odzyskania przez Polskę niepodległości, ale także do obrony jej bytu państwowego.

eprasa.pl 1a0018e33b

Walka z Kościołem wczoraj i dziś

WACŁAW LESZCZYŃSKI

Prymas Polski ks. kard. Stefan Wyszyński głosi homilię podczas uroczystej sumy milenijnej, 19 czerwca 1966 r.

FOT. NAC

O wrocławskich uroczystościach 20. rocznicy przyłączenia Ziem Zachodnich do Polski.

W końcu sierpnia 1965 r. otrzymałem (zapewne od ks. Aleksandra Zienkiewicza, duszpasterza akademickiego) program uroczystości obchodów 20-lecia Kościoła polskiego na Ziemiach Zachodnich. Wybraliśmy się 31 sierpnia na pl. Katedralny, gdzie na świeżym powietrzu miały się odbyć te uroczystości z udziałem prymasa Wyszyńskiego. Danusia chciała na nie wziąć Olesia, żeby i on to zobaczył. Z trudem, z pomocą Mamy, wybiłem jej to z głowy. Obawiałem się tłoku, a i tak mały, trzyletni Oleś niewiele zobaczy, a jeszcze mniej zrozumie, będzie to długo trwało, on się zmęczy, znudzi, a jeszcze może złapać w tłoku jakąś infekcję.

Z okazji tych obchodów władze państwowe robiły wszystko, żeby było na nich jak najmniej uczestników. Na stadionach, mimo że był to dzień powszedni – środa, miały być imprezy sportowe ze wstępem wolnym. Organizowano również inne imprezy rozrywkowe, festyny itp., pewnie pod pretekstem ostatniego dnia wakacji. Wychodząc z uczelni, zobaczyłem w holu afisz z odręcznym napisem: „Choćby się z nieba wódka lała, chodźmy witać kardynała!”. Widać zdrową reakcję studentów na działanie władzy. Do Wrocławia zaczęły zjeżdżać z różnych miast autobusy zakładów pracy, przywożące pracowników na zapowiedziane mecze i festyny. Tymczasem większość tych ludzi szła na pl. Katedralny. Tak to zła wola władz potrafiła się obrócić w dobro. Gdyby nie antykościelna akcja, wielu ludzi nie miałoby możliwości uczestniczyć w kościelnych uroczystościach.

Choć poszliśmy w miarę wcześnie, to z wielkim trudem dopchaliśmy się z Danusią pod seminarium duchowne; dalej dojść było niemożliwością. Ołtarz był ustawiony na tyłach katedry, przodem do placu. Wokół niego po bokach siedzieli biskupi. Plac był wypełniony całkowicie, ludzie stali ściśnięci jeden przy drugim. My byliśmy wciśnięci w metalowe ogrodzenie seminarium tak, że nie mogliśmy się ruszać. Jak dobrze, że nie wzięliśmy ze sobą Ola, bo by go tu zadusili!

Msza św. rozpoczęła się o 18. Kazanie miał prymas Wyszyński. Mówił o prawach Polski do Ziem Zachodnich, można powiedzieć w sposób dość „nacjonalistyczny”. Trochę byłem nawet zgorszony jego jedną wypowiedzią. Mówiąc o tym, że diecezja wrocławska należała do metropolii gnieźnieńskiej i dopiero w 1822 r. została od niej oderwana, użył sformułowania: „Oderwała je może ta sama ręka, która w 1945 r. zniszczyła nasze miasto, obracając je w ruinę, abyśmy tylko gruzy otrzymali”. Uważałem, że porównywanie ówczesnego episkopatu niemieckiego (zapewne odpowiedzialnego za to „oderwanie”) do hitlerowców jest trochę nie na miejscu, zwłaszcza że przypuszczalnie to „oderwanie” musiał zatwierdzić ówczesny papież. Chyba też to właśnie wtedy prymas powiedział (a raczej wykrzyczał): „Mówi się tolerancja, tolerancja. Ja się pytam, kto tu kogo ma tolerować!”.

W trakcie przemówienia prymasa nagle, od strony ul. Wieczorka (obecnie Wyszyńskiego), wjechała na pl. Katedralny karetka pogotowia ratunkowego na sygnale, usiłując się przebić przez tłum i jechać w kierunku ul. Katedralnej. Ludzie początkowo starali się zrobić jej miejsce, ale to było niemożliwe, nie było się gdzie cofnąć, my z Danusią zostaliśmy przyciśnięci do płotu przed seminarium, ledwo mogliśmy oddychać. I nagle rozległ się pomruk tłumu. Ludzie przestali się cofać przed „ryczącą” karetką, a zaczęli na nią nacierać. Zorientowali się bowiem, zwłaszcza bliżej stojący, że to żadne pogotowie ratunkowe, tylko prowokacja ubecka. Podobno twarze siedzących w karetce osobników zrobiły się zielone ze strachu. Wówczas rozległ się od ołtarza głos prymasa: „Kochani, pozwólcie naszym braciom spokojnie odjechać, na pewno nie będą nam już zakłócać uroczystości”. Karetka wyłączyła sygnał dźwiękowy, ludzie jakoś się rozstąpili na apel prymasa i karetka się wycofała. I rzeczywiście więcej już nie było żadnych prób zakłócenia uroczystości.

eprasa.pl 1a0018e33b

XXII Wyścig Pokoju, I etap, Stadion Dziesięciolecia, Warszawa, 12 maja 1969 r.

WYŚCIG (NIE) POKOJU 1969

PÓŁ WIEKU TEMU WYŚCIG POKOJU ODBYWAŁ SIĘ W CIENIU POPRZEDZAJĄCEJ GO KILKA MIESIĘCY INWAZJI WOJSK UKŁADU WARSZAWSKIEGO NA CZECHOSŁOWACJĘ. NIE POZOSTAŁA ONA BEZ WPŁYWU ANI NA JEGO PRZEBIEG, ANI TEŻ NA JEGO TRASĘ. A ROZEGRANIE TEJ NAJWIĘKSZEJ „AMATORSKIEJ" IMPREZY KOLARSKIEJ OKAZAŁO SIĘ MOŻLIWE TYLKO DZIĘKI TRUDNYM I DŁUGOTRWAŁYM NEGOCJACJOM

eprasa.pl 1a0018e33b

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. spowodowała, że dalsze organizowanie Wyścigu Pokoju, największej i najbardziej prestiżowej imprezy cyklicznej przygotowywanej przez państwa socjalistyczne (Polskę, Czechosłowacką Republikę Socjalistyczną i Niemiecką Republikę Demokratyczną), stanęło pod dużym znakiem zapytania. Podczas dorocznego kongresu kalendarzowego Międzynarodowej Unii Kolarskiej, który odbył się pod koniec listopada 1968 r. w Genewie, okazało się, że nasi południowi sąsiedzi, a dokładniej przedstawiciele Sekcji Kolarskiej CSRS, postanowili odstąpić od współorganizowania wyścigu.

Byli przeciwni, aby trasa przebiegała przez ich kraj, a nawet żeby – w tej sytuacji – uczestniczyła w nim reprezentacja Czechosłowacji. Ich postawa miała wynikać z niemożności sprawnego zorganizowania tej imprezy, w sytuacji kiedy „wszystkie miasta etapowe, uprzednio wytypowane, zdecydowanie odmówiły współpracy". Ponadto działacze kolarscy mieli się obawiać „ulicznych demonstracji" w Pradze w dniu planowanego rozpoczęcia wyścigu (9 maja). Nie przekonała ich też propozycja, aby w tej sytuacji zmienić trasę i Wyścig Pokoju zakończyć w Pradze dwa tygodnie później, dokładnie 24 maja. Po części – o czym już nie mówili – ich postawa wynikała z tego, że prowadzili w tym samym czasie nieoficjalne, sondażowe rozmowy w sprawie zorganizowania w jego miejsce innego wyścigu. Informowała o tym prasa zachodnia, a także wspominali o tym w rozmowach kuluarowych działacze kolarscy z państw kapitalistycznych. A po części z ich negatywnej oceny wydarzeń z lata 1968 r., które w rozmowie z Polakami otwarcie nazywali interwencją i okupacją.

Towarzysze z „Rudeho Prava" również są przeciw

Jednak – co trzeba podkreślić – przeciwni organizowaniu tej imprezy w 1969 r. w CSRS byli nie tylko działacze sportowi z tego kraju. Podobne stanowisko zajął (w grudniu 1968 r.) Jiří Sekera – redaktor naczelny „Rudeho Prava", czyli współorganizatora (obok „Trybuny Ludu" i „Neues Deutschland") Wyścigu Pokoju. W rozmowie z Janem Kiedrowskim, attaché prasowym ambasady PRL w Pradze, wymienił on wiele argumentów uzasadniających takie stanowisko. Pierwszym był brak możliwości zorganizowania tej imprezy – zmobilizowania na jej potrzeby licznego personelu organizacyjno-technicznego, który w większości stanowił „aktyw społeczny", pracujący zresztą gratis. Kolejnym był brak zainteresowania wyścigiem ze strony Czechów i Słowaków oraz obawa przed zorganizowaniem demonstracji przeciwko drużynom krajów, które brały udział w inwazji. Co ciekawe zresztą, głównie przeciwko NRD, której udział w stłumieniu Praskiej Wiosny był czysto symboliczny (grupa sztabowa).

Kolejny argument może zaskakiwać. Otóż czechosłowackie władze sportowe domagały się przywrócenia wyścigowi pierwotnego charakteru imprezy sportowej, a zdecydowanie opowiadały się przeciwko jego upolitycznieniu, jego wykorzystaniu propagandowemu. Przeciwko organizacji tej imprezy „za wszelką cenę" przemawiała z kolei konieczność zabezpieczenia jej – na terenie CSRS oczywiście – siłami milicyjnymi, a to z kolei wywołałoby reperkusje w prasie zachodniej. Nie było też pewne, czy dzięki temu uda się uniknąć „jednostkowych wypadków prowokacji". Jednak Sekera – w przeciwieństwie do działaczy kolarskich ze swego kraju – dopuszczał (w jednym z dwóch wariantów) przejazd kolarzy podczas jednego z etapów przez teren Czechosłowacji.

Interwencja Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji

W połowie stycznia 1969 r. sprawą Wyścigu Pokoju zajęło się nawet Prezydium Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Na forum tym zdecydowano wstępnie – zastrzegając podjęcie ostatecznej decyzji do końca lutego – iż CSRS będzie jego współorganizatorem. Wydano również „właściwym organom" polecenie „zabezpieczenia udziału" czechosłowackiej reprezentacji w tej imprezie. W sprawie „choćby częściowego" przebiegu trasy wyścigu przez Czechosłowację podjęcie decyzji planowano do końca lutego 1969 r. Taka postawa przywódców czechosłowackiej partii komunistycznej wynikała z chęci zapobieżenia temu, aby Wyścig Pokoju w przypadku niezorganizowania go „zgodnie ze swymi założeniami i tradycjami" nie został wykorzystany przez „niektóre ekstremistyczne koła". Jak zapewniał z kolei 22 stycznia sekretarz KC KPCz Vasil Bil'ak, powinien on zostać przeprowadzony według dotychczasowych zasad, gdyż „posiada specjalne znaczenie polityczne". Bil'ak deklarował również zabezpieczenie – zgodnie z wytycznymi Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji – „normalnego przebiegu Wyścigu Pokoju przez terytorium CSRS".

Te decyzje polityczne nie zakończyły jednak sporów wokół kształtu imprezy w roku 1969. Podczas narady Międzynarodowego Komitetu Organizacyjnego XXII Międzynarodowego Kolarskiego Wyścigu Pokoju przeprowadzonej w Pradze 31 stycznia przedstawiciele czechosłowackiego związku kolarskiego bowiem stwierdzili, że „ze względu na aktualną sytuację w kraju" podtrzymują swoje stanowisko o nieuczestniczeniu drużyny CSRS w wyścigu i wyrażają jedynie zgodę na wysłanie obserwatora do jego komitetu organizacyjnego. Po burzliwej dyskusji, w wyniku nacisków przedstawicieli PRL i NRD, poszli jednak na ustępstwa. Przede wszystkim uzgodniono, że Czechosłowacja będzie oficjalnym współorganizatorem XXII Wyścigu Pokoju, a władze sportowe CSRS „zrobią wszystko", aby drużyna narodowa z ich kraju wzięła w nim udział. Podtrzymali oni jednak swój sprzeciw przeciwko przebiegowi wyścigu przez Czechosłowację, dopuszczając „jako alternatywę" jego przejazd przez ich kraj „bez organizacji punktu etapowego".

Negocjacje ze Słowakami

Wobec rysującej się widocznej rozbieżności w stanowisku komunistów czeskich i słowackich w sprawie Wyścigu Pokoju pojawił się nawet pod koniec stycznia 1969 r. (w Komisji Ideologicznej KC PZPR) pomysł przeprowadzenia odrębnych rozmów ze słowackimi władzami partyjnymi i państwowymi. Przedstawiciele PRL mieliby proponować utworzenie narodowej, słowackiej „organizacji kultury fizycznej" oraz wejście do komitetu organizacyjnego wyścigu bratysławskiej „Prawdy". W tej sytuacji zmianie uległaby formuła całej imprezy z Warszawa – Praga »

FOT. LECH CHAREWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 1a0018e33b

» – Berlin na Warszawa – Bratysława – Praga – Berlin. Z kolei w przypadku podtrzymania przez czechosłowackie władze sportowe decyzji o nieuczestniczeniu w 1969 r. w wyścigu drużyny narodowej miano pozostawić przebieg trasy przez terytorium CSRS „do uznania towarzyszy słowackich". Natomiast w wypadku, gdyby ją wystawiły, lecz miały „zastrzeżenia do przebiegu trasy przez całe terytorium CSRS i wysuwały propozycje symbolicznego zahaczenia o terytorium CSRS", planowano poprosznie władz Słowacji o przebieg wyścigu przez jej terytorium.

Przy czym przewidywano trzy warianty. W pierwszym odbywałby się on na trasie Rzeszów – Preszów – Bratysława – Kraków, w drugim z Rzeszowa przez Preszów do Krakowa, a w trzecim, „minimalistycznym" po trasie Rzeszów – Preszów – Rzeszów.

Pomysły te zaczęto zresztą realizować. W dniach 6 i 7 lutego 1969 r. polscy dyplomaci przeprowadzili rozmowy z premierem Słowacji Štefanem Sádovským oraz I sekretarzem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Słowacji Gustávem Husákiem. Obaj mieli wyrazić swoje poparcie dla inicjatywy towarzyszy z PRL, a także opowiedzieć się za „wariantem maksymalistycznym" (pierwszym, względnie drugim) przebiegu trasy przez ich kraj. Przy czym Sádovský jednocześnie „prosił o zrozumienie, że ewentualne ograniczenie imprezy tylko do Słowacji byłoby niemożliwe do przeprowadzenia". I zastrzegał, że decyzję musi podjąć Praga. Husák również wspominał o „trudnościach natury wewnętrznej", dodając jednak przy tym, że „towarzysze w Pradze często je wyolbrzymiają". Obaj obiecali „podjąć odpowiednie kroki u władz federalnych" i sugerowali rozpoczęcie rozmów w sprawie wyścigu z premierem Czechosłowacji Oldřichem Černíkiem.

Bez udziału reprezentacji Czechosłowacji

Tymczasem w trakcie kolejnej narady Międzynarodowego Komitetu Organizacyjnego XXXII Międzynarodowego Kolarskiego Wyścigu Pokoju, przeprowadzonej tym razem w Warszawie 12 i 13 lutego, przedstawiciele strony czechosłowackiej „zdecydowanie odrzucili wszelkie koncepcje", które zakładały, że „choćby tylko symbolicznie" będzie on przebiegał przez terytorium CSRS. Odrzucili oni również propozycję strony polskiej, aby współorganizatorem imprezy została bratysławska „Prawda". Uzasadniali to rzekomym brakiem zainteresowania tym wyścigiem ze strony zarówno tej redakcji, jak i Związku Kolarskiego Słowacji. Natomiast w kwestii udziału drużyny czechosłowackiej w Wyścigu Pokoju w 1969 r. poprosili o czas do końca kwietnia. Ewidentnie był on potrzebny na złamanie oporu krnąbrnych czechosłowackich działaczy kolarskich. Jednocześnie nasi południowi sąsiedzi zobowiązali się do przejęcia w roku 1970 funkcji głównego organizatora Wyścigu Pokoju.

Gustáv Husák, I sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Słowacji

Podczas kolejnej narady organizatorów wyścigu 21 kwietnia w Warszawie przedstawiciele CSRS poinformowali, że reprezentacja tego kraju nie weźmie w nim jednak udziału. Zdecydowała o tym postawa czechosłowackiej federacji kolarskiej, która (po raz siódmy!) rozważała taką możliwość i ją odrzuciła. Nie pomogła nawet „hojna" oferta strony polskiej zorganizowania w PRL dla reprezentacji naszego południowego sąsiada obozu treningowego w dowolnym czasie i dowolnej długości. Niepowodzeniem zakończyła się również inicjatywa ambasady Czechosłowacji w Warszawie (z początku kwietnia 1969 r.), aby w wyścigu wziął udział przynajmniej czechosłowacki zespół wojskowy. Sukcesem organizatorów zakończyły się natomiast starania, aby trasa Wyścigu Pokoju przebiegała jednak przez Czechosłowację.

112 km i jeden goły tyłek

Ostatecznie ta największa impreza kolarska w krajach tzw. demokracji ludowej odbyła się w dniach 12–25 maja na trasie Warszawa – Berlin i wzięło w niej udział 15 reprezentacji narodowych. Kolarze przejechali 15 etapów, o łącznej długości 2036 km. Mogli oni ujrzeć (na polskiej części trasy) takie napisy, jak: „Wyścig Pokoju służy zbliżeniu narodów", „Nigdy więcej wojny" czy „Idea przyjaźni i pokoju nie zna granic". Indywidualnie najlepszy okazał się kolarz francuski Jean-Pierre Danguillaume, drużynowo natomiast wygrała reprezentacja Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Wracając do „epizodu czechosłowackiego", to podczas szóstego etapu kolarze przejechali łącznie przez terytorium CSRS 112 km (od Jakuszyc do Nachodu). Nie był to jednak przejazd spokojny, szczególnie początkowo. Po prostu kolarze co chwila łapali gumy, co było efektem rozrzucenia na trasie pinesek. Problem ten rozwiązano, nakazując wszystkim samochodom (oprócz sędziowskich i technicznych) wyprzedzenie kolarzy. Działo się tak, mimo że cała trasa odcinka u naszego południowego sąsiada została obstawiona przez wojsko i milicję – żołnierze i milicjanci stali co mniej więcej 50 m. Dzięki ich czujności zamalowana została również większość „nieprzychylnych napisów". Nie zapobiegli jednak witaniu kolarzy „przed kilkoma fabrykami" gwizdami i wrogimi okrzykami. W przypadku jednego z zakładów pracy znajdujących się przy trasie wyścigu kilku pracowników weszło nawet na dach i „czyniło nieprzychylne gesty", a jeden z nich „opuścił spodnie i odwrócił się tyłem do kolumny wyścigowej"... Jak później stwierdzano, miały to być jednak rzekomo „sporadyczne wypadki", a wyścig był „witany serdecznie, zwłaszcza przez młodzież". Jak się można domyślać, specjalnie zresztą spędzoną w tym celu i „pouczoną" co do właściwego zachowania.

Rok później, w maju 1970 r., Wyścig Pokoju odbył się już normalnie na trasie Praga – Warszawa – Berlin i z udziałem kolarzy czechosłowackich. Był on zresztą dla Polaków dużo szczęśliwszy niż poprzedni – triumfował w nim indywidualnie Ryszard Szurkowski, a drużynowo najlepsza była Polska. Ale to już całkiem inna historia...

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 1a0018e33b

ROZMOWY POLSKO-UKRAIŃSKIE NA EMIGRACJI

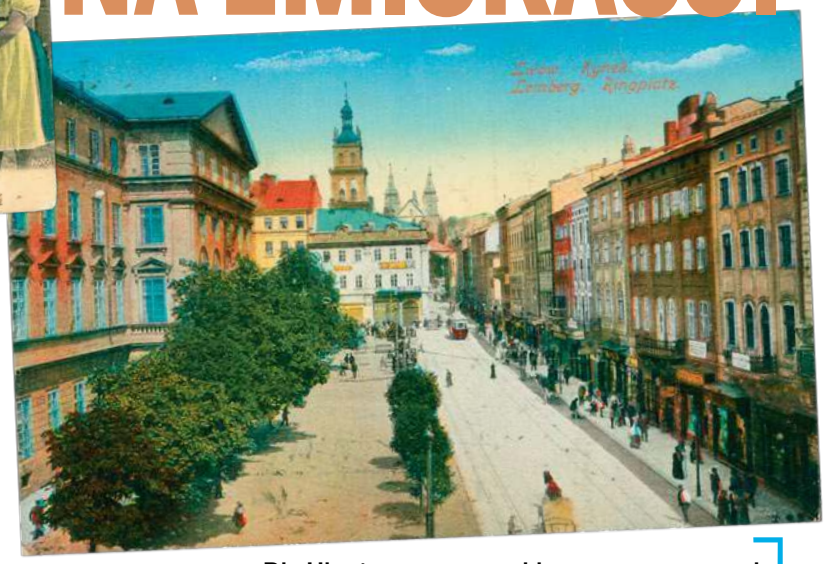

Dla Ukraińców sprawą kluczową pozostawał spór terytorialny z Polską. Rozwiązanie widzieli w rezygnacji rządu RP z praw do Lwowa

SPORY O GRANICĘ CZY RZEŹ WOŁYŃSKĄ KŁADŁY SIĘ CIENIEM NA PODEJMOWANE NA EMIGRACJI PRÓBY POROZUMIENIA POLSKO-UKRAIŃSKIEGO. WZAJEMNE STOSUNKI NAZNACZONE BYŁY OBOPÓLNĄ NIEUFNOŚCIĄ I NIECHĘCIĄ

KRZYSZTOF TARKA

Po zakończeniu II wojny światowej na Zachodzie znalazło się ok. 200 tys. uchodźców z Ukrainy. Emigracja ukraińska rozbita była na kilka ośrodków. Na czele Ukraińskiej Republiki Ludowej stał prezydent Andrij Liwyćkyj. W lipcu 1948 r., po długotrwałych rokowaniach, na terytorium Niemiec Zachodnich utworzona została Ukraińska Rada Narodowa. Organem Wykonawczym Rady (rządem) kierował Izaak Mazepa. W jej skład weszli początkowo przedstawiciele wszystkich głównych ugrupowań ukraińskich na emigracji. Już dwa lata później doszło do rozłamu, w wyniku którego Radę Narodową opuścili banderowcy. Frakcja rewolucyjna Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów oraz zdominowana przez banderowców Ukraińska Główna Rada Wyzwoleńcza stworzyły własny ośrodek polityczny.

Wszystkie emigracyjne ugrupowania ukraińskie stały na stanowisku niepodległej Ukrainy w granicach etnograficznych, odrzucając związek z Rosją (Związkiem Sowieckim). W stosunkach z Polakami najistotniejszym problemem pozostawała sprawa granicy. Ukraińcy dążyli do wytyczenia granicy na Bugu i Sanie. Polscy emigranci domagali się przywrócenia granicy wschodniej z traktatu ryskiego. Wobec zasadniczych rozbieżności w tej kluczowej kwestii trudno było liczyć na wzajemne porozumienie. Obie strony dzieliła zresztą nie tylko sprawa granicy, ale także pamięć o ludobójstwie Polaków na Wołyniu.

Linia Curzona – tymczasowa czy trwała?

Na początku 1946 r. we Frankfurcie n. Menem mjr Jerzy Ponikiewski z ramienia rządu RP na uchodźstwie prowadził sondażowe rozmowy z przedstawicielami Ukraińskiej Republiki Ludowej. W pierwszym etapie Polacy chcieli się przede wszystkim zorientować »

FOT. BIBLIOTEKA NARODWA x3

eprasa.pl 1a0018e33b

» w politycznym nastawieniu Ukraińców. Rozmówcy Ponikiewskiego deklarowali się jako zwolennicy porozumienia dwóch „bratnich narodów". Do czasu wyzwolenia Polski i Ukrainy oraz umocnienia ich niezależności i suwerenności Ukraińcy opowiadali się za utrzymaniem powojennej granicy na linii Curzona. Ostateczne wytyczenie granicy między oboma państwami miało nastąpić później. Prezydent URL Liwyćkyj za kluczowe uważał połączenie sił obu narodów w celu ich wyzwolenia, a nie dzielenie się terenami, które nie były w posiadaniu żadnej z zainteresowanych stron.

W odpowiedzi minister spraw zagranicznych rządu w Londynie Adam Tarnowski deklarował uznanie prawa narodu ukraińskiego „do całkowitej i prawdziwej jego niepodległości". Wobec zagrożenia ze strony Rosji i Niemiec za konieczne uważał oparcie współpracy polsko-ukraińskiej na jednolitym bloku państw w Europie Środkowo-Wschodniej. Zdecydowanie odrzucił natomiast możliwość zaakceptowania przez rząd polski, choćby tymczasowo, powojennej granicy na wschodzie. Zgodę Ukraińców na rewizję aktualnej granicy uważał zresztą za nieszczerą. Według Adama Tarnowskiego enigmatyczne sformułowanie o ostatecznym wytyczeniu granicy w zależności od umocnienia własnej niezależności i suwerenności każda ze stron mogła interpretować inaczej. Ukraińcy po pięciu, dziesięciu czy dwudziestu latach mogliby oświadczyć, że ich suwerenność nie została jeszcze dostatecznie umocniona, a przeto nie można ostatecznie uregulować sprawy granicy: „Takie sformułowanie warunku o późniejszym ustaleniu granic polsko-ukraińskich byłoby w rzeczywistości uznaniem obecnie istniejącego podziału terytorialnego, a więc rzekoma koncesja ukraińska ma charakter tylko iluzoryczny". Deklarując życzliwość dla sprawy ukraińskiej oraz zrozumienie jej wagi, minister Tarnowski polecił zachowanie w rozmowach stanowczego tonu, „aby Ukraińcy zdawali sobie dobrze sprawę, że jakkolwiek my znajdujemy się w trudnej sytuacji, to ich jest jeszcze trudniejsza, bowiem cały świat z wyjątkiem Polaków uważa problem ukraiński za wewnętrzną sprawę rosyjską, czego oczywiście nikt na świecie nie może powiedzieć o sprawie polskiej".

Klaudiusz Hrabyk

Józef Łobodowski

FOT. NAC x3

Więcej dzieli czy łączy?

W 1947 r. Polakom udało się doprowadzić do poważnej dyskusji na łamach polskiej i ukraińskiej prasy w Niemczech Zachodnich. Zapoczątkował ją 18 maja na łamach „Kroniki" Klaudiusz Hrabyk. Ze strony ukraińskiej udział wzięła redakcja „Czasu". Opowiadając się za polsko-ukraińskim porozumieniem, Hrabyk wskazał na ścisłą współzależność między niepodległością obu krajów. Nie wykluczył również rozwiązań federacyjnych. W toczącej się przez blisko pięć miesięcy dyskusji głos zabrało kilkunastu publicystów. Po obu stronach padły deklaracje o konieczności wzajemnej współpracy. Polacy w pełni uznali też prawo narodu ukraińskiego do własnego państwa. Mimo tych pojednawczych gestów debata w kluczowych sprawach wykazała rozbieżne i przeciwstawne poglądy uczestników. Sporna pozostała przede wszystkim kwestia przyszłej granicy oraz formy praktycznego współdziałania obu niepodległych państw. Polacy bronili granicy na Zbruczu, Ukraińcy zaś opowiadali się za przesunięciem jej na Bug i San. To stanowisko nie stwarzało nadziei na przełom we wzajemnych stosunkach. Redaktor ukraińskiego „Czasu" Roman Ilnyćkyj oświadczył, że „od Jałty chętnie odstąpimy wtedy, gdy strona polska odstąpi od Rygi".

Sprawy terytorialne negatywnie zaważyły na przebiegu przyszłych kontaktów polsko-ukraińskich. Pogodzenie wzajemnie wykluczających się aspiracji nie było możliwe.

Na przełomie sierpnia i września 1948 r. mjr Ponikiewski dwukrotnie rozmawiał z prezydentem Liwyćkim oraz premierem Mazepą. Ponikiewski proponował nie rozpoczynać pertraktacji od spraw zasadniczych. Pomijając najbardziej drażliwy punkt, jakim była sprawa granicy, Polacy zmierzali do nawiązania stałych kontaktów oraz poprawy atmosfery w stosunkach z Ukraińcami, by tą drogą powoli, ale systematycznie i skutecznie rozbijać ich uprzedzenia i urazy. W przeciwnym razie, wobec nieustępliwości obu stron w sprawach terytorialnych, już na starcie rokowania mogły utkwić w martwym punkcie. W powojennych realiach dyskusja emigrantów o granicy polsko-ukraińskiej i tak miałaby zresztą czysto teoretyczny charakter.

Jednocząca rola ZSRS

Według ministra Tarnowskiego wspólne zagrożenie ze wschodu powinno być motorem polsko-ukraińskiej współpracy. Na posiedzeniu Rady Gabinetowej 12 listopada 1948 r. szef MSZ stwierdził: „W walce z tendencjami polityki rosyjskiej, które są niezmiennie zaborcze i to nie tylko w stosunku do tego czy innego terytorium, ale wobec całej Polski, czyniąc fikcję z jej niepodległości, musimy szukać sprzymierzeńców". Tarnowski przekonywał, że porozumienie z Ukraińcami leżało w interesie Polski, a uznanie prawa Ukrainy do niepodległości zgodne było z polską racją stanu.

Nowy minister spraw zagranicznych Mieczysław Sokołowski, podobnie jak jego poprzednik, opowiadał się za zbliżeniem Polski i Ukrainy. Nie chciał też rozpoczynać rozmów od kwestii spornych. Uważał, że bilateralne pertraktacje powinna poprzedzić współpraca narodów zza żelaznej kurtyny. Dla Ukraińców sprawą kluczową pozostawał spór terytorialny z Polską, a nie plan współpracy narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Rozwiązanie widzieli w rezygnacji rządu RP z praw do Lwowa. Taka deklaracja była najlepszym lekarstwem na ukraińskie obawy i lęki przed wiązaniem się z Polską.

eprasa.pl 1a0018e33b

Juliusz Mieroszewski

Pomostowa ziemia

Za wyjściem z zaklętego kręgu polsko-ukraińskich sporów, pretensji i nienawiści opowiadała się paryska „Kultura". W marcu 1952 r. na łamach miesięcznika Józef Łobodowski sugestywnie przedstawił stan wzajemnych stosunków: „Teren, na którym odbywają się nieliczne spotkania polsko-ukraińskie – pisał – jest tak najeżony kolczastymi zasiekami, przekopany wilczymi dołami, zaśmiecony wzajemnymi uprzedzeniami i podejrzeniami, przesiąknięty stęchłą wodą anachronicznych opinii, że trzeba go choćby częściowo oczyścić i zdrenować, bo inaczej zagubimy się w nim bez ratunku". Występując przeciw „upiorom przeszłości", krytykując jałowe spory bez końca o to, kto pierwszy zaczął, kto bardziej zawinił, kto przelał więcej krwi, publicysta „Kultury" wskazywał na konieczność unormowania wzajemnych stosunków. Końcem polsko-ukraińskich sporów terytorialnych mogłoby być wspólne zarządzanie spornym obszarem w ramach federacji środkowoeuropejskiej: „Ziemia Czerwieńska – pisał Łobodowski – historycznie, etnograficznie i kulturalnie nie jest ziemią ukraińską tylko, ani polską tylko. Jest ziemią wspólną, o wspólnych zazębiających się o siebie osiągnięciach cywilizacyjnych i kulturalnych, i wspólnej sześćsetletniej historii. [...] Ziemia Czerwieńska, jako człon terytorialnie pośredni powinna otrzymać swój własny statut na podstawie całkowitego równouprawnienia ludności i zachowaniu identycznych form związkowych z Warszawą i Kijowem. Wówczas miałaby pełną szansę stać się pomostem między dwoma narodami i ich cywilizacją i kulturą, zamiast, jak było w czasach ostatnich, przepaścią". Sformułowana przez Łobodowskiego propozycja polsko-ukraińskiego kondominium w Galicji Wschodniej nie zadowalała jednak żadnej ze stron.

Juliusz Mieroszewski, główny publicysta polityczny „Kultury", nawiązując do artykułu Łobodowskiego, postulował powołanie polsko-ukraińskiego biura studiów. Miałoby ono podjąć próbę wspólnego opracowania pewnych zagadnień, by „doprowadzić w ten sposób do przerzedzenia owego lasu uprzedzeń, który nas rozdziela". Mieroszewski uważał, że porozumienie trzeba wypracować już na emigracji, tak by w razie odzyskania przez oba kraje wolności „zasadnicze problemy polsko-ukraińskie były wówczas – choćby w ogólnych liniach – uzgodnione". Mieroszewski przekonany był, że „historyczny bieg wydarzeń, który przyniesie wolność Polsce, wyzwoli również nie tylko Ziemię Czerwieńską, ale całą wielką Ukrainę. I jeżeli wówczas nie chcemy spotkać się na moście w Przemyślu z karabinami w rękach, to musimy spotkać się dziś, by z dobrą wolą i trzeźwym umysłem przystąpić do budowania – cegiełka po cegiełce – polsko-ukraińskiego porozumienia".

Co ze Lwowem?

Niebawem „Kultura" zrobiła kolejny krok. W listopadowym numerze miesięcznika z 1952 r. Jerzy Giedroyć opublikował list alumna seminarium w Pretorii Józefa Z. Majewskiego, w którym tenże postulował zaakceptowanie powojennych granic Polski: „Tak jak my, Polacy mamy prawo do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, tak Litwini słusznie domagają się Wilna, a Ukraińcy Lwowa. [...] Jakkolwiek faktem jest, że większość mieszkańców Lwowa i Wilna uważała się za Polaków przed rokiem 1939, to jednak grubo myli się ten, kto utrzymuje, iż miasta te muszą być kiedyś Polsce zwrócone. [...] Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sino-żółty sztandar". Publikacja listu wywołała gwałtowne reakcje czytelników. Przełamując zmowę milczenia wobec kwestii nienaruszalności wschodnich granic Polski sprzed 17 września 1939 r., Giedroyć naruszył emigracyjne tabu. Nie oznaczało to bezwarunkowego zrzeczenia się przez „Kulturę" polskich praw do Wilna i Lwowa (do czego redakcja nie rościła sobie i nie miała zresztą żadnego tytułu), ale chęć otwarcia poważnej dyskusji na ten temat.

Komentując stan relacji polsko-ukraińskich na emigracji, Jan Starzewski, były kierownik Wydziału Europy Środkowo-Wschodniej MSZ, stwierdził we wrześniu 1953 r. na łamach „Orła Białego", iż wzajemne stosunki „schodzą na bocznice i błędne manowce, bo napotykają na zapory i trudności o niebylejakiej sile. [...] Wśród przeszkód politycznych jedna jest tak zaogniona, że często z góry niweczy widoki na pojednawczość. Polega ona na odmiennym stanowisku Polaków i Ukraińców w przedmiocie ziem granicznych a narodowościowo mieszanych".

Jesienią 1953 r. polsko-ukraiński spór terytorialny „odgrzał" premier Roman Odzierzyński. Podczas uroczystych obchodów 35. rocznicy obrony Lwowa, szef rządu, wskazując na konieczność wzajemnego porozumienia, zarzucił działaczom ukraińskim, że pretensje do polskich ziem wschodnich „uważają za sprawę ważniejszą od samego zagadnienia niepodległości Ukrainy – tej Ukrainy, której należy szukać nie w Małopolsce Wschodniej, a w Żytomierzu, Kijowie, Charkowie, Odessie, Basenie Donieckim". W napiętej atmosferze przypominanie wydarzeń sprzed lat nie sprzyjało pojednaniu polsko-ukraińskiemu, ale od historii nie można było przecież uciec.

Enigmatyczne porozumienie

Ponad ćwierć wieku później ukoronowaniem rozmów polsko-ukraińskich stała się deklaracja podpisana w Londynie 28 listopada 1979 r. Emigracyjne władze reprezentowali prezydent Edward Raczyński i premier Kazimierz Sabbat. Ze strony ukraińskiej podpis pod dokumentem złożyli prezydent Mykoła Liwyćkyj i premier Teofil Leontij. Treść deklaracji ze względu na rozbieżności istniejące między obiema stronami była bardzo ogólnikowa. Milczeniem pomijała kwestie terytorialne. Polacy i Ukraińcy za pożądane uznali natomiast utrzymywanie wzajemnych kontaktów. Ich wspólnym celem było „wyzwolenie z ucisku imperializmu sowieckiego". W następnych latach jeszcze kilkakrotnie dochodziło do polsko-ukraińskich spotkań na szczycie z udziałem emigracyjnych prezydentów i premierów.

Odzyskanie suwerenności przez Polskę oraz proklamacja niepodległości Ukrainy spowodowały, że stosunki między oboma państwami na początku lat 90. XX w. weszły w jakościowo nową fazę. O wzajemnych relacjach dyskutowano i decydowano w Warszawie i Kijowie, a nie na emigracji.

eprasa.pl 1a0018e33b

WIĄZANIE HISTORII

Jak uchronić pamięć

PAWEŁ KOWAL

Edward Mosberg, były więzień niemieckich obozów w Płaszowie i Mauthausen, przypomina w polskich mediach o konieczności świadczenia o wojnie, o konieczności mówienia przez świadków o tym, jak było. Są w Warszawie miejsca – jak Muzeum Powstania Warszawskiego – gdzie po śmierci kolejnego uczestnika wojny zawsze pojawia się nekrolog. Oni odchodzą i już z nimi nie porozmawiamy. Akurat Muzeum posiada największą w Polsce kolekcję zapisów historii mówionej – około czterech tysięcy zrobionych według jednego wzoru relacji z powstania warszawskiego i akcji „Burza".

Przed nami 80. rocznica wybuchu II wojny światowej i 75. rocznica powstania warszawskiego. Rocznice przypominają, że uciekają ostatnie okazje, by pokazać najmłodszym pokoleniom prawdziwych uczestników wydarzeń tamtego czasu. Oprócz uroczystości rocznicowych przydałaby się jednak konferencja historyków okresu II wojny światowej, na której należałoby ustalić katalog tematów do zbadania i opracowania, zachęcić do rejestracji wspomnień, chronienia archiwów, pamiątek.

Złudne jest bowiem przekonanie, że o tej wojnie wiemy wszystko. Wiele spraw zostało przebadanych powierzchownie lub dawno, gdy dostępność dokumentów była bardzo ograniczona. W czasach III Rzeczypospolitej z kolei badania nad okupacją niemiecką rozwijały się słabo, historycy byli skoncentrowani na zakazanych w komunistycznych czasach badaniach nad okresem komunizmu i potem na badaniach transformacji. Pozostaje wiele znaków zapytania, jeśli chodzi o ofiary wśród ludności cywilnej, mechanizm okupacji w pierwszych miesiącach po wejściu Niemców do Polski, działania poszczególnych formacji niemieckich, np. grup operacyjnych policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (Einsatzgruppen), zasad działania list gończych z nazwiskami Polaków po 1939 r. itd. To tylko przykłady tematów. Potrzebujemy jako Polacy dwóch rzeczy: przeglądu zagadnień opracowanych i tych, które powinny być przedmiotem nowych solidnych badań.

Oczywiście potrzebujemy też po prostu uchronić pamięć o wojnie takiej, jaką była. Nauka, która z niej wypływa, polega też na tym, by unikać powtórek z historii i kłamstwa w opowieści o przeszłości – co stanowi etyczny wymiar dziejów. Jeśli Donald Trump przyjedzie do Polski na 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej, będzie to wielkie wydarzenie, ponieważ w amerykańskiej pamięci o historii 1 września 1939 r. nie jest tak ważną datą. Pobyt prezydenta USA w Gdańsku będzie mocnym gestem w obronie pamięci historycznej. Warto pomyśleć, jak nie zmarnować takiej wizyty i jak nie przespać tegorocznych rocznic.

POLSKIM OKIEM

I komu to przeszkadzało?

RYSZARD CZARNECKI

W Konstytucji 3 maja – podkreślajmy „urbi et orbi", że to pierwsza w Europie i druga na świecie ustawa zasadnicza – podoba mi się wiele sformułowań, ale, prawdę mówiąc, najbardziej początek preambuły: „Stanisław August z Bożej łaski i woli Narodu Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Inflancki, Smoleński, Siewierski i Czernichowski [...]"... I komu to przeszkadzało?

Ostatnio byłem w podwarszawskim Serocku na uroczystościach z okazji dnia patrona miasta (i Polski też) – świętego Wojciecha. Akurat przyjechali przedstawiciele władz partnerskiego dla Serocka miasta w Czechach. Widziałem, jakie zrobiło na nich wrażenie, gdy jeden z naszych samorządowców wspomniał, że na początku XVII w. Polska zajęła Moskwę, a nasze wojska urzędowały na Kremlu. Bywało i tak. I komu to przeszkadzało?

Pamiętam histerię w internecie, gdy w sierpniu 2017 r. przypomniałem, że Polacy w 1018 r. za panowania Bolesława Chrobrego zdobyli Kijów. Zakończyłem to wtedy sakramentalnym: „I komu to przeszkadzało?". I rozlała się fala hejtu ze strony lewaków, kosmopolitów czy bezmyślnych osobników uważających, że przyznanie się do polskiej wielkości w X w. może źle wpłynąć na relacje polsko-ukraińskie 10 wieków później! Taka swoista nerwica części opinii publicznej w Polsce jest aintelektualna i historycznie irracjonalna, ale – choć kompromituje jej uczestników – jest faktem.

Kiedyś w Londynie późniejszy prezydent Estonii, a wtedy europoseł Toomas Hendrik Ilves, zwrócił się do mnie w naszym języku ojczystym per polski pan. Cóż, była to mieszanina podziwu, może trochę zazdrości, mam nadzieję, że nie kompleksów, a na pewno znajomość historii – bo przecież na Inflantach i Kurlandii rządzili kiedyś właśnie polscy panowie. No właśnie i znowu – komu to przeszkadzało? Dlaczego o tym dziś piszę? Bo uważam, że przypominanie polskiej wielkości, polskiej chwały, polskiej potęgi nie jest nie tylko niczym nagannym, ale wręcz jest pożytecznym i potrzebnym. To przecież część polskiej historii – a także uzasadniony powód do dumy.

Oczywiście mówienie o historycznej wielkości nie może zastępować pracy nad uczynieniem ze współczesnego państwa polskiego istotnej siły w wymiarze zewnętrznym i wewnętrznym. I nie może być ucieczką od tej misji. Ale warto wspominać przeszłą chwałę nie tylko dlatego, że C.K. Norwid pisał, iż: „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej", lecz także dlatego, że i dzisiaj, po wiekach, jesteśmy powołani do wielkości.

eprasa.pl 1a0018e33b

ELŻBIETA ŁOKIETKÓWNA, KRÓLOWA WĘGIERSKA

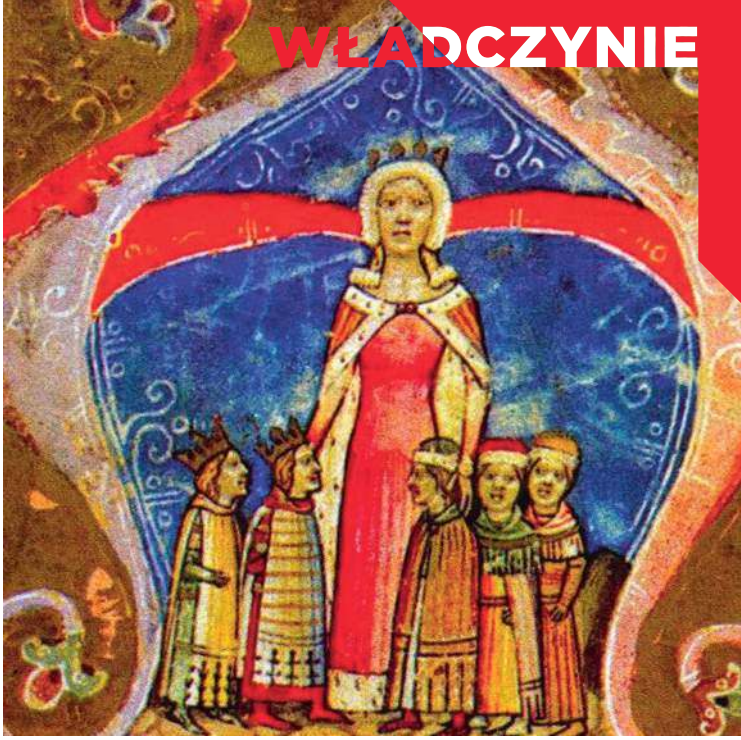

FOT. ARCHIWUM

BYŁA CÓRKĄ, SIOSTRĄ, ŻONĄ I MATKĄ KRÓLÓW, ALE SAMA TEŻ PROWADZIŁA NIEZWYKLE AKTYWNĄ DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNĄ

MAREK BARAŃSKI

Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, urodziła się w 1305 r. W 1320 r. została wydana za mąż za króla Węgier Karola Roberta z dynastii Andegawenów neapolitańskich. Małżeństwo to wzmocniło zawarty w tym samym roku sojusz polsko-węgierski. Dzięki Elżbiecie liczni Polacy mogli osiągnąć wysokie stanowiska na Węgrzech. Wśród nich byli dwaj bracia Marii bytomskiej, pierwszej żony Karola Roberta. Jeden z nich, Bolesław, został arcybiskupem ostrzyhomskim, drugi, Mieszko – biskupem Nitry. Elżbieta ułatwiła też węgierską karierę księcia opolskiego Władysława, który został węgierskim palatynem. Córka Łokietka doprowadziła do małżeństwa Piastówny Anny z węgierskim magnatem Tomaszem Szechenym, zainspirowała także małżeństwo Elżbiety, córki Kazimierza inowrocławskiego z banem Bośni Stefanem Kontramaniciem. Z tego małżeństwa zrodziła się Elżbieta, żona Ludwika węgierskiego, matka Jadwigi koronowanej na króla Polski.

W 1330 r. królowa Elżbieta i jej mąż Karol Robert znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie. Do izby, gdzie jedli obiad, wpadł węgierski magnat Feliks Zach, wyjął miecz i zaatakował parę królewską. W wyniku tego zamachu Elżbieta straciła cztery palce. Powodem ataku miał być romans pięknej córki Zacha, Klary. Miała ona ulec będącemu wtedy na Węgrzech polskiemu królewiczowi Kazimierzowi. Jej ojciec, podejrzewając królową o to, że pomogła bratu w uwiedzeniu dziewczyny, postanowił pomścić jej hańbę. Natychmiast zareagowali rycerze będący świadkami zamachu i zabili zamachowca. Następnie okrutnie okaleczono Klarę, a jej krewnych represjonowano. Jednak źródła współczesne wydarzeniu podają mniej romantyczną przyczynę ataku na parę królewską.

W 1342 r. zmarł Karol Robert i Elżbieta włączyła się do polityki, ruszając na pomoc swojemu młodszemu synowi Andrzejowi. Został on w 1334 r. zaręczony ze swą kuzynką Joanną, a w 1342 r. wziął z nią ślub. Małżeństwo to miało mu zapewnić neapolitański tron. Jednak gdy w 1243 r. zmarł król Neapolu Robert I Mądry, koronowana została tylko Joanna. Aby dopomóc w zdobyciu korony Andrzejowi, Elżbieta pozostawiła na Węgrzech Ludwika i wyruszyła do Neapolu. Tam, za pomocą złota, szukała poparcia dla syna. Wyruszyła do Rzymu, gdzie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Następnie spotkała się z papieżem Klemensem VI i uzyskała jego zgodę na koronację. Jednak nie zdołała złamać oporu Joanny i jej kochanka Ludwika z Tarentu. Sytuacja wyjaśniła się, gdy Andrzej, syn Elżbiety, został zamordowany, a Joanna wyszła za mąż za Ludwika. Morderstwo to spowodowało dwie wyprawy wojenne króla Węgier Ludwika na południe Włoch. Mimo zwycięstw musiał on ostatecznie uznać neapolitańską koronę Joanny i jej męża.

W 1357 r., wobec wojny Węgier z Wenecją o Dalmację, Elżbieta wyruszyła do Niemiec, szukając poparcia. Wraz ze swym orszakiem, w którym byli też książęta śląscy, odwiedziła liczne miasta. Gdy w 1359 r. Węgry zdobyły Dalmację, Elżbieta została regentką nabytych terytoriów.

Nawet wtedy, gdy sama nie brała udziału w działaniach politycznych, jej rola była znaczna. W 1362 r., w czasie sporu o patriarchat Akwilei, cesarz, a zarazem król Czech Karol IV w obecności Ludwika węgierskiego obraził jego matkę Elżbietę. Skandaliczne zachowanie cesarza niemal nie doprowadziło do wybuchu poważnej wojny w Europie Środkowej. Rodzący się konflikt został załagodzony dzięki mediacji króla Polski Kazimierza. W 1364 r. zwaśnione strony spotkały się w Krakowie i został przywrócony pokój.

W 1370 r. zmarł Kazimierz Wielki, na króla Polski koronowany został Ludwik, król Węgier. Ustanowił on swoją matkę regentką w Polsce. Zadanie, jakie jej powierzył, było trudne. Po śmierci Kazimierza Litwini zajęli Włodzimierz, Brandenburczycy – Santok. Niemal jednocześnie w kraju wybuchły walki pomiędzy zwolennikami różnych opcji politycznych. Elżbieta starała się uśmierzać niepokoje, ustanowiła sądy restytucyjne, które miały rozpatrywać sprawy konfiskat dokonywanych przez Kazimierza. Jednak wobec opozycji wielkopolskiej, a także oporu Siemowita mazowieckiego, musiała opuścić Polskę. Syn powierzył jej stanowisko namiestnika Dalmacji. Niedługo pełniła ten urząd, gdyż zmarła w 1380 r. Pochowana została w kościele klarysek w Budzie.

eprasa.pl 1a0018e33b

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA, OSTATNIA Z RODU ZANÓW

FOT. NAC

POETKA KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA – ZNANA NAJBARDZIEJ Z TEGO, ŻE BYŁA OSOBISTYM SEKRETARZEM (NIE SEKRETARKĄ) MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO – TO W ISTOCIE NIE IŁŁAKOWICZÓWNA, LECZ ZANÓWNA

MAREK KLECEL

Po jej śmierci w 1983 r. i otwarciu testamentu z lat 60. okazało się, że jest w prostej linii wnuczką Tomasza Zana „Promienistego", filarety wileńskiego, przyjaciela Adama Mickiewicza, a córką jego syna Klemensa Zana. Wszystkie dalsze okoliczności życia Kazimiery Zanówny były również skomplikowane, trudne, często dla niej bolesne, ale jednocześnie płodne, obfitujące w wydarzenia, bogate i twórcze. Po trudnym dzieciństwie i pracowitej młodości miała swój udział w ważnych wydarzeniach polskich dziejów, była sanitariuszką podczas I wojny światowej w Rosji, po niej wstąpiła do służby państwowej, w latach 30. objeżdżała Europę z promocyjnymi, jakby dziś powiedziano, prelekcjami o sprawach polskich.

W mroku dzieciństwa

Kazimiera Zanówna urodziła się w nieślubnym związku Klemensa Zana i Barbary Iłłakowiczówny, która samotnie wychowywała ją i starszą córkę, także Barbarę. Klemens Zan zginął w niejasnych okolicznościach w Wilnie przed narodzinami Kazimiery w 1888 r. „Kiedy ja się urodziłam – pisała we wspomnieniach – on już od miesiąca nie żył. Pod Wilnem są tak wysokie góry, że dojazd koleją do miasta wypada przez tunel. Otóż do tego tunelu wjechał mój ojciec żywy i zdrów, w pełni sił swoich trzydziestu ośmiu lat, a w Wilnie na dworcu znaleziono go w przedziale nieżywego. Był zastrzelony. Rewolwer leżał obok. Nikt nigdy nie dowiedział się, co i jak się stało". Przypuszczano, że Klemens Zan prowadził działalność konspiracyjną, współpracował z rosyjską organizacją

eprasa.pl 1a0018e33b

narodnicką Ziemla i Wola oraz że został zastrzelony przez carską Ochranę w pociągu, którym wracał z Petersburga. To wersja podana przez prawnuka Tomasza Zana, również Tomasza, który był uczestnikiem wojny 1920 r. i konspiracji w czasach II wojny światowej. Natomiast bardziej prawdopodobna i zarazem bardziej prozaiczna była wersja córki Klemensa, a siostry Kazimiery, Barbary. Według niej było to zabójstwo na zlecenie. Klemens Zan był adwokatem, prowadził w tym czasie sprawę przeciw synowi rosyjskiego gubernatora Wilna Klinkenberga, który dopuścił się czynów kryminalnych. Byłaby to więc zemsta na przeciwniku, co potwierdzałaby oficjalna wersja, że Zan popełnił samobójstwo. Osamotniona matka była zdana tylko na siebie w wychowywaniu osieroconych córek, nie mogła w swej sytuacji liczyć na pomoc rodziny, choć – jak pisała po latach w swym testamencie Kazimiera: „Jako dzieci nieślubne Barbary Iłłakowiczówny i Klemensa Zana zostałyśmy przypisane do dwóch wujów, ja do wuja Jakuba Iłłakowicza, siostra moja do wuja Gustawa Wołka, i żyłyśmy z tymi dokumentami przez całe życie. W końcu XIX w. praktykowano nieraz takie niewinne ostatecznie fałszerstwa, żeby oszczędzić niewinnym dzieciom wstydu z powodu ich pochodzenia". A więc Kazimiera dostała nazwisko nie po matce, jakby się można spodziewać, ale po wuju Iłłakowiczu.

W Wilnie po śmierci Klemensa Zana mieszkały niedługo, wkrótce przeniosły się na północ w okolice Krasławia i Dyneburga na pograniczu Litwy i Inflant, gdzie zamieszkiwała dalsza rodzina. Matka utrzymywała się z lekcji języków, jakich udzielała w okolicznych dworach. Wkrótce nadeszło nowe nieszczęście. Zapracowana i zamartwiająca się sytuacją dzieci matka zaczęła ciężko chorować, zmarła wkrótce na gruźlicę w wieku 28 lat, osierocając całkowicie kilkuletnie córki. Poetka będzie później często wracać do tego jednego z pierwszych wspomnień ze swojego dzieciństwa i od razu najboleśniejszego. W kilku miniaturach literackich, spisanych już pod koniec życia w tomie „Z rozbitego fotoplastykonu", które są rodzajem wizyjnej często prozy poetyckiej, odtwarza jakby samą śmierć matki, a właściwie jej przedśmiertne widzenie, oglądane i opisywane jednocześnie przez osieroconą córkę, ówczesną, ale i późniejszą, dorosłą poetkę. W dwóch fragmentach zaszyfrowana jest jednakowa informacja, nierozpoznana do czasów otwarcia testamentu poetki. Te wizyjne, poetyckie fragmenty kończą się tą samą frazą: „Barbara, nieślubna synowa promienistego Zana, umiera". W wielu innych miejscach, także w poezji, powraca to najsilniejsze wspomnienie. W innym tomie dość nieregularnie pisanych wspomnień pt. „Niewczesne wynurzenia" z 1958 r. powtarza się także obraz niezwykłego pogrzebu matki, widzianego oczyma osieroconego dziecka: to wiejski kondukt, który odprowadza trumnę matki na zwykłym wozie, a później przeprawa promem przez jezioro na odległy cmentarz.

Siostry zostały rozdzielone, trafiły do różnych rodzin. Kazimiera dopiero po jakimś czasie trafiła do domu wuja Jakuba Iłłakowicza, który niechętnie wspominała, nie znalazła w nim bowiem opieki, jakiej spodziewała się tak samotna w świecie sierota. Później, na szczęście, przyjęła ją do swego domu Zofia z Plater-Zyberków Buyno i to jej Kazimiera zawdzięczała troskliwą opiekę oraz późniejsze solidne wykształcenie. Do niej też przywiązała się jak do prawdziwej matki, o czym będzie później często wspominać. W wielkim domu Buynów i Plater-Zyberków już na pograniczu Inflant mała Kazimiera stykała się nie tylko z Litwinami i Białorusinami, lecz także Bałtami, od których mogła się nauczyć niemieckiego. Wybitnie uzdolniona językowo, jak jej matka, poznała wcześnie kilka języków europejskich i została wysłana przez przybraną matkę do szkół najpierw w Petersburgu, później w Szwajcarii i Anglii.

Po trudnym dzieciństwie jej młodość obfitowała z kolei w nadmiar różnorodnych, często niespodziewanych wydarzeń. Rewolucyjne lata 1905–1906 spędziła w Petersburgu, gdzie pobierała nauki i mieszkała w domu Plater-Zyberków. Później wyjechała z matką Zofią Buyno do Szwajcarii, gdzie w Genewie zetknęła się z rosyjskimi anarchistami, przeżyła pierwszy młodzieńczy bunt i postanowiła zerwać z matką. Ale to zapewne dzięki niej wyjechała do Oxfordu po dalsze nauki w kolegium dla cudzoziemców. W końcu trafiła do Krakowa, zapisała się na uniwersytet, a przez swą siostrę Barbarę, która tam mieszkała, poznała Józefa Piłsudskiego. W tym czasie, w 1911 r., wydała swój pierwszy zbiór wierszy pt. „Ikarowe loty".

Służba w polu i w niepodległej ojczyźnie

Studia na Uniwersytecie Jagiellońskim przerwał wybuch I wojny światowej. Kazimiera wróciła na Litwę. Zgłosiła się do wojska rosyjskiego jako sanitariuszka i służyła w polskim oddziale Wszechrosyjskiego Związku Ziemskiego. W latach 1915–1917 brała udział w regularnych walkach, ratując rannych i zbierając z bitewnych pól zabitych. Sama ledwie uszła z życiem, wycieńczona zapadła na ciężką dyzenterię. Osłabiona chorobą musiała się wycofać ze służby, wyjechała do Petersburga, gdzie po wyzdrowieniu zaczęła pracować w drukarni. Być może dzięki tej pracy wydała w 1917 r. kolejne tomy poezji – „Kolędy polskiej biedy" i „Trzy struny".

Najbardziej burzliwe, rewolucyjne lata 1917–1918 przeżyła pod Petersburgiem, gdzie mieszkała w domu rodziny Plater-Zyberków. Oglądając z bliska to, co działo się w Rosji, zdecydowała, że musi ją jak najszybciej opuścić. W połowie 1918 r. była już w Warszawie i wkrótce, odnawiając dawne znajomości, wykorzystując umiejętność posługiwania się »

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI ŻARTOWAŁ Z KAZIMIERY: „IŁŁAKOWICZÓWNA TO TA, CO CZYTA CUDZE LISTY". W TEN SPOSÓB PRAWIE 10 LAT UPŁYNĘŁO JEJ NA SŁUŻBIE W GABINECIE PIŁSUDSKIEGO

eprasa.pl 1a0018e33b

wieloma językami, rozpoczęła pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych nowego, odradzającego się polskiego państwa.

Już we wczesnej młodości znalazła się Iłłakowiczówna w kręgu ważnych wydarzeń, dwóch rewolucji i wojny światowej. Najpierw był to wynik splotu rodzinnych wpływów i losowych przypadków, później już świadomych wyborów i decyzji autorki „Ścieżki obok drogi". Służba w państwie odzyskującym niepodległość i odbudowującym się od podstaw była już decyzją samodzielną, wynikającą z woli podporządkowania się przynajmniej po części celom ponadindywidualnym, wspólnotowym; była niewątpliwie świadomym podjęciem się patriotycznych i obywatelskich zarazem obowiązków. Na ile ten rodzaj drogi życiowej – bo jednak, jak się okaże, nie kariery – wynikał z potrzeby oswobodzenia się z ciężaru dzieciństwa, z chęci odrzucenia dawnych bolesnych początków życia, pamięci o przeszłości, a na ile był to odruch podjęcia służby w celach wyższych, w niezwykłej, niepowtarzalnej sytuacji odbudowy własnego, dopiero odzyskiwanego kraju, to wszystko może być kwestią domysłów, przypuszczeń, możliwych rozważań. Iłłakowiczówna często powtarzała, że swą służbę państwową stawiała wyżej niż swą poezję, ale przecież poezji nigdy nie porzuciła, a służbę zakończyła we wrześniu 1939 r. Poetką była przez całe długie życie.

Poezja i proza

Do tego była poetką wszechstronną i płodną od debiutanckiego tomu „Ikarowe loty", w którym młodzieńcze wzloty duszy sąsiadują z młodzieńczymi upadkami, depresjami; od następnego tomu „Trzy struny", wydanego w Petersburgu w 1917 r., w którym pojawiają się obrazy wojenne, refleksje o klęskach i ludzkich losach, o poczuciu sensu w obliczu napierającej śmierci, odtąd poezja Iłłakowiczówny rozdziela się na dwie strony jak jej całe życie: liryczną, najbardziej osobistą z odwołaniem do najdrobniejszych realiów jej życia, wspomnień z dzieciństwa, litewskich krajobrazów, charakterystycznych postaci i motywów szczegółowych, nieraz życiowych drobiazgów i ulotnych chwil, oraz epicką, historyczną, patriotyczną i religijną z tomów wczesnych („Kolędy polskiej biedy") czy późniejszych („Ballady bohaterskie" z 1934 lub „Słowik litewski" z 1936 r.).

Natomiast proza Iłłakowiczówny, przypomniana teraz przez wydawnictwo PIW, miała przeważnie charakter wspomnieniowy, a zarazem liryczny, osobisty, spisana najwyraźniej przez poetkę. Książkę „Ścieżka obok drogi" napisała Iłłakowiczówna po śmierci Piłsudskiego jako wspomnienie o swej pracy jako sekretarza Marszałka. Piłsudskiego poznała dużo wcześniej w Krakowie, w czasie swych studiów, przez swą siostrę Barbarę, która wynajmowała pokój u państwa Piłsudskich i jednocześnie pomagała w redagowaniu oraz tłumaczeniu pism przyszłego Marszałka. Kazimiera poznała tam ludzi z kręgu PPS, najbliższych współpracowników Piłsudskiego: Sławka, Prystora, Sokolnickiego. Jeszcze w Petersburgu miała kontakty z działaczami PPS, ale sama nigdy podobnej pracy politycznej nie podjęła.

Natomiast już w 1918 r. od razu przystąpiła do służby państwowej i – nie kontaktując się nawet z Piłsudskim – rozpoczęła pracę w MSZ. Była odtąd uczestnikiem lub świadkiem wielu ważnych wydarzeń państwowych. Mimowolnie stała się świadkiem zabójstwa prezydenta Narutowicza, co opisała przejmująco w swej książce. Znalazła się przy nim zaraz po morderczych strzałach poproszona o pomoc jako była sanitariuszka. Ale pomoc była już zbędna. „Prezydenta trzymało kilka osób w pozycji półleżącej [...]. »Połóżmy go na podłodze« – powiedziałam. Uklękłam i oparto go o mnie klęczącą. [...] U stóp Prezydenta siedział na krześle zabójca. Oficer, biały jak papier, trzymał mu łokcie skręcone w tył. [...] Twarz Prezydenta, gdy ją miałam na kolanach, była cały czas niezmiernie spokojna, tak jakby umarł bez wstrząsu".

Kazimiera Iłłakowiczówna, „Proza", przedmowa Mirosława Ołdakowska-Kuflowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2018

Piłsudski zaprosił, a właściwie wezwał, Iłłakowiczównę jako osobę zaufaną po zamachu majowym w 1926 r. na stanowisko swego sekretarza. Niechętnie opuszczała MSZ, w którym pracowała już prawie 10 lat, i długo opierała się woli Marszałka, teraz ministra spraw wojskowych. Nie była związana z wojskiem, nie znała się na jego sprawach, ale właśnie takiej osoby, która ociepliłaby surową atmosferę urzędu, Piłsudski potrzebował. W końcu zgodziła się, organizowała jego spotkania i prowadziła korespondencję, która masami przychodziła do Marszałka. Wieniawa-Długoszowski żartował z niej: „Iłłakowiczówna to ta, co czyta cudze listy". W ten sposób prawie 10 lat upłynęło jej na służbie w gabinecie Piłsudskiego aż do jego śmierci, którą wraz z pogrzebem opisała przejmująco, można śmiało powiedzieć z miłością, w książce „Ścieżka obok drogi".

Obecne wydanie prozy poetki zawiera również wydane już w PRL wspomnienia „Niewczesne wynurzenia", „Z rozbitego fotoplastykonu", „Trazymeński zając. Księga dygresji". Autorka przypominała w nich dość wyrywkowo swe przedwojenne podróże po Europie z prelekcjami o Polsce, a także pobyt wojenny w Rumunii, powrót do kraju w 1947 r. i swe życie w Poznaniu na marginesie środowiska literackiego. Nie mogła ich wtedy spisywać całkiem otwarcie i nawet w ich literackiej, fragmentarycznej formie widać wpływ warunków PRL. Mimo że w pewien zakamuflowany sposób, dyskretnie i aluzyjnie prowadziła swą grę z cenzurą, nie wszystko udało jej się przemycić, podobnie jak nigdy w PRL nie udało się opublikować jej wierszy katyńskich, pisanych w czasie wojny, ani wiersza „Rozstrzelano moje serce" o ofiarach Czerwca 1956 r. w Poznaniu. W obecnym wydaniu przywrócono kilka szkiców, które cenzura wtedy odrzuciła, m.in. anegdotyczne i niewinne raczej obrazki „Obiad z Goebbelsem" czy „Reminiscencje pani Kołłątaj". Po tomie „Prozy" warto by teraz wydać obszerny zbiór poezji Kazimiery Iłłakowiczówny, która była niewątpliwie jedną z najwybitniejszych a mało znanych polskich poetek zeszłego wieku. Tyle że należałoby go wydać z lepszą okładką, bo na tej z trudem można odnaleźć nazwisko autorki.

117/0119/F

eprasa.pl 1a0018e33b

Dzieci niewolnicy

Trudno przejść do porządku dziennego nad zdjęciem kilkuletniego dziecka, które od najmłodszych lat musi pracować ponad siły, by zarobić na najskromniejszy posiłek. Jeszcze trudniej pogodzić się z tym, że wciąż możemy być świadkami takiego widoku. Tak, w XXI w. wykonujący niemalże niewolniczą pracę nieletni nie są wcale „marginesem marginesów". W wielu zakątkach naszego, jakże nowoczesnego świata, kilkuletni chłopcy i dziewczęta muszą przez kilkanaście godzin dziennie wykonywać najpodlejszą pracę, by móc pozwolić sobie na kawałek chleba czy dach nad głową. Tym samym zapewniając nam – żyjącym w „normalnych" warunkach – dobra niemalże luksusowe z ich perspektywy. Okazuje się, że schemat opartej na wyzysku pracy nieletnich pozostał niezmienny od XIX w. Mówiąc dziś o tym dramacie, mamy zazwyczaj na myśli kraje Dalekiego Wschodu. Wtedy dotyczyło to Starego Kontynentu.

„Dzisiaj nie pójdziesz do szkoły. Dzisiaj skończyło się twoje dzieciństwo" – mówi matka swojemu kilkuletniemu synowi. Miejsce? Wiktoriańska Anglia. Bohater? Charlie, który właśnie się dowiedział, że nie będzie mógł wraz z rówieśnikami uczyć się czytać i pisać. Charlie nie ma jeszcze dziesięciu lat i właśnie idzie do pierwszej pracy. Takiej prawdziwej, kilkunastogodzinnej ciężkiej orki w fabryce. Chłopiec nie będzie jednak zazdrościć wspomnianym rówieśnikom, bo oni będą pracowali razem z nim.

Charlie to tylko jeden z bohaterów książki Katarzyny Nowak „Dzieci rewolucji przemysłowej. Kto naprawdę zbudował współczesny świat". Książka, która przypomina losy europejskich dzieci od najmłodszych lat pracujących jak dorośli. W biedzie, brudzie i upodleniu budujących bogactwo. Oczywiście nie swoje. Opatrzona przerażającymi zdjęciami dziecięcych półniewolników książka Katarzyny Nowak jest opowieścią, do której raczej niechętnie zajrzą miłośnicy opowiastek o romantycznym wieku XIX.

Nowak pokazuje rzeczywistość, w której nie ma miejsca na podstawowe dla nas prawa związane ze światem pracy. Skądinąd to przejmująca ilustracja, skąd wzięła się tak paląca potrzeba wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy i minimalnego bezpieczeństwa socjalnego. Książka „Dzieci rewolucji przemysłowej" powinna się znaleźć na półkach europejskich i polskich „Januszów biznesu", którzy wciąż są przekonani, że samo danie komuś pracy czyni z nich panów i władców ludzkiego życia.

Patrząc z perspektywy naszych czasów, trudno nie doceniać łaski „szczęśliwego dzieciństwa". Opisane przez Nowak dzieciaki nie dostały na nie najmniejszej szansy.

TOMASZ KARPOWICZ

Katarzyna Nowak,
„Dzieci rewolucji przemysłowej.
Kto naprawdę zbudował współczesny świat",
wyd. ZNAK Horyzont 2019

REKLAMA

RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Paweł Jasienica, „Polska Piastów", Prószyński i S-ka, Warszawa 2018
Paweł Jasienica, „Polska Jagiellonów", Prószyński i S-ka, Warszawa 2018
Paweł Jasienica, „Rzeczpospolita Obojga Narodów", Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

Paweł Jasienica należy niewątpliwie do najwybitniejszych polskich publicystów historycznych XX w. Jego pisarstwo cechują niezwykle żywa narracja, eseistyczna forma, lekkość pióra oraz umiejętność wnikliwego opisu przyczynowo-skutkowego. Z jego stylem w moim przekonaniu równać się może właściwie tylko Stanisław Cat-Mackiewicz, choć wileński konserwatysta nie posiadał aż tak głębokiej znajomości polskich dziejów, co autor „Słowiańskiego rodowodu". Najważniejszym wkładem Jasienicy w opis polskich dziejów jest bez wątpienia trylogia „Polska Piastów", „Polska Jagiellonów" i „Rzeczpospolita Obojga Narodów", niedawno wznowiona przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Wspomniane prace pierwotnie ukazały się w latach 60. i 70. XX w., a ich autor musiał się borykać z ograniczeniami cenzury, szczególnie w przypadku „Rzeczpospolitej Obojga Narodów". Trylogia zyskała w okresie PRL wielką popularność wśród czytelników (zarówno wśród laików, jak i zawodowych historyków). Zawiera ona oryginale, autorskie spojrzenie Jasienicy na dzieje przedrozbiorowej Polski. Autor nie stroni w niej od zdecydowanych, ale zwykle dobrze uargumentowanych, sądów dotyczących wielu ważnych postaci naszych dziejów. Z pełnym przekonaniem przyjął formę eseistyczną, odżegnując się od traktowania jego prac jako dzieł naukowych czy też nawet popularno-naukowych.

Jasienica niewątpliwe patrzył na niektóre z opisywanych przez siebie postaci z sympatią, ale starał się zachować przy tym dużą dozę obiektywizmu. Nie popełniał także błędu prezentyzmu. Oceniając, przykładał miarę współczesnych dla przywoływanych przez siebie bohaterów. Autor trylogii wysoko cenił dynastię piastowską, ze szczególnym uwzględnieniem Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego. Słusznie podkreślał ich zasługi dla stworzenia silnego i nowoczesnego państwa. Nie potępiał też, co ciekawe, Bolesława Krzywoustego za testamentowy podział państwa. Oceniał, że tendencja do rozdrobnienia była w okresie panowania wspomnianego monarchy czymś powszechnym, a król starał się w możliwie optymalny sposób zabezpieczyć swoje dziedzictwo przed zbyt daleko idącym podziałem. W interesujący i wnikliwy sposób autor „Myśli o dawnej Polsce" omówił okoliczności zawarcia unii polsko-litewskiej, zyski i koszty obu umawiających się stron. Przedstawił także interesującą tezę, że jej podpisanie o wiele głębiej wpłynęło na Koronę niż Wielkie Księstwo Litewskie. „Koroniarze" musieli głęboko zmienić cele własnej polityki i przenieść ciężar wysiłku państwowego na wschód. Z rozważań Jasienicy można wywnioskować, iż uważał on, że większe korzyści na związku państwowym odniosła Litwa, która dzięki polskiemu wkładowi cywilizacyjnemu wzniosła się na znacznie wyższy niż przed unią poziom. Spoglądając na późniejsze tezy Jasienicy, należy wskazać, że nie oceniał on zbyt krytycznie Henryka Walezjusza, który opuścił polski tron (jego analiza mówiąca, iż był to wówczas najlepszy z kandydatów, jest bardzo przekonująca). Szczególnie wysoko autor „Polski Jagiellonów" oceniał dorobek króla Stefana Batorego, zwłaszcza w kontekście wypraw wojennych przeciwko Iwanowi Groźnemu. Zwrócił jednak uwagę także na zaniedbania wybitnego monarchy, takie jak dopuszczenie do sukcesji w Prusach brandenburskiej linii Hohenzollernów czy ustanowienie dożywotniego pełnienia urzędów przez hetmanów wielkich. Tego typu tez wzbudzających chęć dyskusji z Jasienicą jest o wiele więcej. Dokonałem jedynie ich punktowego wyboru, by pokazać, jak interesujące może być i dzisiaj zapoznanie się z dorobkiem tego wybitnego publicysty. Pozostaje żałować, że nowe wydanie jego dzieł nie zostało poprzedzone bardziej pogłębionym wstępem omawiającym okoliczności powstania poszczególnych tomów trylogii.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
eprasa.pl 1a0018e33b

„Obudzić Naród do wielkości. Wystąpienia Janusza Kurtyki przed Parlamentem RP 2005--2010", IPN, wstęp i oprac. Cecylia Kuta, wybór: Cecylia Kuta, Jarosław Tęsiorowski, Warszawa 2019

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Dorobek śp. Janusza Kurtyki – zarówno jako historyka, jak i przede wszystkim jako prezesa Instytutu Pamięci Narodowej – w dalszym ciągu jest inspirujący i dla badaczy, i dla wszystkich zainteresowanych historią najnowszą naszej ojczyzny. Wynika to w głównej mierze z przekonania, które żywił i propagował, że Polacy powinni się wyzwolić z wpływu PRL na swoją świadomość i ideową tożsamość. Uważał, że żyjąc w wolnym kraju, musimy się zachowywać jak ludzie wolni, a nie tkwić mentalnie w spadku po systemie komunistycznym. Warto w tym względzie sięgnąć po wydane drukiem prace dot. historii najnowszej autorstwa tragicznie zmarłego prezesa IPN oraz zbiory zawierające jego wywiady prasowe i wspomnienia jego bliskich współpracowników. Jako ich uzupełnienie należy traktować niedawno wydany tom zawierający przemówienia Kurtyki wygłoszone w latach 2005–2010 na forum parlamentu RP. Redaktorzy tomu zdecydowali się pominąć kwestie dot. budżetu i spraw finansowych, słusznie uznając, że najważniejsze jest przedstawienie wątków historycznych w wystąpieniach prezesa IPN kierowanych do posłów i senatorów. Treść źródłową poprzedził wstęp przygotowany przez Cecylię Kutę zawierający ocenę spojrzenia Kurtyki na najważniejsze polskie problemy historyczne oraz politykę przywracania pamięci o charakterze systemu komunistycznego w Polsce.

„Biuletyn IPN", 2019, nr 4, „Ostry stół"

Okrągła rocznica obrad Okrągłego Stołu, która wypadła w 2019 r., zachęca do sporządzania pogłębionych ocen tego istotnego dla polskiej historii wydarzenia. Dotychczas dominowało spojrzenie mówiące o tym, że była to najlepsza możliwa droga do transformacji ustrojowej. Owszem, istniał także nurt krytyczny wskazujący, że przy znanym meblu doszło do zdrady części solidarnościowych elit, które dogadały się ze swoimi niegdysiejszymi oprawcami, ale był on wyraźnie spychany na margines w refleksji historiograficznej. Najnowszy numer „Biuletynu IPN" jest moim zdaniem udaną próbą przedstawiania argumentów strony krytycznie oceniającej porozumienie okrągłostołowe. Znalazły się w nim artykuły dotyczące nie tylko Okrągłego Stołu, lecz również wydarzeń, które go poprzedzały, jak i wyborów z czerwca 1989 r. Do najważniejszych z nich należą teksty: Justyny Błażejowskiej na temat spojrzenia Jana Olszewskiego na strategię komunistów, Cecylii Kuty o politycznym konstruowaniu Okrągłego Stołu, Sebastiana Pilarskiego o podejściu do negocjacji Grupy Roboczej Komisji Krajowej „Solidarności", ks. Jarosława Wąsowicza o stosunku do porozumień organizacji młodzieżowych. Warto także zwrócić uwagę na artykuły Michała Siedziaki, będące syntetyczną analizą wyborów w 1989 r., czy Krzysztofa Sychowicza, który omówił przebieg czerwcowej elekcji w ówczesnym województwie białostockim.

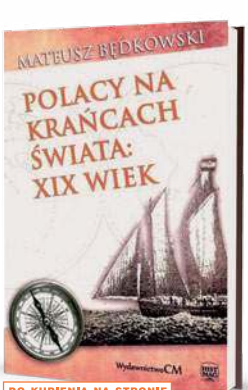

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Mateusz Będkowski, „Polacy na krańcach świata: XIX wiek", Promohistoria, Wydawnictwo CM, Warszawa 2019

Polacy mimo utraty ojczyzny w XVIII w. i porażek powstań w wieku kolejnym nie pogrążali się w rozpaczy. Część z nich czynnie walczyła z zaborcami, inni zaangażowali się w pozytywistycznie rozumianą pracę społeczną, niektórzy zaś postanowili się stać podróżnikami lub eksploratorami zwiedzającymi najróżniejsze fragmenty globu. W przypadku tych ostatnich, będących bohaterami książki Mateusza Będkowskiego, często wyboru dokonywały za nich okoliczności życiowe, takie jak zesłania przez rosyjskiego zaborcę. W książce „Polacy na krańcach świata" znalazło się kilkanaście interesujących historii dot. losów polskich podróżników w XIX w. Do najciekawszych należą bez wątpienia historie: kapitana Adama Mierosławskiego, właściciela wysp na Oceanie Indyjskim; Seweryna Korzelińskiego i jego wyprawy po złoto do Australii; Bolesława Piłsudskiego, który stał się badaczem Ajnów; czy też Henryka Arctowskiego i Antoniego Dobrowolskiego zajmujących się eksploracją Antarktyki.

REKLAMA

10/0119/F

eprasa.pl 1a0018e33b

Państwowy Instytut Wydawniczy

Mobutu znaczy Wszechmocny

ELŻBIETA BRZOZOWSKA

„Jeśli kradniecie, nie kradnijcie dużo za jednym razem, w przeciwnym razie zostaniecie aresztowani. Kradnijcie plasterek po plasterku, po trochu" – zaapelował do rodaków Mobutu, prezydent i jedyny władca Zairu, obserwując toczącą kraj korupcję. Choć brzmi to jak żart, dobrze ilustruje zatrważający bilans ponad 30 lat rządów Mobutu. Rządów, które były witane nadzieją na wygaszenie konfliktów wewnętrznych, po zamachu stanu zostały przypieczętowane publiczną egzekucją, a zakończyły się niemal paniczną ucieczką ze zdewastowanego kraju.

Skreślona przez Jeana-Pierre'a Langelliera – francuskiego dziennikarza i jednego z najświetniejszych znawców Afryki – licząca 400 stron biografia to dużo więcej niż portret jednego z przywódców afrykańskich doby dekolonizacji. To wniknięcie w budzącą zgrozę historię największego frankofońskiego państwa Afryki. Jego zasoby – zwłaszcza w prowincji Katanga – rozpalały wyobraźnię i popychały do zbrodni najpierw Belgów, a po latach tych, którzy władzę Belgom odebrali, by – tym razem w imieniu swych pobratymców – zasiać terror na nowo.

Jednocześnie to książka pełna anegdot, czyniących jej lekturę tak przyjemną – jak te związane z zainicjowanym przez Mobutu w 1971 r. ruchem autentyczności, kiedy Kongo stało się Zairem, prezydent wydłużył oficjalne imię do Mobutu Sese Seko Kuku Ngendu wa Za Banga (czyli: „Wszechmocny wojownik, który pozostawia za sobą ogień i kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa, a nic ani nikt nie może go zatrzymać"), a obywatele (bo już nie panie i panowie) zaczęli nosić obowiązkowe pagne i abacosty, zrywając z modą europejską. Jednak pod warstwą anegdotyczną kryje się poważne studium polityki międzynarodowej, zwłaszcza zimnowojennej. Oto bowiem młody wojskowy, który doszedł do władzy w wyniku zamachu stanu, przez ponad 30 lat potrafił zręcznie lawirować między mocarstwami, przekuwając uwikłanie w rywalizację między blokiem wschodnim i zachodnim w swój główny atut. Grając kartą obrony przed wpływami komunistycznych partyzantek, Mobutu stał się kłopotliwym przyjacielem prezydentów największych państw demokratycznych. Kłopotliwym tym bardziej, że swoich rywali i konkurentów eliminował w iście szekspirowskim stylu.

„Mobutu" to wnikliwy portret człowieka opętanego przez władzę; kraju będącego poniekąd sumą wszystkich nieszczęść Afryki; czasów, w których rywalizacja między blokami dyktowała wybory polityczne; i w końcu samej polityki, w której strategiczne sojusze oznaczają przymykanie oczu na zbrodnie.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

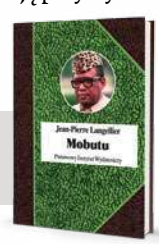

Jean-Pierre Langellier, „Mobutu", Państwowy Instytut Wydawniczy 2019

Gdyńskie opowieści

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Czas letni to dla wielu z nas podróże nad polskie morze, plażowanie i kąpiele. Ale nie tylko – wiele miast przyciąga atrakcjami turystycznymi, w tym muzeami. Wśród nich jest Gdynia – miasto, którego powstanie kojarzy się nam z odzyskaniem przez Polskę niepodległości.

Warto zwrócić uwagę na dwie bardzo ciekawe propozycje wydawnicze gdyńskich muzeów, skierowane do młodego czytelnika. Pierwsza, wydana przez Muzeum Miasta Gdyni, zaczyna się słowami: „Dzień dobry, nazywam się Antoni. KOT ANTONI. Mieszkam w Gdyni, mieście i porcie nad Bałtykiem, które jeszcze 100 lat temu było wsią. Wiele widziałem, chodząc własnymi ścieżkami. Oswoiłem niejednego człowieka. Z niejednej miski mleko piłem".

I wszystko jasne – głównym bohaterem książki Doroty Abramowicz i przewodnikiem po historii Gdyni jest kot. Wraz z nim śledzimy rozwój kaszubskiej wsi, a potem miasta za II RP, potem jej dzieje w latach II wojny światowej, PRL (wraz z dramatycznymi wydarzeniami roku 1970), by ostatecznie dotrzeć do czasów współczesnych. Czytelnik poznaje najważniejsze momenty z historii miasta oraz postaci, które miały wpływ na jego rozwój. Pojawiają się więc: Tadeusz Wenda, Eugeniusz Kwiatkowski czy Antoni Abraham. A wszystko opowiedziane prostym, odpowiednim dla młodego czytelnika językiem i wzbogacone pięknymi ilustracjami Joanny Czaplewskiej, zaprojektowanych m.in. na podstawie archiwalnych fotografii z zasobów Muzeum Miasta Gdyni.

Druga gdyńska książka to przewodnik rodzinny po wystawie Muzeum Emigracji. Jak mówią autorzy, jest on pełen niespodzianek, zakamarków, zapachów i niezwykłych zadań oraz ukrytych zagadek. „Książka otwarta na świat" tłumaczy młodemu czytelnikowi, czym jest muzeum, jaka jest jego historia, tłumaczy pojęcie emigracji, wreszcie opowiada historię Polski z perspektywy emigracyjnej. Przewodnik ma ciekawą szatę graficzną opracowaną przez Dawida Ryskiego. Ta lektura to fantastyczna przygoda.

Dorota Abramowicz, „Gdyńskie wędrówki kota Antoniego", Ilustracje: Joanna Czaplewska, Wyd. Muzeum Miasta Gdyni

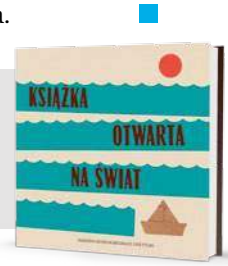

„Książka otwarta na świat", koncepcja oraz tekst: Anna Posłuszna i Katarzyna Witt; Opracowanie graficzne i ilustracyjne: Dawid Ryski, Wyd. Muzeum Emigracji

eprasa.pl 1a0018e33b

JAK UCZŁOWIECZYĆ HITLERA, NIE DRAŻNIĄC ROSJI

NIEMIECKI FILM „UPADEK" Z 2004 r. TO WAŻNY KROK W STRONĘ ROZLICZENIA SIĘ NIEMCÓW ZE SWOJĄ PONURĄ PRZESZŁOŚCIĄ. OPOWIADA O OSTATNICH DNIACH ŻYCIA HITLERA TUŻ PRZED JEGO SAMOBÓJCZĄ ŚMIERCIĄ I UPADKIEM III RZESZY. TEN OPARTY NA PRAWDZIWYCH RELACJACH OBRAZ UKAZUJE NIEMIECKIEGO PRZYWÓDCĘ I JEGO OTOCZENIE W WYMIARZE LUDZKIM, CO MUSIAŁO WYWOŁAĆ LICZNE KONTROWERSJE

KAROL MAZUR

Film Olivera Hirschbiegela został oparty w głównej mierze na świadectwie Traudl Junge, osobistej sekretarki Adolfa Hitlera. Zatrudniona w 1942 r. młoda kobieta była z Führerem do końca jego życia, dlatego jej relacja jest bardzo cenna. Śledzimy jej oczami wydarzenia rozgrywające się w bunkrze pod kancelarią Rzeszy w Berlinie podczas sowieckiego oblężenia z końca kwietnia i początku maja 1945 r. Widzimy, jak w przededniu upadku III Rzeszy zachowywali się jej funkcjonariusze. Niektórzy na czele z Hitlerem do końca łudzili się, że pomoc nadejdzie i uda się odeprzeć sowiecką nawałnicę. Inni szukali ucieczki lub pocieszenia w alkoholu i w zabawach z płcią przeciwną. Obraz z bunkra Hitlera uzupełniony został o dodatkowe wątki z zewnątrz. W filmie poznajemy też niemieckiego lekarza, który wbrew przeciwnościom próbuje sumiennie wypełnić swoje powinności, a także żołnierza – nastolatka z Hitlerjugend, który wbrew rodzicom pozostaje oddany hitlerowskiej propagandzie walki do końca. Najbardziej uwagę przykuwa jednak postać Adolfa Hitlera. Obserwujemy człowieka, który utracił kontakt z rzeczywistością, który miota się między megalomanią a przygnębieniem. Jego samobójcza śmierć została pokazana jako skutek rozczarowania nie tyle najbliższymi współpracownikami, którzy jak Himmler zaczęli szukać na własną rękę ocalenia, ile przede wszystkim całym niemieckim narodem, który nie dosięgnął wielkości swojego wodza.

„Upadek" to bardzo dobre kino historyczne. Mimo że film trwa prawie dwie i pół godziny, ogląda się go jako niezwykle ciekawe studium rozkładu III Rzeszy. Wielu krytyków zwraca jednak uwagę, że w filmie zabrakło szerszego kontekstu historycznego, a postać Hitlera została zbyt uczłowieczona i może budzić bardziej współczucie niż potępienie. Zarzut ten, choć zrozumiały zwłaszcza dla tych, którzy doświadczyli zbrodni niemieckich podczas wojny, można jednak do pewnego stopnia odeprzeć. „Upadek" jest skierowany raczej do świadomych odbiorców, którzy znają skutki polityki III Rzeszy. Hitlera postrzegamy zaś przez wspomnienia jego sekretarki, dlatego jasne jest, że poznajemy go też jako szarmanckiego i wyrozumiałego szefa. Nie zmienia to faktu, że był to zbrodniarz, który doprowadził do wymordowania milionów ludzi i upadku swojego państwa. Moim zdaniem produkcja Hirschbiegela jest pewnym rachunkiem sumienia współczesnych Niemców. Świadczą o tym ostatnie słowa wypowiedziane w filmie przez Trudl Junge, która z przejęciem opowiada po latach, że zdała sobie sprawę, po jakiej stronie się znalazła, gdy zapoznała się z historią swojej rówieśniczki – Sophie Scholl, która odważne sprzeciwiła się nazistowskiemu reżimowi, za co poniosła najwyższą karę. Czy to wystarczy? Nie wiem. Ale usłyszeć to dziś od niemieckiego świadka historii to naprawdę dużo.

Według mnie większe kontrowersje budzi pokazanie Armii Czerwonej, która w filmie odgrywa rolę sił niemal wyzwolicielskich. Twórcy „Upadku" wyraźnie unikali pokazania Związku Sowieckiego jako państwa totalitarnego, którego metody działania były podobne do polityki III Rzeszy. Wojska sowieckie zaś, prąc na zachód, pozostawiały za sobą prawie spaloną ziemię. Represje dotykały zwłaszcza niemieckich kobiet. Gwałcone masowo umierały w mękach lub żyły dalej w traumie. Bohaterka filmu natomiast, po ucieczce z bunkra Hitlera, bez problemu przechodzi między sowieckimi sołdatami w mundurze niemieckiego żołnierza. Scena ta wydaje się mało realistyczna. Sama Junge w swoich wspomnieniach wyraźnie pomija szczegółowe okoliczności swojego wyjścia z Berlina. Skądinąd wiemy jednak, że uciekająca z nią dietetyczka Hitlera Constanze Manziarly nie przeżyła. Zginęła najprawdopodobniej bestialsko zgwałcona. Możliwe też, że po gwałcie popełniła samobójstwo, zażywając kapsułkę z cyjankiem, którą otrzymali wszyscy najbliżsi współpracownicy wodza III Rzeszy.

eprasa.pl 1a0018e33b

PANNA ANNA I GENERAŁ

BYŁA TO EPOKA RÓŻU, BIELIDŁA, PACHNIDEŁ, ROMANSÓW PANI DE GENLIS ORAZ „ZABAW PRZYJEMNYCH I POŻYTECZNYCH". W TAKICH REALIACH JAK BARWNY I ULOTNY MOTYL POJAWIŁA SIĘ MŁODA, ŚWIETNIE WYKSZTAŁCONA POLSKA SZLACHCIANKA O GRZECZNYCH MANIERACH FRANCUSKIEJ MARKIZY, CÓRKA ILUMINATA I DZIAŁACZKI POLITYCZNEJ

JOANNA PUCHALSKA

Anna Grabianka urodziła się na Podolu w 1773 r. Jej ojcem był Tadeusz Leszczyc de Pankraczewice Grabianka, starosta liwski, który doznał oświecenia i jako Król Nowego Izraela należał do organizacji zwanej Narodem Bożym lub Nową Jerozolimą. Później uważano go nawet za prekursora mesjanizmu. Parał się także alchemią, a właściwie to parali się inni iluminaci za jego pieniądze. Gdy on w obcych krajach zajmował się mistyką, małżonka, Teresa ze Stadnickich, starała się spowolnić szybkie topnienie ogromnego majątku, a także oddawała się swojej wielkiej pasji – polityce. W pałacu w Ostapkowcach ustalano całe listy przyszłych posłów na sejm.

Światowe życie Nanetki

Grabianka zabrał córkę za granicę i nawet w Berlinie ją „konsekrował", co oznaczało przyjęcie do iluminatów. Na szczęście dziewczynka, która ojca kochała nad życie, niedługo przebywała pod jego wpływem. Do kraju wróciła na początku 1787 r. na żądanie bojącej się o nią matki, która natychmiast zawiozła ją na czas jakiś do Warszawy i wprowadziła w wielki świat. Pierwsze swoje wystąpienie panna tak opisała: „...salon był przepełniony paniami i panami wielkiego świata, brylantów, rubinów, gwiazd co niemiara. I ja byłam wystrojona jak lalka, policzki moje okrywał róż, puder biedne czarne włosy bielił". Nużyło ją to niewymownie i tęskniła do Ostapkowców. „Nie masz dla mnie nic milszego i zabawniejszego jak książki" – deklarowała ta oczytana, mądra dziewczyna, w dodatku sama pisząca całkiem przyjemne utwory. Jednym z ciekawszych był panieński dzienniczek w formie listów, zatytułowany po francusku „Listy dwóch serdecznych przyjaciółek o rozmaitych przedmiotach, przez pannę Nanetę Grabiankę, rozpoczęte w czerwcu 1787 roku i doprowadzone do końca 1788 roku". Autorka we wstępie wyznała, że są to przyjaciółki wyimaginowane. „Sama ja to bowiem spowiadam się z wrażeń przed sobą – i sama sobie odpowiadam". Przy czym Naneta pisała po francusku, a Żaneta odpowiadała jej po polsku. Poza tym panna Anna pilnie studiowała historię powszechną, fizykę, geografię, prawodawstwo i filozofię.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 1a0018e33b

Niewątpliwie była osobą spostrzegawczą. O działalności matki powiedziała: „Prawdą jest, [...] że mężczyźni mówią o kobietach, co im się podoba, ale za to kobiety robią z mężczyznami, co się im podoba”.

I serduszko drgnęło

Na początku wojny rosyjsko-tureckiej komendantem w Kamieńcu został generał major Józef Orłowski. Od razu złożył wizytę w Ostapkowcach u pani Grabianczyny, będącej kimś w rodzaju premiera w województwie. Niestary, około czterdziestki, miłej dla oka powierzchowności, w korpusie kadetów kolegował się z Niemcewiczem, kilka lat był adiutantem księcia Czartoryskiego. Wesoły, dowcipny, ale nie złośliwy. Od początku wpadł Nanetce w oko, ale z początku nie zwrócił na nią uwagi, gdyż zagarnęły go starsze panie. Dopiero gdy panna zaczęła ułatwiać spotkania Tekli Żurowskiej z zakochanym w niej jego przyjacielem Kościuszką, poznał ją bliżej i zaimponowała mu rozumem i wykształceniem, a przy tym prostotą i skromnością. Skończyło się poważną dyskusją o filozofii. W późniejszym liście, kierowanym do „Jmci Panny Starościanki Dobrodziejki”, generał wspominał tę ich rozmowę z wyraźnym zachwytem. Był zwolennikiem stoików i musieli ten temat poruszyć, bo napisał do niej w swoim wytwornym stylu: „Że Jaśnie Wielmożna Panna Dobrodziejka tak prędko na stronę stoików przeszła, lubo ich cnoty posiadasz, ja jednak wątpię, żebyś to uczyniła z serca. Może tylko z grzeczności, która jest jej wrodzona, do mojej przyłączyłaś się wiary, nie chcąc mnie nawracania mego nieskutecznością martwić”. A Nanetka poczęła jeszcze intensywniej zgłębiać filozofię.

Amor i wiatr historii

Pisał do niej nie tylko o stoikach, ale i o perypatetykach, epikurejczykach i sceptykach. W listopadzie 1791 r. przyjechał do Ostapkowców i wyraźnie jej nadskakiwał, ale nic z tego konkretnego nie wyszło. Z kolei rok 1792 był niepomyślny dla zakochanych. Gdy w połowie lipca targowiczanie zbliżyli się do Kamieńca, komendantowi udało się jednak znaleźć posłańca, który z narażeniem życia dostarczał listy do matki i córki. W jednym z nich generał powinszował pannie z okazji imienin. Podziękowała, dodając na końcu wiele znaczące słowa: „W tym tylko jedynie miary nie chcę znajdować, abym dla przyjaciela, jak Wielmożny Pan Dobrodziej, była najwdzięczniejszą i najszczerszą przyjaciółką”.

Targowica rozszalała się na Podolu. Grabianczynę – choć opowiadała się za Konstytucją – i Ostapkowce oszczędzono z racji jej rozlicznych stosunków i znajomości. Z polityką musiała jednak skończyć, odtąd zajmowała się tylko sprawami familijnymi. W połowie września przyszła wieść, że Orłowski wraz garnizonem Kamieńca przystąpił do konfederacji. Była to smutna konieczność z jego strony, niemniej oburzyło to starościnę liwską: „Stoik, a jak baba postąpił!” – wykrzyknęła w uniesieniu. Panna broniła wówczas komendanta tak gorąco, że matka poczęła się czegoś domyślać.

W październiku generał się dowiedział, że panie wyjeżdżają za granicę, więc prosił w liście, by mu pozwoliły się pożegnać i podziękować za wszystko. Nanetka w odpowiedzi zapewniła, że „ani mama, ani córka nie potrafią wygładzić z pamięci takiego przyjaciela”.

Kilka tygodni później wysłała kartkę z jeszcze serdeczniejszą deklaracją, że „równie jak matka doczekać się nie może urlopu generała i jego przybycia”. Liścik ten, pełen niezbyt umiejętnie skrywanego afektu, może ośmieliłby komendanta do podjęcia konkretniejszych kroków, ale na nieszczęście nie doszedł do adresata. Los tak zrządził, że Orłowski wtedy nie przyjechał, ale też panie nie wyjechały. Jeszcze tylko raz, w styczniu 1793 r., wpadł do Ostapkowców na chwilę. Było to ich ostatnie spotkanie.

W końcu października 1793 r. zapowiedział się z wizytą, na co mu odpisała: „...nic nam bowiem nie pozostaje w tych smutnych czasach, jak się poświęcić prywatnemu życiu, gdyż publiczne zamknięte dla nas na zawsze. Przybywaj więc Pan dzielić z nami nasze niewinne rozrywki i nasze troski”. Obiektywne trudności sprawiły, że nie udało mu się przybyć. Potem korespondencja urwała się na dobre.

Jak żyć bez rozmów o stoikach?

Pani Grabianczyna wprawdzie wyszła szczęśliwie z targowickiego pogromu, lecz mąż finansujący swoich iluminatów narobił tyle długów, że musiała teraz temu zaradzić. Poza tym należało wydać za mąż pannę Annę, liczącą już 22 wiosny. Konkurentów kręciło się wielu, ale żaden nie cieszył. Biedna Naneta nie mogła zapomnieć swego generała.

Pojawił się nowy wielbiciel, Leon Raciborowski. Z dobrego rodu, przystojny, wykształcony i miał dziedziczyć po dziadku znaczny majątek, w dodatku leżący o miedzę od dóbr Grabianków. Panna była dla niego grzeczna, ale obojętna. Matka zgodziła się na starania o rękę córki, postawiwszy wszak warunek. „Żądam po kawalerze, żeby u dobroczynnego dziada zyskał już całkiem oddanie i zupełne posiadanie Łysowód, a papiery donacji tej wsi i kontrakty wszelkich swoich posesji, jakie ma, abyś miał w oryginale gotowe u siebie, gdy je zechcę zobaczyć”.

Testament panny młodej

Kawaler spełnił wymagania, oświadczył się i został przyjęty. Zaraz potem Anetka zabrała się za sporządzanie testamentu. Matkę to przeraziło, aż sprowadziła lekarzy, którzy jednak niczego groźnego nie stwierdzili. Próbowała więc córkę nakłonić, by ta projektu zaniechała. Ten jeden raz w życiu Nanetka nie była jej posłuszna.

Dokument nosi datę 25 stycznia 1795 r. Przyszła panna młoda napisała w nim: „...wierzę mocno, że dopiero w sferach pozaświatowych zaznam prawdziwego, nieprzerwanego i świętego szczęścia. Nie zaznałam go na ziemi – nie skarżę się wszakże [...], świat ten żegnam bez żalu [...], rzucam poza siebie istotnie spojrzenie na tych, co zostają”. Następnie idą skromne zapisy – dla biednych mieszkańców klucza ostapkowieckiego, dla nieszczęśliwych rannych rodaków, osadzonych w Kijowie. I upominki – dla bliskich, krewnych, przyjaciół. Zaś rękopisy swoje testatorka prosiła „odesłać panu Józefowi Orłowskiemu, z najczulszym pożegnaniem ode mnie”.

Zaręczyny odbyły się na początku maja, ślub miesiąc później. Po niespełna roku małżeńskiego pożycia Anna z Grabianków Raciborowska odeszła z tego świata. Czyżby obstając przy spisaniu przed ślubem testamentu, miała jako córka mistyka przeczucie tak rychłego zgonu? A może wiedziała, że nie będzie mogła żyć bez swego generała?

Józef Orłowski nigdy się nie ożenił.

eprasa.pl 1a0018e33b

SŁODYCZ Z PLASTIKU

CORAZ WIĘCEJ MÓWI SIĘ O EPIDEMII OTYŁOŚCI. SZACUJE SIĘ, ŻE JUŻ NAWET CO CZWARTY OBYWATEL CIERPI NA NADMIAR TKANKI TŁUSZCZOWEJ. PROBLEM TEN DOTYCZY RÓWNIEŻ DZIECI

KRZYSZTOF ŻARYN

W najmłodszych grupach wiekowych co piąte dziecko ma nadwagę lub cierpi na otyłość. Podstawową przyczyną jest oczywiście nadmiar jedzenia, zwłaszcza wysokokalorycznych fast foodów oraz słodyczy. Ogólny łatwy dostęp do żywności połączony ze znacznym zwiększeniem komfortu życia powodującym ograniczanie aktywności fizycznej ma bezsprzecznie największy wpływ na rozrost tkanki tłuszczowej. Jest jednak jeszcze jeden element naszej codzienności, o którym czasem zapominamy – słodzone napoje, zwłaszcza te gazowane. One właśnie, często niewliczane w bilans kalorii, a spożywane w nadmiarze, mogą znacznie zaburzyć nasz codzienny ład energetyczny. Picie dużej ilości płynów typu cola zdecydowanie nie wpływa pozytywnie na nasze zdrowie. Jednak złą sławą cieszą się one dopiero od niedawna. Na początku uznawane były niemal za nektar o wielu pozytywnych właściwościach.

Winowajca: dwutlenek węgla

Początków obecności napojów słodzonych w historii próżno szukać w epoce starożytnej. Ówcześni ludzie lubowali się bardziej w drinkach fermentowanych, racząc się w dużej ilości rozcieńczonym piwem, winem oraz po prostu wodą. Pierwszym godnym uwagi odkryciem w dziedzinie nas interesującej było wyizolowanie dwutlenku węgla przez Josepha Priestleya – angielskiego chemika i filozofa. Po owym odkryciu rozpoczęto liczne doświadczenia z tym związkiem chemicznym. Jednym z jego fascynatów okazał się niemiecki jubiler i zegarmistrz Johann Jacob Schweppe. Zaczął on eksperymentować z nowym wynalazkiem. Przepuszczając dwutlenek węgla przez wodę, zauważył, że bąbelki gazu pozostają w środku. Jako że dwutlenek węgla otrzymywał z sody i kwasu, nazwał swój wynalazek wodą sodową (mimo braku zawartości sodu w samym produkcie). Schweppe porzucił dotychczasowe zajęcie i zajął się produkcją swojego napoju na masową skalę, szybko zyskując klientów. O dziwo, głównie wśród aptekarzy, którzy polecali produkt na różne schorzenia.

Pierwsza hurtownia napojów gazowanych powstała w Genewie w 1783 r. i zaczęła produkować słynny dziś napój firmy Schweppes.

Lek na całe zło

Gdy myślimy o słodkich napojach gazowanych, jedna marka przychodzi nam na myśl obowiązkowo. Niewątpliwie największą karierę zrobił napój pod marką Coca-Cola. Historię produktu wiąże się z krwawą wojną secesyjną w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (1861–1865). Po jej zakończeniu borykano się z problemem powrotu weteranów wojennych do normalnego życia w codziennych realiach Stanów Zjednoczonych. Szukano m.in. nowych specyfików,

eprasa.pl 1a0018e33b

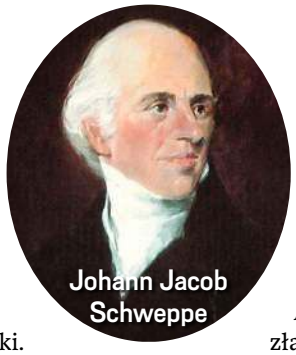
Johann Jacob Schweppe

które mogłyby uśmierzyć ból po ranach postrzałowych, odłamkach i od broni siecznej oraz rozmaitych urazach u żołnierzy, którzy odnieśli je na polu walki. Jednym z tych produktów miał być napój na bazie liści koki. Pomysłodawcą tego wyrobu był aptekarz z Atlanty – doktor John Pemberton. Handlował on różnego rodzaju kremami, balsamami oraz specyfikami, które dziś nie są uznawane za do końca legalne. Ich elementem składowym było m.in. opium. Aptekarz interesował się szczególnie substancjami mocno wpływającymi na psychikę oraz aktywność konsumenta. Dlatego żywo zainteresował się świeżo wyizolowaną substancją – kokainą. Narkotyk ten stał się stałym elementem eksperymentów Pembertona. Pierwszą wersję czarnego napoju nazywał French Wine Coke, była sporządzona na bazie wina i zawierała liście koki oraz ekstrakt z orzechów afrykańskich – kola. Naukowiec przewidywał wielką karierę swojego produktu. Założył firmę Pemberton Chemical Company, która miała się prężnie rozwijać, wykorzystując unikatową recepturę. Niestety Pemberton szybko został sprowadzony na ziemię; niedługo potem w Stanach Zjednoczonych wprowadzono prohibicję, co uniemożliwiło sprzedaż trunku w pierwotnej formie...

ZDJĘCIA: DOMENA PUBLICZNA

Bez alkoholu, ale z...

Aptekarz nie dał się jednak złamać i postanowił stworzyć odpowiednik bezalkoholowy, który mógłby być swobodnie dopuszczony do handlu. Zaczął komponować oraz dobierać składniki tak, by uzyskać nowy unikalny smak produktu z jednoczesną dawką energii. I tak powstał eliksir zawierający m.in. cukier karmelowy, cytrynian kofeiny oraz ekstrakt kokainy, których połączenie w dużych dawkach mogło wywołać niezdrowe pobudzenie. Nowy produkt zasługiwał na nową nazwę, która łączyła dwa podstawowe składniki – kokainę oraz liście kola – Coca-Cola. Początki rynkowej obecności słynnego napoju były trudne. John Pemberton sam zajmował się sprzedażą produktu, a utarg liczono na około dziewięć szklanek napoju dziennie. Rzeczywistość rozczarowała aptekarza, który zmarł niedługo po wymyśleniu produktu. Jak liczne eksperymenty z substancjami psychoaktywnymi wpłynęły na jego organizm, możemy się jedynie domyślać. Prawa do wyrobu wykupił inny amerykański aptekarz – Asa Candler. Transakcja opiewała na zawrotną kwotę 2,3 tys. dol. Dla firmy oraz dla nowego właściciela okazał się to biznesowy strzał w dziesiątkę. Założył on znaną do dziś firmę Coca-Cola Company i zmienił formę marketingu. Tuż przed wprowadzeniem podatku od sprzedaży leków Candler zmienił narrację promocji napoju i zaczął reklamować go jako napój orzeźwiający dla spragnionych. Niedługo potem wraz z Benjaminem Thomasem i Josephem Whiteheadem podjęli kluczową decyzję o wprowadzeniu szklanych butelek, które umożliwiły dystrybucję produktu na szeroką skalę. W związku z rozwojem firmy nieunikniony stał się przymus wycofania ze składu napoju substancji psychoaktywnej, jaką niewątpliwie była i jest kokaina. Decyzja o wyeliminowaniu tego składnika wynikała przede wszystkim z coraz częściej pojawiających się negatywnych opinii na jego temat. Mimo licznych perypetii związanych ze zmianą składu produktu oraz zmianą właścicieli firmy, dalej nie jest do końca znany skład tego popularnego napoju. Jego receptura jest ściśle strzeżoną tajemnicą, a odpowiednie dokumenty przechowywane są w skarbcu banku SunTrust w Atlancie.

Kola na rodzimym gruncie

Do Polski amerykański napój przywędrował w latach 70. XX w. za czasów Edwarda Gierka. Jednak już wcześniej przymierzano się do wprowadzenia na rynek PRL produktów koncernu Coca-Cola Company. W drugiej połowie lat 50. XX w. Władysław Augustyniak oraz Eryk Rengarten złożyli do władz Gdańska prośbę o wyrażenie zgody na budowę fabryki Coca-Coli. Był to w Polsce czas gomułkowskiej odwilży, gdy pojawiały się sygnały o możliwości prowadzenia w ograniczonej formie swobodnej działalności gospodarczej. Przedstawiciele Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego wyrazili nawet pozytywną opinię i entuzjazm związany z pomysłem. Warszawa jednak szybko zgasiła zapał pomysłodawców z Pomorza: nie ma miejsca w kraju realnego socjalizmu na napój Coca-Cola, na sztandarowy produkt świata zachodniego imperializmu. Dopiero w 1971 r. podpisana została umowa licencyjna między polskim rządem a przedstawicielem firmy, umożliwiająca wprowadzenie czarnego napoju na polski rynek. Cena produktu w oryginalnej butelce 0,33 l wynosiła 19 zł, w czym mieściła się kaucja za butelkę – 8 zł. Rok później na polskim rynku pojawiła się konkurencyjna marka, czyli Pepsi-Cola. Producenci, zauważywszy, z jaką pozytywną odpowiedzią konsumentów spotkały się obie te marki, zaczęli masowo wprowadzać różne odmiany kolorowych napojów na nasz rynek.

Swobodny dostęp do tego rodzaju napojów na pewno nie wpływa dobrze na stan naszego zdrowia. Zawierają bardzo dużo cukru, który szybko się wchłania, powodując ryzyko powstawania cukrzycy, otyłości czy miażdżycy. Picie słodkich napojów nie wpływa na odczuwanie przez nas sytości, przez co nie kojarzymy go z dostarczaniem kalorii i energii. A jednak! Napoje tego typu dostarczają nam ponad 400 kalorii na litr i ponad 100 g cukru. Ograniczając spożycie tych produktów, zmniejszamy ryzyko chorób związanych z metabolizmem i otyłością. Szczególnie ważne jest to u dzieci, ponieważ to one najczęściej sięgają po tego typu napoje.

eprasa.pl 1a0018e33b

Wodowskaz po uruchomieniu... (1932)

FOT. IKC, SYGN. 1-G-3514

NAC

WARSZAWSKI WODOWSKAZ

Poziom wody w Wiśle wymagał stałego monitorowania zarówno z racji powszechnej żeglugi na rzece, jak i corocznych powodzi.

Wisła była bardzo ważnym szlakiem dla statków pasażerskich i towarowych, a także dla żeglugi rekreacyjnej. Z kolei powodzie wywoływane były zarówno przez wiosenne roztopy, jak i intensywne opady latem i jesienią, zalewające niżej położone dzielnice miasta.

Do kontroli stanu wody używano najczęściej wodowskazów łatowych, stosowanych zresztą do chwili obecnej. Były to listwy z naniesioną podziałką, wbite w dno rzeki zwykle w pobliżu mostów bądź przymocowane do ich konstrukcji. Ich odczytywanie było jednak kłopotliwe, szczególnie w trudnych warunkach pogodowych, nie umożliwiały też stałego zapisu wyników. Nowocześniejszym rozwiązaniem były wodowskazy pływakowe działające na zasadzie naczyń połączonych. Jak wiadomo, poziom cieczy w takich naczyniach dąży do wyrównania, wystarczy więc połączyć koryto rzeki i studzienkę z pływakiem, aby poziom wody w studzience był taki sam jak w rzece. Ruchy pływaka za pomocą odpowiedniej przekładni przenoszone są na wskazówki umożliwiające wygodny i dokładny odczyt nawet z dużej odległości. Możliwa jest również bieżąca rejestracja wyników przy użyciu mechanizmu samopiszącego. Tego typu wodowskazy istniały w niektórych polskich miastach już w XIX w. – w Zawichoście i Toruniu, przy czym toruński wodowskaz funkcjonuje do dziś, obecnie w ramach Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Warszawski wodowskaz zbudowano w latach 1930–1932 na lewym brzegu Wisły, naprzeciwko wylotu ul. Pustej przy ówczesnym moście Kierbedzia. Modernistyczna wieżyczka o oszczędnej architekturze kryła w sobie studzienkę z pływakiem i mechanizm odczytu. Wynik podawany był na trzech tarczach – od strony rzeki, od północy i od południa. Brak było tarczy od strony lądu, czyli od ul. Nadbrzeżnej (obecnie część Wybrzeża Kościuszkowskiego). Każda tarcza miała dwie wskazówki na wspólnej osi i podwójną podziałkę. Większa wskazówka pokazywała pełne metry (od 1 do 7), mniejsza dziesiąte części metra z podziałką co 1 cm. W nocy tarcze były oświetlone lampami elektrycznymi. Do wodowskazu wiódł z wybrzeża mostek umożliwiający obsługę przyrządu. Planowano nawet telegraficzne przekazywanie wyników do Ministerstwa Komunikacji, lecz zamiaru tego nie zrealizowano do wybuchu wojny.

Wodowskaz nie uległ zniszczeniu podczas II wojny światowej, chociaż sowieckie lotnictwo w latach 1941–1944 dokonało wielu nalotów na Warszawę, wymierzonych m.in. w mosty na Wiśle. Brak jednak informacji o funkcjonowaniu wodowskazu podczas niemieckiej okupacji. Najprawdopodobniej ulegał stopniowemu zamuleniu z powodu braku odpowiedniej konserwacji, choć projektanci przewidzieli stosowne rozwiązania techniczne chroniące studnię wodowskazową przed nanoszeniem piasku z rzeki. Przyrządu nie zniszczono też podczas wysadzania warszawskich mostów przez Niemców wycofujących się z Pragi 13 września 1944 r.; przetrwał również planowe burzenie miasta po upadku powstania warszawskiego.

...i po wojnie (1963)

FOT. ZBYSZKO SIEMASZKO, SYGN. 51-547

Po wojnie wieżyczka wodowskazu przez wiele lat stała na swoim miejscu mimo rozebrania szczątków wysadzonego mostu Kierbedzia i budowy na jego filarach mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Ominęły go też rozbiórki przedwojennej zabudowy pod budowę Mariensztatu. Jeżeli powiększymy panoramy lewego brzegu Wisły, wykonane w latach 60. przez Zbyszka Siemaszkę czy Grażynę Rutowską, dostrzeżemy charakterystyczny kształt studni wodowskazu. Niestety, prowadzona od początku lat 70. budowa Wisłostrady przypieczętowała los tego ciekawego zabytku techniki, po którym do chwili obecnej zachowały się jedynie fotografie.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

eprasa.pl 1a0018e33b

KARABIN GEWEHR 41,

CZYLI PIERWSZE KOTY ZA PŁOTY

WEHRMACHT DŁUGO NIE DYSPONOWAŁ DOBRYM KARABINEM SAMOPOWTARZALNYM WŁASNEJ PRODUKCJI

KACPER GROCHOCKI

Karabiny samopowtarzalne, choć używano ich już w okresie międzywojennym, nie były podstawowym wyposażeniem żadnej armii świata tamtego czasu. Odstępstwem od reguły były siły lądowe Stanów Zjednoczonych, gdzie żołnierze oficjalnie od 1936 r. posługiwali się samopowtarzalnym karabinem M1 Garand. Jednak nawet w przypadku US Army, mimo że pierwsze partie tego modelu broni dotarły do jednostek w 1937 r., to i tak nie udało się przezbroić wszystkich oddziałów przed przystąpieniem do wojny w grudniu 1941 r.

Armia niemiecka zaczęła interesować się karabinami samopowtarzalnymi na przełomie lat 20. i 30. Mobilizacją do działania w tej sferze były próby innych państw z tym rodzajem uzbrojenia (m.in. ZSRS). Pierwsze projekty nie spełniały jednak oczekiwań wojskowych, a w 1938 r., gdy widmo wojny powoli rosło nad Europą, zakłady zbrojeniowe miały się skupić na produkcji sprawdzonych, powtarzalnych Mauserów 98k.

W połowie 1940 r. Niemcy powrócili do prac nad karabinami samopowtarzalnymi, lecz wymagania nałożone na wybrane do współpracy firmy (Mauser i Walther) odnośnie do konkretnych rozwiązań technicznych znacznie utrudniały projektowanie, a jednocześnie, jak czas pokazał, były błędne. Tyczyło się to głównie zakazu nawiercania lufy celem odprowadzania gazów prochowych, których powrót służy do odryglowania zamka i uruchomienia mechanizmu przeładowania. Sposób ten jest do dziś najczęściej stosowaną metodą, wykorzystaną m.in. w popularnych karabinkach automatycznych, jak sowiecki AK-47 czy amerykański M-16. Dodatkowo broń miała posiadać zamek z rączką taką jak w 98k, by w razie problemu z automatyką manualnie przeładować karabin.

Mauser i Walther przedstawili swoje konstrukcje w 1941 r. Zakłady Mausera zaprezentowały karabin, bazując na własnym projekcie z 1936 r., który spełniał większość nietypowych narzuconych wytycznych. Broń o oznaczeniu Gewehr 41 (M) (M od Mauser) trafiła do jednostek walczących na froncie wschodnim w 1942 r. Szybko ujawniła się tam jej zawodność w warunkach niskich temperatur. Produkcji zaprzestano na pierwszej partii ok. 20 tys. szt., a zmontowane egzemplarze trafiły do wojsk we Włoszech.

Firma Walther luźniej podeszła do otrzymanych wytycznych (m.in. w kwestii konstrukcji zamka), a jej Gewehr 41 (W) (W od Walther) okazał się lepszą konstrukcją. Oficjalnie karabin przyjęto do uzbrojenia w grudniu 1942 r., a zamówiono blisko 80 tys. szt., które trafiły do jednostek frontowych.

Gewehr 41 (w skrócie G 41) strzelał standardową niemiecką amunicją karabinową kalibru 7,92 mm. Miał długość niespełna 1,14 m, a masa bez amunicji wynosiła 4,6 kg (z pełnym magazynkiem 4,9 kg). Karabin był zasilany z dziesięcionabojowego stałego magazynka ładowanego dwiema pięcionabojowymi łódkami lub pojedynczymi pociskami. Prędkość początkowa pocisku to 745 m/s, przy zasięgu skutecznego strzału 600 m. Szybkostrzelność praktyczna wynosiła do 20 strzałów na minutę.

Karabin samopowtarzalny G 41 był pierwszą niemiecką konstrukcją tego typu, która weszła na stan uzbrojenia Wehrmachtu. Był użytkowany do końca wojny, ale okazał się jednak bronią niezbyt udaną. Wpływ na to miały narzucone rozwiązania konstrukcyjne, wysoka cena i poziom skomplikowania technicznego (nawet w tańszej, przyjętej produkcji firmy Walther). Dodatkowo dochodziły nie mniej ważne kwestie ergonomii użytkowania broni. Niska szybkostrzelność praktyczna, powodowana w dużej mierze niewygodnym systemem ładowania broni z łódek nabojowych, była poważną wadą dla żołnierzy na froncie, gdzie sekundy decydują o życiu lub śmierci. Karabin miał również dużą masę, a przez system odprowadzania gazów prochowych z części wylotowej lufy jego środek ciężkości był przesunięty ku przodowi, co utrudniało celowanie. Nadto broń dość szybko ulegała zanieczyszczeniu w trakcie strzelania. Gewehr 41 dał jednak armii niemieckiej coś pozytywnego. Sprawdziła się w nim konstrukcja zamka, który później stał się ważną częścią „dojrzałego" karabinu samopowtarzalnego i następcy G 41, czyli karabinu Gewehr 43.

FOT. WTHE SWEDISH ARMY MUSEUM

eprasa.pl 1a0018e33b

STOLIKI-SKRYTKI PŁK. RZEPECKIEGO

KATARZYNA UTRACKA

JEDNĄ Z FORM DZIAŁALNOŚCI PROWADZONYCH PRZEZ MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO JEST POSZUKIWANIE SKRYTEK I DOKUMENTÓW Z OKRESU KONSPIRACJI ORAZ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. KILKA LAT TEMU DO ZASOBU MPW TRAFIŁY DWA STOLIKI-SKRYTKI Z MIESZKANIA PŁK. JANA RZEPECKIEGO „WOLSKIEGO". MOŻNA JE ZOBACZYĆ NA EKSPOZYCJI STAŁEJ W TZW. POKOJU KONSPIRATORA NA I PIĘTRZE

Właściciel mebli, płk Rzepecki, był jedną z najważniejszych osób w Polskim Państwie Podziemnym. Od jesieni 1940 r. aż do upadku Powstania Warszawskiego kierował całym aparatem propagandowym i informacyjnym Armii Krajowej.

Meble pochodziły z domu przy ul. Krzywickiego 12 (do 1951 r. ulica nosiła nazwę Sucha) na warszawskiej Ochocie i w dość nietypowy sposób trafiły do muzeum. W czasie okupacji właścicielką domu była Irena Rzepecka „Ela", żona płk. Rzepeckiego. On sam ukrywał się pod fałszywymi nazwiskami. W 1944 r. budynek uległ prawie całkowitemu spaleniu. Po wojnie staraniem byłego żołnierza AK, por. Aleksandra Dydyńskiego, został wyremontowany i przeszedł na jego własność, ale Rzepecki z małżonką zachowali mieszkanie na poddaszu. Po śmierci państwa Dydyńskich ich syn postanowił zrobić remont domu. Część mebli, w tym dwa stoliki, wystawił u znajomego antykwariusza. Pierwszy stolik zakupili właściciele baru z warszawskiego Powiśla. Drewniany stolik miał stanowić element wyposażenia lokalu. Kiedy jednak nabywcy zorientowali się, że mebel posiada skrytki i może mieć wartość historyczną, postanowili przekazać go w depozyt MPW. Stolik ma dwie tajne szuflady: jedna znajduje się w blacie, druga ukryta jest w półce. Drugi stolik został sprzedany na portalu aukcyjnym do Szczecina. Zakupił go Piotr Bezia. Kiedy się okazało, że stolik skrywa przemyślnie skonstruowaną skrytkę z dokumentami, po konsultacji ze znajomym z Koszalina nowy właściciel postanowił przekazać mebel wraz z zawartością do MPW.

O ile schowki w pierwszym stoliku były puste, o tyle tajna szuflada w drugim meblu skrywała kilkunastostronicowy maszynopis pt. „Bieżąca polityka polska a rzeczywistość" autorstwa szefa Oddziału II (informacyjno-wywiadowczego) Komendy Głównej AK ppłk. Mariana Drobika „Dzięcioła". Do raportu z 7 listopada 1943 r., tzw. memoriału Drobika, dołączone było krótkie pismo przewodnie. Co ciekawe, wśród dokumentów znajdowało się także zdjęcie ppłk. Drobika wraz ze szklanym negatywem.

Odnaleziony dokument jest drugim znanym egzemplarzem raportu ppłk. Drobika (pierwszy znajduje się w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej; w zasobie Archiwum Akt Nowych znajduje się jego kopia). Raport analizujący tragiczną sytuację polityczną i militarną Polski w obliczu zwycięstw Armii Czerwonej na froncie wschodnim wywołał wiele negatywnych emocji i gorących dyskusji w KG AK, do tego stopnia, że zakazano jego dalszego rozpowszechniania. Niedługo później, w nocy z 8 na 9 grudnia 1943 r., ppłk Drobik został aresztowany. Po przesłuchaniach w siedzibie Gestapo w al. Szucha wywieziono go do obozu koncentracyjnego i zamordowano w nieznanych okolicznościach.

Budynek przy ul. Krzywickiego 12 skrywa jeszcze jedną tajemnicę. W piwnicy znajduje się pomieszczenie o wymiarach 3,5 × 1,3 × 2,5 metra. Jest ono ukryte za grubymi, żelbetowymi drzwiami zamaskowanymi drewnianą szafą. Drzwi nie zostały wmurowane razem ze ścianami, co sugeruje, że pojawiły się już po zakończeniu budowy. Co ciekawe, po sąsiedzku są podobne budynki, ale w żadnym z nich nie ma pomieszczenia z żelbetowymi drzwiami. W jakim celu powstało i jaką funkcję pełniło? Możemy snuć jedynie domysły. Płk Jan Rzepecki zmarł w 1983 r., jego żona zaś w 1989 r.

Ten stolik skrywał przemyślną skrytkę z oryginalnymi dokumentami

Stolik ma dwie tajne szuflady: jedną w blacie, drugą w półce

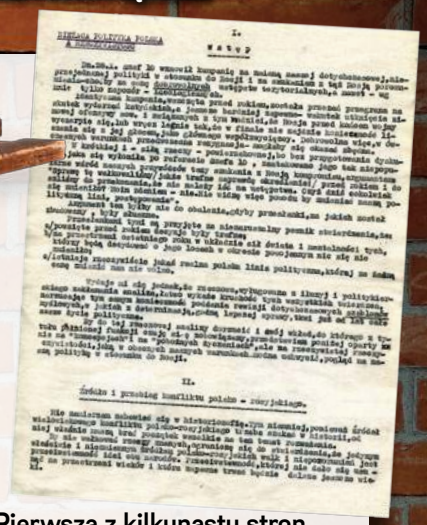

Pierwsza z kilkunastu stron tzw. memoriału Drobika z jesieni 1943 r. z egzemplarza znalezionego w skrytce stolika

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

GÓRNA PÓŁKA

Generał i trybun

ANTONI DUDEK

Gdy w 1989 r., w konsekwencji ustaleń okrągłego stołu, reaktywowano zlikwidowany blisko cztery dekady wcześniej urząd prezydenta, to najpierw objął go komunistyczny generał, a później trybun ludowy z zabagnioną kartą z lat wczesnej młodości. Można oczywiście po raz enty rozpatrywać, dlaczego tak się stało i czy mogło być inaczej, ale można też się zastanowić, jak te prezydentury wyglądały i czym się, oprócz długości i sposobu wyboru, różniły.

Tę ostatnią drogę wybrał młody politolog z Krakowa Paweł Momro. Jego praca nie jest klasyczną monografią historyczną prezydentur Jaruzelskiego i Wałęsy. A jednak jest w materiale źródłowym zanurzona bardzo głęboko, pokazując, jak można dobrze połączyć tradycyjną metodę historyczną z warsztatem politologicznym. Dlatego obok drobiazgowej analizy różnych decyzji podejmowanych przez obu prezydentów podjął też próbę nakreślenia ich portretów psychologicznych oraz relacji z politycznym otoczeniem, w jakim przyszło im sprawować urząd głowy państwa.

Paweł Momro znakomicie przedstawił pasywny charakter prezydentury Jaruzelskiego. Natomiast do dyskusji skłaniają przedstawione przez niego powody owej pasywności. W moim przekonaniu zasadniczy wpływ miały na to wydarzenia Jesieni Narodów, w tym zwłaszcza dramatyczny upadek rządów Nicolae Ceaușescu w Rumunii i jego egzekucja. Wydaje mi się, że Momro nie docenił wpływu tego czynnika na politykę gen. Jaruzelskiego jako prezydenta.

Najciekawsza i najobszerniejsza część pracy dotyczy jednak prezydentury Wałęsy. Momro dużo miejsca poświęcił w niej m.in. opisowi najbliższego otoczenia prezydenta oraz konfliktów, do jakich w nim dochodziło. Trafnie ocenił, że Wałęsa nie zdołał zbudować szerokiego i stabilnego zaplecza partyjnego, a duża rotacja w gronie jego współpracowników obciążała go wizerunkowo, przyczyniając się do niepowodzenia w walce o reelekcję. Udało mu się też dokonać przekrojowej i wnikliwej analizy osobowości politycznej byłego przywódcy NSZZ „Solidarność", unikając przy tym popadnięcia w jeden z dwóch dominujących przy ocenie tej postaci schematów czyli ocierającej się o gloryfikację idealizacji oraz radykalnej krytyki utrzymywanej w tonacji pamfletu. ■

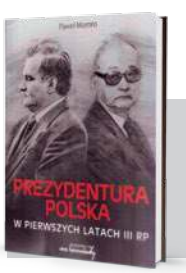

Paweł Momro, „Prezydentura polska w pierwszych latach III RP", Wydawnictwo von Borowiecky, Radzymin 2019

JASNA SCENA

Znikomość

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Gdyby nie dwa tytuły pokazane na 39. Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, trudno by było ten niegdyś tak ważny festiwal zauważyć.

Problem pojawił się już przy ogłoszeniu programu. Nie mam pojęcia, czy przyjęto założenie, aby na WST pokazać spektakle mniej znane, z mniejszych ośrodków. To zmiana idei festiwalu, który ma tradycję ponad-50-letnią i który zawsze był przeglądem tego, co na polskich scenach najważniejsze oraz najczęściej opisywane. Przedstawienia, które w nurcie głównym WST powinny się znaleźć, po prostu do niego trafiały.

Tym razem zaś zobaczyliśmy realizacje, o których ledwie słyszeli nawet ci, którzy teatrem zajmują się na co dzień. Oczywiście, nieznajomość dokonań z odległych scen może źle świadczyć o krytykach. Ale jak ocenić coś, co w skali całego teatralnego życia pozostaje tylko przypisem, błahostką albo – co najgorsze – teatrem zajmującym się samym sobą? Nawet dla specjalistów to nudne, a dla widza już nie do przyjęcia. Niestety na 39. WST takich spektakli było sporo, choć nie chcę wskazywać, że jakiś jeden zasługuje na szczególne potępienie. Nie o to chodzi, bo bardziej liczą się skala i obraz generalny.

Zresztą to problem niejedyny. Oto dobry przykład: obejrzeliśmy też rzecz przemyślaną, na podstawie inteligentnego tekstu Davida Desoli mówiącego o młodości, starości, konflikcie pokoleń. Mowa o przedstawieniu „7 minut" w reżyserii Adama Biernackiego z kaliskiego Teatru Bogusławskiego. Szczere gratulacje. Z tym że pojawia się pytanie, czy wzruszająca miniaturka na dwóch aktorów to wystarczający powód, by ją pokazywać w nurcie głównym. To również jest kłopot ze skalą. Pamiętam jeszcze czasy, gdy takie przedstawienia grano co wieczór na malutkich scenach najmniejszych warszawskich teatrów. Nie wzbudzały dyskusji, choć trzymały świetny poziom. Dziś są już zjawiskami sezonu w kraju? Zapewne paradoksem jest to, że obecność takich spektakli na WST pokazuje, iż nie za bardzo jest o czym w naszym teatrze rozmawiać. To chyba nie mogło być założenie programu... Bez kilku wiodących reżyserów (którzy z kolei na wcześniejszych edycjach festiwalu pojawiali się już zbyt często – o czym pisałem rok temu w równie krótkim podsumowaniu pt. „Stara gwardia") panorama polskich scen wygląda bardzo skromnie. Na szczęście „Pod presją" Mai Kleczewskiej i „Trojanki" Jana Klaty, czyli – o paradoksie – przedstawienia stałych bywalców WST, ten deficyt jakoś uzupełniły. Trochę na przekór. ■

39. Warszawskie Spotkania Teatralne, 4–14 kwietnia 2019 r. Organizator: Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy

eprasa.pl 1a0018e33b

SKARB ZIEMI SOCHACZEWSKIEJ

Na przestrzeni wieków mazowieckie równiny położone pomiędzy dwiema puszczami – Kampinoską na północy i zamykającą je od południa Bolimowską – wielokrotnie były świadkami przetaczającej się przez te tereny historii. Czasami koleje dziejów pozostawiały po sobie jedynie delikatny ślad – jak w przypadku śmierci Bolesława Krzywoustego, który zmarł w 1138 r. w klasztorze Bernardynów mającym się mieścić w Sochaczewie. Niejako przy okazji – dzięki temu zapisowi miasto to po raz pierwszy zaistniało na kartach kronik. Jednak o wiele częściej żarna historii znacznie silniej odciskały swoje piętno na tych terenach. Sochaczew odczuwał to szczególnie dotkliwie – miasto było wielokrotnie trawione pożarami, po których mozolnie je odbudowywano. Jednakże prawdziwymi kataklizmami dla miasta były wojny: potop szwedzki, a szczególnie I wojna światowa, której front w początkowym okresie przebiegał wzdłuż płynącej przez miasto Bzury. W wyniku niemieckiego ostrzału artyleryjskiego, zaciekłych walk, a w 1915 r. pierwszych na wschodzie ataków gazowych, miasto zostało zrównane z ziemią i całkowicie wyludnione.

Historia ziemi sochaczewskiej, choć obfitująca w wydarzenia natury militarnej, może się też pochwalić niemałym wkładem w ogólnonarodową polską kulturę. Wszystko za sprawą urodzonego w Żelazowej Woli w 1810 r. Fryderyka Chopina – genialnego kompozytora i pianisty. Jeszcze w tym samym roku rodzina Chopinów przeniosła się do Warszawy. Zanim do tego doszło, mały Fryderyk został ochrzczony w kościele parafialnym pw. św. Rocha w Brochowie, oddalonym ok. osiem kilometrów od Sochaczewa. Przed tamtejszym ołtarzem cztery lata wcześniej rodzice przyszłego wirtuoza składali sobie przysięgę małżeńską.

Już z oddali widać, że świątynia ta swoim wyglądem bardziej przypomina średniowieczny zamek niż wiejski kościółek. Kształt ten został jej nadany w latach 1551–1561 podczas przebudowy nadzorowanej przez muratora Jana Baptystę z Wenecji, twórcę m.in. warszawskiego barbakanu. Pierwszy drewniany kościół powstał w tym miejscu już w 1113 r., by 218 lat później zastąpiła go budowla murowana. Jej powstanie prawdopodobnie sfinansował wykup otrzymany za niemieckiego rycerza, gościa zakonu krzyżackiego, pojmanego w czasie wyprawy przeciwko Polsce. Z kolei przemarsz polskiego rycerstwa, które w drodze pod Grunwald przekroczyło Wisłę na moście łyżwowym w pobliskim Czerwińsku, upamiętnia wmurowany w fasadę świątyni kamień z wyrytym nań napisem „30 VI 1410 Jagiełło w Brochowie". Tuż obok niego inna, bliźniaczo podobna inskrypcja ocala od zapomnienia dwóch pochowanych w tym miejscu konfederatów barskich.

Okaleczona – beznoga i bezręka drewniana figura ukrzyżowanego Chrystusa przechowywana w kościele (opisana jako ocalała!) jest symbolem ruiny, do jakiej doprowadził budowlę niemiecki ostrzał artyleryjski w czasie I wojny światowej. Bryłę świątyni odbudowano w latach 1924–1929, ale zabytkowe wnętrze zostało bezpowrotnie utracone. We wrześniu 1939 r. w czasie bitwy nad Bzurą na jednej z kościelnych baszt usytuowany był polski punkt obserwacyjny. Pozostawione na niej szczerby od uderzeń pocisków są pamiątką po II wojnie światowej, z której świątynia wyszła bez poważnych uszkodzeń. W późniejszych latach budynek ulegał stopniowej degradacji, a dla niechętnych Kościołowi władz Polski Ludowej pękające i zawilgotniałe mury brochowskiej bazyliki nie były istotnym problemem. Dopiero w 1990 r. Skarb Państwa przyznał środki umożliwiające przeprowadzenie koniecznych prac konserwatorskich. Obecny dobry stan kościoła czyni go punktem obowiązkowym w marszrucie każdego miłośnika szukającego śladów Fryderyka Chopina.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. ARCHIWUM AUTORA

GALERIA ZDJĘĆ BROCHOWSKIEGO KOŚCIOŁA: wpolityce.pl/historia/445874-skarb-ziemi-sochaczewskiej

eprasa.pl 1a0018e33b

Jan Paweł II błogosławi tysiące wiernych zgromadzonych na błoniach Jasnej Góry, 4–6 czerwca 1979 r.

FOT. AIPN

KRYPTONIM „LATO-79"

RADOSŁAW MORAWSKI

Gdy 16 października 1978 r. z balkonu bazyliki Świętego Piotra kardynał Pericle Felici ogłosił wybór pierwszego Polaka na Stolicy Piotrowej, na władze PRL padł strach. Zdały sobie one sprawę, że nowo wybrany papież będzie chciał odwiedzić swoją ojczyznę, a na to rządząca wtedy ekipa Edwarda Gierka była zupełnie nieprzygotowana. Początkowo próbowała odwlec wizytę w czasie, proponując, żeby papież przyjechał w 1982 r. z okazji 600-lecia klasztoru na Jasnej Górze. Upór strony kościelnej i obawa przed reakcjami polskich katolików sprawiły jednak, że po trzymiesięcznych negocjacjach władze zgodziły się, aby pielgrzymka Jana Pawła II odbyła się w dniach 2–10 czerwca 1979 r. i objęła Warszawę, Gniezno, Częstochowę, Kraków, Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice, Oświęcim i Nowy Targ.

Obsługa pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce była operacją logistyczną, która w owym czasie nie miała precedensu. 15 marca 1979 r. powołano sztab akcji zabezpieczenia operacyjnego pielgrzymki o kryptonimie „Lato-79". Szefem sztabu został wiceminister spraw wewnętrznych gen. Bogusław Stachura. Jednak najważniejszym zadaniem operacji „Lato-79" nie było zapewnienie bezpieczeństwa papieżowi, ale „rozwijanie działań operacyjno-rozpoznawczych i profilaktyczno-neutralizujących wobec grup i środowisk kontrolowanych przez MO i SB". Pracą operacyjną kierował Departament IV MSW, który, wykorzystując do penetracji środowisk związanych z Kościołem swoich tajnych współpracowników, badał nastroje społeczne przed pielgrzymką oraz w jej trakcie.

Władze PRL próbowały odwrócić uwagę od spotkań rodaków z Janem Pawłem II poprzez propagandę ideologiczną w mediach. Posuwały się również do niszczenia kart wstępu do sektorów na msze papieskie. Zdawały sobie jednak sprawę, że w czasie zgromadzeń może dojść do manifestowania wrogich wobec władzy haseł, czemu nie da się zapobiec działaniami prewencyjnymi polegającymi na rozmieszczeniu w tłumie agentów i funkcjonariuszy. Postanowiły więc fotografować pielgrzymów z ukrycia, m.in. z tzw. punktów zakrytych (czyli tajnych lokali), wyznaczając je na trasach przejazdów papieża. Inni funkcjonariusze robili zdjęcia w sposób jawny, podając się za dziennikarzy.

Wykonana w ten sposób dokumentacja liczy kilka tysięcy zdjęć. Mogła ona dostarczyć dowodów przeciwko osobom manifestującym swój sprzeciw wobec rzeczywistości PRL. Na fotografiach widać tłumy pielgrzymów i trzymane przez nich niepodległościowe transparenty, próby przeskakiwania przez ogrodzenia, ale również zupełnie przypadkowe zjawiska, które nie miały nic wspólnego z pielgrzymką, jednak w odpowiednim zestawieniu mogły ośmieszać wiernych. Na przykład w Krakowie uchwycono na zdjęciach skąpo ubrane kobiety opalające się w pobliżu miejsca mszy papieskiej.

Chociaż fotografie operacyjne wykonane przez SB w trakcie pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski miały służyć udokumentowaniu wrogich antypaństwowych działań wiernych, mimowolnie stały się świadectwem wiary i patriotyzmu milionów Polaków. Dopiero one ukazały prawdziwą frekwencję na spotkaniach z papieżem, której próżno było szukać w specjalnie kadrowanych fotografiach publikowanych w prasie i w transmisjach telewizyjnych. ■

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Autopromocja

eprasa.pl 1a0018e33b

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE/PL

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**